



PIOTR NAPIERAŁA

**Moje zmagania  
z zabytkami**



PIOTR NAPIERAŁA

# Moje zmagania z zabytkami





*Przyjaciółom i Współpracownikom z Castellum  
i Fundacji Doliny Pałaców i Ogrodów Kotliny Jeleniogórskiej*



## WPROWADZENIE

Wspomnienia te są zaproszeniem do spotkania z Piotrem na gruncie Jego zainteresowań i pasji ratowania zabytków, które wypełniały znaczną część Jego życia. Zapiski powstawały w 2019 roku, w cieniu choroby, której nie pozwalał zdominować myśli i przeszkadzać w realizowaniu zaplanowanych projektów. Kończąc pisanie swoich wspomnień już w szpitalu, w pełni świadomości, ale w coraz gorszej formie fizycznej, był zawiedziony, że nie objęły one wielu osób, które spotkał na swojej zawodowej drodze. Wierzę jednak, że Jego obecność pozostanie w jakimś stopniu we wszystkich, z którymi wiązały go trwale przyjaźnie i szczerze relacje, jak również w zabytkach, z którymi się zmagał, by wydobyć całe ich piękno.

Dodatek na końcu opracowania powstał dzięki uprzejmości Anny Morasiewicz i Pawła Kleszcza oraz zasobom archiwum domowego. Zawiera on zdjęcia niektórych opisanych wcześniej obiektów w trakcie prac budowlano-konserwatorskich oraz fotografie z wyjazdów konserwatorów, organizowanych przez Piotra w ramach działalności w SKZ. Ufam, że nie naruszyłam koncepcji Autora co do zamysłu tych wspomnień.

Pragnę jednocześnie złożyć serdeczne podziękowanie osobom, które miały swój udział w powstawaniu tej publikacji. Dziękuję Małgorzacie Makuszeńskiej za wyszukanie w archiwum Castellum zdjęć obiektów zabytkowych autorstwa Macieja Soldka i pozyskanie fotografii pracowników firmy. Jestem szczególnie wdzięczna Dorocie Dembkowskiej za wytrwale korekty i nieocenioną pomoc oraz Krzysztofowi Terce za konsultacje merytoryczne. Dużym wsparciem były dla mnie serdeczne rozmowy z przyjaciółmi i współpracownikami Piotra, którzy dodawali mi ducha w tym szczególnym zadaniu i pozwolili odczuć, że był On darem nie tylko dla mnie, za co również bardzo dziękuję.

*Wiesława Napierała*

## WSTĘP

Nigdy nie pisałem pamiętników, dziennika czy wspomnień, może co najwyżej listy do przyjaciół i znajomych w czasach, gdy była to jedyna możliwość komunikacji z ludźmi, których nie można było na co dzień spotkać. Takich sytuacji miałem wiele po stanie wojennym, gdy sporo bliskich mi osób udalo się na emigrację. Wtedy rzeczywiście pisałem dużo listów i rzeczywiście starałem się opisywać im różne sytuacje życiowe i zawodowe. Później, gdy powszechne stały się telefony, maile i generalnie Internet, zdominowały nas inne formy komunikacji i szybko weszły do powszechnej praktyki. Pisanie listów stało się trochę anachroniczne i zaczęło zanikać. Zabrakło więc regularnego zapisywania faktów i wydarzeń. Dziś tego żałuję, gdyż widzę, jak pamięć jest ulotna.

Gdy jednak poważna choroba dwa lata temu wyłączyła mnie praktycznie z „normalnego” funkcjonowania i dość niespodziewanie skazała na szpital lub całkowitą izolację domową, postanowiłem sięgnąć pamięcią wstecz i przybliżyć swoje działania zawodowe i społeczne na polu konserwacji zabytków oraz ocenić niektóre z tamtych decyzji i wyborów. Nie potrafię jednoznacznie wskazać, dla kogo piszę te wspomnienia. Zapewne trochę dla siebie, żeby przypomnieć sobie niektóre sytuacje zawodowe, ale też dla moich najbliższych przyjaciół, współpracowników, dla rodziny. Mam wątpliwość, czy to rzeczywiście kogoś zainteresuje, ale może ktoś w wolnej chwili sięgnie po ten tekst.

Pewnie padnie pytanie, dlaczego opisuję życie zawodowe, a nie np. rodzinne, szpitalne czy całkiem prywatne. Moje wspomnienia z życia prywatnego, rodzinnego, moje uczucia do najbliższych, traktuję bardzo osobiście. To przeżycia, doznania, radości, a czasami smutki, którymi trudno mi się dzielić. To nie są z całą pewnością opowieści dla innych. Takie opisy życia i przeżyć snują często poeci, pisarze i inni twórcy. Potrafią przekazywać swoje najgłębsze osobiste doświadczenia. Ja nie umiałbym chyba tego zrobić. Opisując życie zawodowe poruszam się zatem po pewniejszym gruncie.



## POCZĄTKI

Nie pamiętam dokładnie, kiedy konserwacja zabytków stała się dla mnie czymś więcej niż tylko pracą zawodową. Nie jestem zwolennikiem używania patetycznych określeń, ale nie znajduję bardziej adekwatnego słowa do opisanego mojego stosunku do zajmowania się zabytkami, szczególnie w ostatnich latach, jak pasja.

Początek zainteresowań w tym kierunku, zmagania z zabytkami, świetnie ilustruje sytuacja związana z moją pierwszą pracą za granicą, którą traktuję oczywiście jako zabawną anegdotę.

W 1977 r., po pierwszym roku studiów, wraz z moim przyjacielem Tomkiem Dziendzielem wyjechałem w czasie wakacji za granicę do pracy. To był popularny sposób zdobywania przez studentów pieniędzy oraz poznawania nowych krajów. Nie było wówczas Erasmusów, stypendiów, wymian studenckich, chyba że w ramach krajów RWPG. To były czasy komunizmu, wiz, paszportów, braku wszelkich towarów, pozwoleń na pracę, a więc czasy zupełnie inne niż obecne. Nasze poszukiwania pracy w Wiedniu zakończyły się niepowodzeniem, zatem pojechaliśmy do Ptuj w dzisiejszej Słowenii (wówczas była to Jugosławia), do znajomych Tomka. Bruno Turk, miejscowy adwokat, który nas gościł, znalazł nam zatrudnienie u swojego kolegi, a może klienta Antego Macana, który miał niewielką firmę budowlaną. My w tej firmie wykonywaliśmy jakieś proste prace pomocnicze. Choć zaczęliśmy studiować budownictwo, trudno było nasze ówczesne umiejętności uznać za szczególne w tej dziedzinie. Jednym z miejsc, w których firma Antego prowadziła prace, była Ptujaska Góra, słynąca głównie z bazyliki pw. Najświętszej Marii Panny – znanego celu pielgrzymek w Słowenii. W czasie, gdy my remontowaliśmy jeden z niewielkich budynków przylegających do świątyni, grupa konserwatorów z Ljubljany wykonywała prace konserwatorskie polichromii ściennych w nawie głównej. Pewnego dnia pojawiła się w kościele ekipa telewizji lokalnej, która kręciła film o prowadzonych tam pracach. Ktoś musiał im powiedzieć, że na budowie pracują jacyś Polacy, co wówczas nie było takie popularne. W wieczornych wiadomościach kilka dni później poinformowano, że polscy konserwatorzy zabytków odnawiają cenne polichromie w Ptujskiej Gorze. To było dla nas wów-

czas bardzo zabawne i od tej pory powtarzaliśmy wszystkim, że jesteśmy konserwatorami z Polski. Nie sądziłem, że będzie to tak prorocze, że rzeczywiście przez całe swoje życie zawodowe będę zajmował się konserwacją zabytków.

Prawdziwą pracę zawodową rozpocząłem kilka lat później, zaraz po obronie pracy dyplomowej w 1983 r. Ale ta obrona nie była taka oczywista. Na piątym roku studiów, w stanie wojennym, trafiłem do więzienia za kolportaż prasy antypaństwowej. Najpierw zostałem internowany, a później wytoczono mi proces i skazano na 1,5 roku więzienia z art. 48. Dekretu o stanie wojennym. Wyszedłem warunkowo na wolność po 10 miesiącach, po ogłoszeniu amnestii, z większością osadzonych wówczas więźniów politycznych. Jednak z uczelni zostałem wyrzucony, z zakazem powrotu na studia. Pracę dyplomową przed aresztowaniem miałem dość zaawansowaną, trochę uzupełniłem ją jeszcze w więzieniu, ale obrona dla niestudentów była w zasadzie niemożliwa. Mój promotor prof. Kazimierz Czarnowski oraz wielu życzliwych mi ludzi podjęło wówczas różne działania, oczywiście nieformalne, aby uczynić ją jednak możliwą. Wyznaczono mi termin obrony, ustalono skład komisji egzaminacyjnej, która „nie zauważyła”, że nie jestem już studentem, choć była to wiedza powszechna. Niewielu studentów Politechniki Wrocławskiej było przecież więźniami politycznymi. Obroniłem więc pracę dyplomową, zdobyłem zaległe zaliczenia i uzyskałem tytuł magistra inżyniera budownictwa, co miało jeszcze jedno ważne znaczenie – w ten sposób uniknąłem powołania do zasadniczej dwuletniej służby wojskowej, która dla skazanych w stanie wojennym nie byłaby zabawą. Wiedzieliśmy, jak traktowane są w wojsku osoby skazane z Dekretu o stanie wojennym. A zaraz po wyjściu z więzienia takie wezwanie do odbycia zasadniczej służby wojskowej otrzymałem. Do dziś jestem wdzięczny bardzo wielu osobom, które wówczas pomagając mi, same ryzykowały różne retorsje zawodowe. Oczywiście nie mogę tu nie wspomnieć o moim Ojcu, który był wtedy profesorem na innym wydziale uczelni i robił wszystko, aby mi pomóc.

## PRZEDSIĘBIORSTWO PAŃSTWOWE PRACOWNIE KONSERWACJI ZABYTKÓW

1983 był to rok wielu zmian w moim życiu. Nie tylko wyszedłem z więzienia, obroniłem dyplom, ożeniłem się z Wiesią, koleżanką z klasy licealnej, ale również rozpocząłem pracę zawodową w Pracowniach Konserwacji Zabytków. Wybór przedsiębiorstwa nie był przypadkowy. Wiedziałem, że muszę rozpocząć pracę związaną z wykonawstwem budowlanym, aby uzyskać wymagane w zawodzie uprawnienia. Świadomość, że mam pracować na jakichś budowach przemysłowych albo osiedlach mieszkaniowych wznoszonych w technologii wielkiej płyty, była dla mnie koszmarem. W czasie studiów odbywaliśmy praktyki zawodowe na takich właśnie budowach i ich obraz był dla mnie jak najgorszy. O PKZ-tach niewiele wiedziałem, ale ponieważ interesowałem się zawsze historią, sztuką, miałem wyobrażenie, że konserwacja zabytków będzie miała zupełnie inny charakter niż budownictwo mieszkaniowe czy przemysłowe.

Pracę rozpocząłem od kilkutygodniowego stażu w dziale przygotowania produkcji. Poznałem tam Tadeusza Wawryszyna, doświadczonego budowlanca, który z wielką życzliwością wprowadzał mnie w arkana prac w firmie, a w latach późniejszych miałem okazję z nim współpracować przy rewaloryzacji zespołu pałacowego w Krzyżowej. Pozostając w tym dziale dobrze poznałem strukturę przedsiębiorstwa i, co ważniejsze, cały proces konserwacji zabytków. Firma, która była w czasach socjalizmu monopolistą na rynku konserwacji zabytków, składała się z wielu różnych działów, które dotyczyły całego procesu konserwatorskiego. Dziś sam często powtarzam młodszym kolegom, że konserwacja zabytków to proces interdyscyplinarny, wymagający współpracy wielu różnych dziedzin, zawodów, specjalistów i każdy w tym procesie jest ważny. Większość kompleksowych konserwacji obiektu zabytkowego angażuje: architekta, inżyniera budowlanego, inżynierów branżowych, archeologa, historyka sztuki, często chemika, konserwatora detalu architektonicznego oraz artystów konserwatorów różnych specjalności plastycznych. PKZ-ty tak właśnie zostały zorganizowane, choć może nie od samego początku działania. Najpierw były to głównie pionierzy budowlano-konserwatorskie, ale od 1973 r.

rozpoczął działalność pion naukowo-konserwatorski, prowadzony przez prof. Mirosława Przyłęckiego. Powstały nowe pracownie specjalistyczne, których po kilku latach było dziesięć. Był też dział eksportu, z którym współpracowały wszystkie pracownie, ale on nie miał wielkiego wpływu na konserwację w kraju. Gdy pracowałem w PKZ-tach oddział wrocławski liczył około 750 pracowników. Było to zatem rzeczywiście duże przedsiębiorstwo.

Poznałem w tym czasie wielu konserwatorów, projektantów, architektów, historyków sztuki, rzemieślników różnych specjalności, z którymi później, już w innej rzeczywistości gospodarczej, przez lata współpracowałem. Te znajomości, a w wielu przypadkach przyjaźnie, pomogły mi na różnych etapach moich przyszłych działań zawodowych. Jeszcze powrócę do tych osób w dalszej części wspomnień.

Pierwszą budową, na której pracowałem w PKZ-tach był **kościół garnizonowy pw. św. Elżbiety we Wrocławiu**. To wspaniała, monumentalna bazylika, która jako jedyny gotycki kościół nie ucierpiała w zasadzie podczas II wojny światowej. Niestety po wojnie kilkakrotnie pożar niszczył jedną z najbogatszych i największych świątyń Wrocławia. Bogaci mieszczanie, protestanci umieszczali tu swoje epitafia, kaplice, ołtarze, a także ufundowali wspaniałe organy, które stanowiły chlubę kościoła. Pochodziły z połowy XVIII w. i były dziełem Michaela i Benjamina Englerów. Ale niestety spłonęły wraz z niemal całym drewnianym wyposażeniem w ostatnim, najpoważniejszym w skutkach pożarze 9 czerwca 1976 r. Spłonęła wówczas drewniana więźba dachowa, rusztowania wokół wieży, zawały się częściowo żebra sklepienia nawy głównej, a sklepienia popękały. Pękła również południowa ściana nawy głównej i odchyliła się od pionu. We wcześniejszym pożarze spłonął renesansowy helm wieży i konstrukcje dzwonów. Odbudowy podjęto się dopiero w 1981 r.

Gdy pojawiłem się na budowie pod koniec 1983 r., prace trwały już niemal trzy lata. Z dzisiejszej perspektywy to czas bardzo długi i mógłby wskazywać jeżeli nie koniec remontu, to przynajmniej jego poważne zaawansowanie. Niestety nic bardziej błędnego. W czasach socjalizmu rzeczywistość gospodarcza wyglądała zupełnie inaczej. Podobnie konserwacja zabytków. Przez trzy lata w zasadzie usunięto tylko spalone elementy więźby, rusztowań, empory organowej, ustawiono konstrukcję stalową nowego dachu wraz ze wzmocnieniem korony muru, wykonano nowe rusztowanie wokół wieży i wywieziono pozostałe po pożarze wyposażenie. Można te prace nazwać raczej przygotowawczymi i zabezpieczającymi niż rekonstrukcyjnymi, a tym bardziej trudno je nazwać konser-



Kościół garnizonowy pw. św. Elżbiety we Wrocławiu, lata 80.

watorskimi. Kierownikiem budowy był wówczas Olek Wagner i dziś mogę powiedzieć, że to u niego terminowałem jako przyszły kierownik budowy. W 1983 r. rozpoczęliśmy odbudowę renesansowego helmu, który zaprojektowano w konstrukcji żelbetowej i zakotwiono 6 m wewnątrz ceglanej wieży. W tamtym czasie nie dysponowaliśmy pompami do betonu i całą masę wożono dźwigiem towarowym i tzw. japonkami. To było dość karkołomne i z pewnością wymagało wielkiej uwagi. Cały helm liczył 24 m wysokości, a betonowaliśmy odcinki 1,5-metrowe. Proces podnoszenia rusztowań, ustawiania desek, zbrojenia, podnoszenia windy i betonowania, musieliśmy więc powtarzać kilkanaście razy. Prace przy wieży prowadzono przez całe lata 80. Równoległe z helmem naprawiano elewację, konserwowano kamienne gzymsy, opaski, portale, wzmacniano sklepienia, wykonano taras widokowy. Prace postępowały bardzo powoli. Podstawowym problemem był oczywiście brak materiałów budowlanych, szczególnie cegły gotyckiej. Otrzymywaliśmy jej ok. 10–15 procent potrzeb rocznych i chociaż odzyskiwaliśmy czasami ten materiał z innych obiektów, i tak nie mogło to zaspokoić ogromnego zapotrzebowania. Wieża była w górnych partiach całkowicie spękana i wypalona wewnątrz.

Gdyby nie winda transportowa i oczywiście żelbetowa konstrukcja helmu, mógłbym się czuć jak budowniczy gotyckich katedr. Większość prac wykonywaliśmy bowiem ręcznie z użyciem prostych narzędzi i tradycyjnych materiałów. Ale najgorszą sytuacją na budowie była konieczność znalezienia pracy dla kilkudziesięciu osób, kiedy brakowało podstawowych materiałów. Robotnicy przychodzili do pracy, chcieli zarabiać, a my, czyli nadzór techniczny, musieliśmy im tę pracę zapewnić. Ale gdy brakowało cegieł, dachówek, stali zbrojeniowej, stali konstrukcyjnej, to trudno cieślom, murarzom czy dekarzom zapewnić sensowne zajęcie. A byli to naprawdę wybitni fachowcy. Z wielką satysfakcją mogłem później pracować z wieloma z nich w nowych firmach po okresie transformacji. Józef Superson, jego syn Janek i wnukowie Robert i Jacek to klan znakomitych cieśli. Nie waham się powiedzieć, że najlepszych w kraju. Zdzisław Madej, Lucjan Woźniak to znakomici murarze; Józef Sobol, brygada Czesława Roszki to świetni dekarze, choć z nagłymi, które bywały czasami uciążliwe. Ale z zadowoleniem muszę powiedzieć, że gdy kilka lat później, już w innej rzeczywistości gospodarczej, zaproponowałem im przejście do nowo powstającej firmy, bez wahania przyjęli moją propozycję, choć mogli pozostać w PKZ-tach.

Wewnątrz kościoła prowadziliśmy tylko prace przy konstrukcji krypty pod prezbiterium. Natrafiliśmy na ogromne ilości kości, które najprawdopodobniej umieszczono



Na helmie wieży kościoła pw. św. Elżbiety stoją od lewej: Wasyl Kisyk, Jerzy Pawul, Aleksander Wagner, Bogdan Tatar, Piotr Napierała, lata 80.

tam podczas likwidacji cmentarza parafialnego otaczającego kościół. Archeolodzy i antropolodzy zadomowili się więc w dole pod prezbiterium na całe miesiące. My wydobywaliśmy kości i układaliśmy je w dziesiątkach skrzyń, które później trafiły na jeden z wrocławskich cmentarzy. Przed kopaniem krypty podwiesiliśmy drewniane barokowe stalle do specjalnej konstrukcji, która miała utrzymywać je w całości, bez demontażu w tym miejscu, przez kilka miesięcy, do czasu wykonania docelowego stropu krypty. Nie przewidywaliśmy wówczas, że potrwa to całe dwa lata.

W 1986 r. rozpoczęliśmy jeszcze prace dekarские. Dostarczono nam spod Gdańska dachówkę szkliwioną w dwóch kolorach. Była układana w szachownicę czerwono-zieloną. Ale przed wbudowaniem na dachu musiała leżeć przez zimę na dole, abyśmy przekonali się, czy margiel nie wykrusza polityry. Takie doświadczenie z jakością ceramiki dachowej było w tamtym czasie powszechne. Oczywiście okazało się po sezonie, że 30 procent dachówki nie nadaje się do układania. Dorobiona nowa partia miała z kolei inny odcień kolorystyczny i też nie można było jej ułożyć na tak wyeksponowanej powierzchni. Prace pokrywcze przy dachu nawy głównej trwały więc ponad dwa lata.

Jak wówczas planowano prace i jak podchodzono do różnych terminów najlepiej ilustruje anegdota, którą często powtarzam przywołując ówczesną, socjalistyczną rzeczywistość.

Dowódca Śląskiego Okręgu Wojskowego, który był formalnym inwestorem, zaprosił kiedyś całą dyrekcję firmy i kierownictwo budowy na spotkanie. Było to spotkanie świąteczne, zapewne noworoczne, choć nie pamiętam dokładnie, w którym roku. Spotkanie odbywało się na plebanii, obok kościoła. Oczywiście przy stole toczyły się rozmowy o różnych sprawach i problemach budowy i nagle ów dowódca zadał pytanie, które zmroziło wszystkich: To kiedy zakończycie remont kościoła? To byłoby pytanie tak oczywiste w normalnych warunkach, ale wówczas zabrzmiało absurdalnie. Jak można w ogóle zadać takie pytanie? Podobną refleksję mieliśmy wszyscy. Dyrektor ze zdziwieniem spojrział na kierownika budowy, ten na szefa działu inwestycji. Inspektor nadzoru, projektant i ja byliśmy równie zaskoczeni. Nie pamiętam, jaka padła wówczas odpowiedź, pewnie jakaś wymijająca, ale po spotkaniu wszyscy komentowaliśmy tę sytuację i potwierdzaliśmy, że pytanie było co najmniej niestosowne. To chyba najlepiej ilustruje ówczesną sytuację gospodarczą. Niczego nie dało się zaplanować, bo zamawiane materiały zaspokajały tylko ułamek potrzeb. Zresztą zabytki w tamtym czasie z całą pewnością nie były traktowane priorytetowo, a szczególnie te na Dolnym Śląsku. Ważniejsze

były mieszkania, fabryki czy inne zakłady produkcyjne, niż poniemieckie budowle. Takie określenie, w tamtych czasach, służyło powszechnie. Tak mówiło się o zabytkach na Dolnym Śląsku. Prace ciągnęły się więc wiele lat i choć kościół oraz taras widokowy na wieży zostały otwarte dla wiernych i zwiedzających w maju 1997 r., to konserwacja wnętrza trwała jeszcze w XXI w. Ale najważniejszą dla kościoła decyzją jest ta z 2018 r. Postanowiono zrekonstruować organy Englera. Jak to się stanie, będzie można z całą pewnością powiedzieć, że najważniejszej świątyni mieszczan wrocławskich przywrócono dawny blask.

W czasie pracy w PKZ-tach, w latach 1984–1985, z kilkoma architektami i historykami sztuki z firmy odbyłem na Wydziale Architektury studia podyplomowe pod nazwą „Rewaloryzacja miejskich zespołów zabytkowych i urbanistycznych”. Wśród prowadzących zajęcia byli w zasadzie wszyscy pracownicy Politechniki, Uniwersytetu i ASP we Wrocławiu, którzy mieli coś wspólnego z zabytkami. Tam poznałem kilku profesorów, z którymi później miałem przyjemność bliżej współpracować zarówno na niektórych budowach, jak i w Stowarzyszeniu Konserwatorów Zabytków. Byli to m.in. Henryk Dziurła, Edmund Małachowicz, Olgierd Czerner, Jerzy Rozpędowski. Ukończyłem też kilka kursów specjalistycznych i dość szybko uzyskałem uprawnienia budowlane, co było niezbędne do samodzielnego prowadzenia budowy. Wówczas wydawało mi się, że mogę na własną rękę, bez żadnych ograniczeń, prowadzić wszystkie konserwacje. Dopiero następne lata uświadomiły mi, jak wiele musiałem się jeszcze nauczyć.

Gdy kierownik budowy kościoła garnizonowego, Olek Wagner, zdecydował się na wyjazd do Kampuczy w ramach misji, jakie prowadziły tam PKZ-ty, ja zostałem kierownikiem budowy. Oprócz kościoła garnizonowego „otrzymałem” jeszcze jedną budowę do prowadzenia. Była to **kamienica Pod Żółtym Słońcem** na wrocławskim Rynku pod numerem 6. Niezamieszkała, opuszczony obiekt miał zostać adaptowany na potrzeby Muzeum Sztuki Medalierskiej. Jest to jedna z najcenniejszych kamienic we Wrocławiu. Nie została zniszczona w czasie wojny, choć taki los spotkał większość budynków wokół Rynku, a dodatkowo w przeszłości pełniła różne bardzo reprezentacyjne funkcje, co zapewniło jej artystyczny wystrój na najwyższym poziomie. Pomimo wielu zmian właścicieli i funkcji w ciągu stuleci, zachowały się najcenniejsze elementy ze wszystkich faz przebudowy kamienicy: późnoromańskie piwnice, gotycki parter i więźba dachowa, renesansowe sale, bogato dekorowane polichromiami, na I i II piętrze, barokowe po-



Portal kamienicy Pod Żółtym Słońcem, lata 90.

mieszczenia i klatki schodowe ze stiukami, sztukateriami, plafonami, klasycystyczne elementy wystroju wewnętrznego i elewacji. Z konserwatorskiego punktu widzenia to była budowa marzeń.

Muszę tu znów odwołać się do ówczesnej rzeczywistości. Gospodarka permanentnego niedoboru wszystkiego uniemożliwiała jakieś racjonalne prowadzenie budowy. Dziś taka konserwacja potrwałaby maksymalnie 2–3 lata, a wówczas kilkanaście lat nie gwarantowało jej zakończenia. Ale właśnie tam poznałem wiele technik i metod konserwatorskich, które już w zasadzie nie występują. Dziś, gdy potrzebujemy jakiegoś materiału – po prostu go kupujemy. Firmy chemii materiałów budowlanych w praktyce oferują niemal wszystko. Dowolne zaprawy, wyprawy, tynki, farby, kleje, impregnaty, szpachle, bejce, preparaty wzmacniające, scalające i izolacyjne, i to w zależności od potrzeb produkowane na bazie dowolnych składników. Wówczas wszystko wykonywaliśmy sami. Pamiętam, jak z różnego rodzaju piasku, który zamawialiśmy w rozmaitych piaskarniach i żwirowniach, próbowaliśmy wykonywać różne zaprawy tynkarskie – inne do sal gotyckich, inne do renesansowych, a jeszcze inne do barokowych. Kolory uzyskiwaliśmy z podstawowych palet barw, choć gama kolorystyczna była niezwykle bogata. Wapno do zapraw w zasadzie zdobywaliśmy z wielu miejsc, gdyż w naszych dołach wapiennych lasowało się zbyt krótko. Zdarzało się nam odkupić gdzieś na wsi wapno zadołowane przez chłopą wiele lat wcześniej. Traktowaliśmy je jak ceną zdobycz. To był zupełnie inny materiał. Stosowaliśmy go tylko do najważniejszych pomieszczeń.

Prowadzenie dwóch inwestycji było początkowo dość zajmujące, pełniłem już funkcję kierownika zespołu budów, miałem oczywiście stażystów, ale dopiero gdy wrócił do kraju z budowy w Estonii Wasyl Kisyk, technik budowy, świetny specjalista, który wiele lat pracował w PKZ-tach, odczułem prawdziwą pomoc. Wasyl zajmował się głównie Rynkiem 6.

Podczas prac konserwatorskich w kamienicy Pod Złotym Słońcem poznałem wielu konserwatorów detalu i dzieł sztuki, którzy byli zatrudnieni w pracowni konserwacji dzieł sztuki i pracowni Panoramy Raclawickiej. To oni zajmowali się konserwacją polichromowanych belek drewnianych z okresu renesansu, średniowiecznych polichromii ściennych zachowanych w pachach jednego ze sklepień, barokowego plafonu w najbardziej reprezentacyjnej sali kamienicy, stiuków, polichromii ściennych z różnych okresów, zachowanych fragmentarycznie w różnych salach. Maria Kowalska, Maciej Żelbromski, Ryszard Wójtowicz wraz z kilkoma konserwatorami z pracowni Panoramy Raclawickiej,



to zespół, z którym miałem przyjemność pracować kilkanaście miesięcy, a w latach późniejszych jeszcze przy innych konserwacjach, również za granicą.



Z dzisiejszej perspektywy prowadzone wówczas prace można by oceniać różnie, często krytycznie. Materiały, nawet te bardzo podstawowe, były marnej jakości, brakowało specjalistycznych materiałów konserwatorskich, nie mieliśmy dostępu do nowoczesnych technologii, brakowało sprzętu i specjalistycznego wyposażenia. To wszystko powodowało przewlekłość prowadzonych prac. Pomimo tych słabości, pozytywnie można się odnieść do ówczesnego podejścia konserwatorskiego i do sposobu postrzegania substancji zabytkowej. Choć pewnie wynikało to z różnych przyczyn, substancję zabytkową traktowaliśmy jako wartość nadrzędną. Wymiana oryginalnych elementów na całkiem nowe była rzadkością. Co można było naprawić, zakonserwować, uzupełnić, to realizowano. Nie tak chętnie jak dziś sięgano po nowe wyroby. Dlatego w obiektach konserwowanych w tamtym czasie znajdujemy więcej oryginalnych elementów niż w tych konserwowanych współcześnie.

Tak się szczęśliwie zdarzyło, że obie budowy, na których pracowałem na początku swojej kariery zawodowej w PKZ-tach, kilkadziesiąt lat później poddano kolejnym pracom konserwatorskim i adaptacyjnym, a firma Castellum, którą założyłem kilkanaście lat temu z przyjaciółmi, zdobyła oba te kontrakty.

Kościół garnizonowy wymagał obecnie prac konserwatorskich elewacji<sup>1</sup>. To znacząco poprawiło jego wygląd. W latach 80., tak jak wspominałem, do przemurowań ścian używano cegły gotyckiej, której jakość, delikatnie mówiąc, była słaba. Brak jednolitego wybarwienia, brak lica, nierówne wymiary, brak krawędzi, częściowo cegła z rozbiórek, która często pokrywana była w przeszłości tynkiem, co nawet po dokładnym oczyszczeniu pozostawiało wżery i ślady. Oczywiście po kilkadziesiąt lat doszło jeszcze do naturalnego zabrudzenia elewacji ze środowiska, które z jednej strony te różnice kolorystyczne w cegle nieco zniwelowało, ale z drugiej spowodowało, że ściany świątyni wyglądały, jakby pokrywały je nieregularne plamy. Tu przeprowadzone ostatnio prace konserwatorskie, impregnacyjne i scalające dały niewątpliwie znakomity efekt i na nowo ukazały tę niezwykle budowlę, świetnie wyeksponowaną od południa i od strony Rynku.

W przypadku Rynku 6, przy kamienicy Pod Złotym Słońcem mamy do czynienia z nieco inną sytuacją. W 2006 r. obiekt przeszedł w ręce Zakładu Narodowego im. Osso-



Kościół garnizonowy pw. św. Elżbiety we Wrocławiu, 2019 r.

<sup>1</sup> Remont Castellum w latach 2017–2019 (przyp. W. Napierała)



Sala w Muzeum Pana Tadeusza,  
w kamienicy Pod Złotym Słońcem,  
2016 r.

lińskich i zaplanowano w nim nowe funkcje muzealne. Wystawę zaprojektowano w dużej części jako multimedialną. Zgodnie ze współczesnymi rozwiązaniami technicznymi i technologicznymi wprowadzono wszelkie możliwe instalacje i urządzenia, z jednej strony zabezpieczające obiekt i zbiory przeciwpożarowo i przeciwwłamaniowo, z drugiej zapewniające komfort cieplny i odpowiedni mikroklimat dla zbiorów, z trzeciej udostępniające najnowocześniejsze systemy multimedialne. Nie byłoby w tym niczego niewłaściwego, gdyby nie fakt, że chcąc zachować oryginalne podziały pomieszczeń, wielkości i układ sal, ich dekoracje, wszystkie te urządzenia, a przede wszystkim ich zasilanie, ukryto w historycznych ścianach, stropach i sklepieniach. Przekuwano więc w ścianach i kolebach gotyckich, sklepieniach renesansowych, ścianach barokowych, przejścia i kanały dla tysięcy kilometrów kabli, dziesiątków kilometrów rur i setek metrów wentylacji o wielkich przekrojach gabarytowych. Choć później wiernie przywrócono powierzchnie i dekoracje wszystkich ścian i stropów, to jednak ingerencja w historyczną substancję murów i sklepień była w moim odczuciu nadmierna. Nie dochowano tu należytej troski o substancję zabytkową. Musimy bowiem pamiętać, że ściany czy sklepienia ceglane, kamienne lub mieszane, choć są zasłonięte najczęściej warstwą tynku, pobiałe, tapety lub przez sztukaterie czy okładziny drewniane, są w rzeczywistości nie mniej cenną substancją zabytkową niż eksponowane na powierzchni sztukaterie, stiukowe dekoracje czy tynki. Są tylko niewidoczne, schowane, ale oryginalnie zachowane przez stulecia. Ich ochrona w jak największej ilości i jak najlepszym stanie jest jednym z podstawowych zadań konserwatorskich.

Na marginesie muszę tu dodać, że wrocławska kamienica pod względem nasycenia współczesnymi instalacjami nawet nie może się porównywać do tego, co zaprojektowano w kamienicach Starówki warszawskiej, gdzie zlokalizowano Muzeum Warszawy.

## POLITECHNIKA WROCŁAWSKA

Właściwie nie bardzo wiem, jakimi kierowałem się dokładnie motywacjami, stając do konkursu na stanowisko asystenta w Zakładzie Fizyki Budowli i Środowiska na Wydziale Budownictwa Politechniki Wrocławskiej w 1987 r. Nie chciałem przecież rezygnować z konserwacji zabytków. Traktowałem to jako najciekawsze zajęcie dla inżyniera budownictwa, ale absurdalność gospodarcza tamtych czasów, która konserwację zabytków stawiała na drugim planie, rzeczywiście nie mogła zapewnić pełnej satysfakcji z tego niewątpliwie interesującego zawodu. Nie wspominam tu o innych ustrojowych absurdach. To zapewne zmęczenie tym stanem było głównym powodem mojej decyzji. Jakiś wpływ na nią miał niewątpliwie fakt, że niemal cała rodzina była silnie związana z Politechniką Wrocławską. Mój zmarły w 1985 r. ojciec był profesorem na Wydziale Informatyki i Zarządzania, moi teściowie pracowali na Wydziale Elektroniki, żona Wiesia również na Wydziale Informatyki i Zarządzania, a siostry rozpoczęły studia doktoranckie na tymże Wydziale, choć kontynuowały je w USA. Te rodzinne tradycje pewnie ostatecznie zaważyły na mojej decyzji przejścia do pracy na Politechnice.

Po wygraniu konkursu zatrudniony zostałem na stanowisku starszego asystenta w Zakładzie Fizyki Budowli i Środowiska na Wydziale Budownictwa. Zakład był niewielki, kilkuosobowy i większość pracowników (adiunkci i profesorowie) zajmowała się komfortem cieplnym, modelowaniem klimatu, promieniowaniem długo- i krótkofalowym. Praktyczniejszymi zastosowaniami tych prac i badań były rozwiązania materiałowe i technologiczne z zakresu fizyki budowli i termoizolacyjności. Po kilku miesiącach poznawania problematyki, jaką zajmowano się w zespole, zaproponowałem temat swojej przyszłej pracy doktorskiej. Oczywiście nie mogłem nie zwięzać go z ochroną zabytków. W Zakładzie wśród różnych urządzeń badawczych znajdowała się kamera termowizyjna. Dziś to urządzenie powszechnie stosowane, niemal ogólnodostępne. Wówczas w Polsce tylko dwie uczelnie miały taką aparaturę, która, po pierwsze, była bardzo droga, a po drugie jej zastosowania nie były wówczas znane. Kamera była bardzo nieporęczna, ogromna, ciężka, wymagająca sprzętu uzupełniającego, statywów, ciekłego azotu, dodatkowej aparatury



Gmach Główny Politechniki,  
elewacja południowa

pomiarowej, co zajmowało trzy duże skrzynie. Było to urządzenie przystosowane bardziej do badań laboratoryjnych, niż terenowych. Ale wydawało mi się idealne do tematu mojej przyszłej pracy, której tytuł zaproponowałem prof. Lechowi Śliwowskiemu, szefowi Zakładu i mojemu promotorowi: „Nieinwazyjne metody badania obiektów zabytkowych m.in. z użyciem termowizji podczerwonej”. Nie od razu prof. Śliwowski zgodził się na taki temat doktoratu. Uważał, że niewiele osób zna się na tej problematyce, będą kłopoty z recenzentami itp. Ale gdy udało mi się zdobyć w Miejskiej Dyrekcji Rewaloryzacji miasta Wrocławia pieniądze na pierwsze badania termowizyjne dwóch staromiejskich kamienic, co równocześnie potwierdziło zapotrzebowanie na tego typu opracowania, opór pękł i profesor zdecydował się na otwarcie przewodu doktorskiego o lekko zmodyfikowanym tytule. W literaturze światowej nie znalazłem wówczas przykładów zastosowania termowizji podczerwonej do badań obiektów zabytkowych, czułem więc, że mam tu duże pole manewru badawczego.

Mogę zatem powiedzieć, że moja nowa praca nie oznaczała rezygnacji z konserwacji zabytków. Zamieniłem tylko wykonawstwo budowlane na prace badawcze, ale pozostałem przy zabytkach. Inni członkowie zespołu zajmowali się zagadnieniami bardziej teoretycznymi. Raz w roku Zakład organizował tygodniową Wiosenną Szkołę Fizyki Budowli i Środowiska w Karpaczu w ośrodku Politechniki Wrocławskiej „Limba”. W Szkole uczestniczyli przedstawiciele niemal wszystkich znaczących ośrodków związanych z fizyką budowli w Polsce, jednak w żadnym z nich nie zajmowano się problematyką choćby zbliżoną do tematu mojej przyszłej pracy doktorskiej. Ale mogłem tam liczyć na ciekawe wskazówki, a nawet bardzo konkretną pomoc. Między innymi prof. Piotr Klem z Politechniki Łódzkiej zaoferował mi możliwość korzystania ze swoich urządzeń laboratoryjnych, w tym jego chluby, nowego tunelu aerodynamicznego, który pozwalał na symulację pola temperatur i umożliwiał konstrukcję wewnątrz różnych przegród, odpowiadających badanym ścianom i stropom obiektów zabytkowych. Takie badania laboratoryjne były do pracy niezbędne, a budowa takiego tunelu od podstaw byłaby finansowo nie do udźwignięcia przez nasz Zakład.

Szkoła była oczywiście nie tylko miejscem spotkań zawodowych, ale i towarzyskich. Zapewne z tego drugiego powodu uczestniczyłem w niej przez ponad 20 kolejnych lat, choć już dawno przestałem zajmować się fizyką budowli i swoim doktoratem. Tam poznałem niemal wszystkich znaczących specjalistów w Polsce, którzy interesowali się zawodowo coraz popularniejszą problematyką energooszczędności. W ostatnich latach udało mi



Uczestnicy Szkoły przed ośrodkiem „Limba”.  
Od lewej: Elżbieta Śliwińska,  
Grzegorz Dmochowski, Piotr Napierała



się namówić następcę mojego promotora, prof. Henryka Nowaka, do organizacji Wiosennej Szkoły w Pałacu Paulinum w Jeleniej Górze, który okazał się idealnym miejscem dla takich spotkań.

Po niecałych dwóch latach od mojego zatrudnienia w Politechnice Wrocławskiej, rozpoczął się w Polsce okres zmian, nazywanych wspólnie transformacją ustrojową. PKZ-ty przestały być monopolistą w dziedzinie konserwacji zabytków, a państwo utraciło monopol na własność obiektów zabytkowych (nie licząc sakralnych). Rozpoczęła się nowa rzeczywistość gospodarcza, która kształtowała się przez kolejnych kilkanaście lat.

Ja, podobnie jak wielu (szczególnie młodych) ludzi, starałem się jakoś wykorzystać tę nową rzeczywistość i nowe szanse. W zasadzie przestałem pracować na Politechnice Wrocławskiej, choć formalnie stało się to dopiero na początku lat 90. Przewód doktorski pozostawał otwarty, a ja ludziłem się, że będę miał okazję do niego powrócić, do czego stale namawiali mnie prof. Lech Śliwowski i prof. Krzysztof Cena. Tak się jednak nie stało. Nie powróciłem do pisania zaawansowanej pracy doktorskiej. Rozpocząłem nową działalność. Tym razem na własny rachunek.

Wyniosłem z pracy w Politechnice Wrocławskiej jedno przyzwyczajenie, które starałem się zawsze przekazywać młodszym kolegom i współpracownikom. Chcąc zdobyć jak najwięcej wiedzy, umiejętności, kompetencji, należy korzystać również z doświadczeń innych. Nie można opierać się tylko na swoim doświadczeniu i swojej pracy. Służą temu świetnie konferencje, kongresy, dobrze zorganizowane i prowadzone seminaria. Przez całe następne lata uczestniczyłem w wielu takich spotkaniach poświęconych problematyce konserwatorskiej, zarówno w kraju, jak i za granicą. Uważam, że w sposób absolutnie przyspieszony poszerzałem swoją wiedzę konserwatorską, nie opierałem się bowiem tylko na własnych doświadczeniach zawodowych. Z czasem sam zacząłem z różnymi środowiskami takie konferencje współorganizować. Ale jeszcze do tego powrócę.

## HEXAGON

Razem z Tomkiem Dziendzielem otworzyłem w 1989 r. pracownię projektową pod nazwą Hexagon. Chcieliśmy wykorzystać rodzący się wolny rynek w dziedzinie projektowania, szczególnie obiektów zabytkowych. Początkowo nasze prace to były raczej ekspertyzy i opracowania techniczne, mykologiczne, konserwatorskie różnych obiektów, niż duże projekty. Ale prowadziłem już rozmowy z kilkoma inwestorami prywatnymi, właścicielami znaczących budowli zabytkowych, co było nowością na rynku, o kompleksowych projektach konserwatorskich.

Projekt odbudowy **zespołu parkowo-pałacowego w Pilicy k. Zawiercia** mogę wymienić jako jedno z dużych przedsięwzięć Hexagonu. Był to jednocześnie jeden z pierwszych w Polsce planów adaptacji tak znaczącego obiektu na rezydencję prywatną. Całe założenie składa się z parku o powierzchni 16 ha, pałacu, oficyn, kordegard, murów obronnych i fortyfikacji. Właścicielką była Barbara Piasecka-Johnson, jedna z najbogatszych kobiet na świecie, która wówczas prowadziła rozmowy w sprawie nabycia i uratowania likwidowanej Stoczni Gdańskiej. Uważana była w tamtym czasie za matkę opatrnościową stoczniowców, a prasa okrzyknęła ją aniołem z Jasnej Polany – tak nazywała się jej amerykańska rezydencja. Możliwość kompleksowego zaprojektowania zespołu pałacowo-parkowego zaoferowała mi bratanica pani Piaseckiej-Johnson, Magdalena Piasecka-Ludwin wraz z mężem Jerzym. Wiem, że polecił mnie im jeden z kierowników PKZ-tów, a ich dobry znajomy, który widocznie uważał, że podolam zadaniu, choć od dawna już nie pracowałem w PKZ-tach, a nasza pracownia projektowa niedawno powstała. Ale takie to były czasy. Oczywiście podjąłem bez wahania to wyzwanie. Wydawało mi się, że wszystkie moje złe doświadczenia z konserwacją zabytków, w nowej rzeczywistości i z tak zamożnym inwestorem pójdą w zapomnienie. Tomek i ja zaprosiliśmy do współpracy kilku architektów – m.in. Bożenę Krupską, Basię i Wojtka Strzębałów, Mariusza Karsta; konstruktorów – m.in. Czesława Bielawskiego i kilku branżystów. Praca ruszyła błyskawicznie. Pani Piasecka-Johnson lub jej bratanica, dziś tego nie pamiętam, już wcześniej zleciła badania



**Tomasz Dziendziel**

Mój przyjaciel jeszcze z czasu studiów. Później razem pracowaliśmy na Politechnice Wrocławskiej, założyliśmy razem pracownię projektową Hexagon. Gdy odszedłem ze spółki projektowej do Integeru, Tomek zaczął zajmować się również wykonawstwem budowlanym. Czasami współpracowaliśmy zawodowo. Spotykaliśmy się często, gdyż siedziba Hexagonu leży na mojej trasie z pracy do domu. Tomek pracował dość długo, więc zatrzymywałem się po drodze, wymieniliśmy się różnymi uwagami, niekoniecznie zawodowymi. Zauważyłem jednak, że czasami współpraca naszych firm była dla Tomka trudna. Staraliśmy się więc raczej unikać wspólnych realizacji. Gdy powołaliśmy do życia Castellum, sytuacja niewiele się zmieniła, choć kilka inwestycji zrealizowaliśmy wspólnie. Nasze relacje bardzo się ochłodziły, czego żałuję, gdyż poza wszystkim Tomek był świetnym kompanem na naszych sportowych wyjazdach kibiców, które odbywaliśmy razem z Krzysztofem Terką, Marcinem Bosackim, Wiesiem Kleszczem i Pawłem Skrzywankiem, w różnych konfiguracjach.



Założenie parkowo-pałacowe  
w Pilicy k. Zawiercia

i ekspertyzy obiektu i parku, jak się nietrudno domyślać, cenionym w Polsce historykom sztuki, architektom i konstruktorom. Otrzymaliśmy więc kompleksowe opracowania, na których mogliśmy oprzeć prace projektowe, m.in. prof. prof. Adama Miłobędzkiego, Kazimierza Flagi, Janusza Bogdanowskiego. Wiem, iż niektórzy z nich liczyli, że tak unikatowy temat projektowy trafi w ich ręce, ale tak się nie stało. Na początku wywołało pewną konsternację to, że młodzi, nieznanymi ludźmi, w dodatku z Dolnego Śląska, gdzie jest tylko architektura niemiecka, mają się zająć tak poważnym tematem, zamiast doświadczonych i uznanych specjalistów od architektury polskiej. To oczywiście opinia w pewnym uproszczeniu, ale wiem, że tak traktowała tzw. szkoła krakowska czy warszawska konserwatorów ze Śląska. Pewne drobne napięcia więc występowały. Przygotowaliśmy, jako zespół, pięć koncepcji odbudowy pałacu nawiązujących do różnych faz jego przebudowy i przedstawiłem je pani Piaseckiej-Johnson w Gdańsku, gdzie prowadziła rozmowy z Lechem Wałęsą w sprawie Stoczni. Jedna z koncepcji, po krótkim stosunkowo czasie i z niewielkimi uwagami, została zaakceptowana. Projekt więc ruszył, ale zaczęły pojawiać się nowe sugestie i oczekiwania inwestora. Między innymi – pomysł umieszczenia w nieistniejących piwnicach schronu, skarbcza dla dzieł sztuki gromadzonych przez inwestora. To poważnie zakłóciło dotychczasowe prace, trzeba je było przerwać i zaczynać od nowa, gdyż tak zasadnicza zmiana funkcjonalna w zasadzie uniemożliwiała kontynuację projektu zgodnie z zatwierdzoną wcześniej koncepcją. Otworzyły się co prawda możliwości projektowe dla konstruktorów, ale architekci musieli rozpoczynać prace od nowa. Trzeba było zaprojektować kilkumetrowej głębokości piwnice w wapiennej skale wzniesienia, na którym stoi pałac. Nazywaliśmy to wówczas projektem górniczym, a nie konserwatorskim. W tamtym czasie przepisy pozwalały na częściowe projekty i ich realizację. Projekt architektoniczny niestety kulał. Brak było jednoznacznych i szybkich decyzji inwestora w sprawie nowych propozycji architektonicznych. Ale rozumieliśmy to, bo negocjacje w sprawie Stoczni wkroczyły w dość burzliwy okres i mieliśmy świadomość, że Pilica nie jest tu priorytetem. Projektowaliśmy więc kordegardy, fortyfikacje, park, gdzie decyzje inwestora nie były tak newralgiczne. Prace spowalniały. Później okazało się, że inwestor postanowił wycofać się z kontynuacji projektu i generalnie z odbudowy pałacu w Pilicy. Ta rezygnacja nastąpiła zapewne wiele miesięcy wcześniej, niż nam ją oficjalnie przekazano. To wówczas uświadomiłem sobie, że nie tylko system komunistyczny może być przeszkodą dla sprawnych i całościowych konserwacji, że takich przeszkód może być wiele. Przekonałem się o tym w latach następnych jeszcze wielokrotnie.



W 1990 r. pojawił się nowy, niezwykle interesujący projekt konserwatorski. Dotyczył on **Krzyżowej k. Świdnicy**. Barokowy pałac częścię kojarzy się z symboliczną Mszą Pojednania z 1989 roku, z udziałem kanclerza Republiki Federalnej Niemiec Helmuta Kohla i premiera Rzeczypospolitej Polskiej Tadeusza Mazowieckiego, niż z wartościami historyczno-architektonicznymi. W tym konkretnym przypadku przesłanki ideowe stały się rzeczywistym kołem napędowym dla jednej z pierwszych, po transformacji w Polsce, adaptacji dużego zespołu pałacowego.

Przedwojenny właściciel, Helmuth James von Moltke, został stracony przez nazistów przed zakończeniem II wojny światowej, jako jeden z przywódców nieudanego zamachu na Hitlera. W jego rodowej siedzibie postanowiono utworzyć ośrodek konferencyjny promujący i inicjujący pojednanie polsko-niemieckie. Realizacja tej idei miała się urzeczywistniać głównie poprzez spotkania młodzieży. Układ zespołu tworzyły: pałac, folwark z dziedzińcem, kościół, szkoła i cmentarz rodowy. Całość składała się z kilkunastu obiektów.

Koncepcja adaptacji całkowicie zdewastowanego kompleksu pałacowo-parkowego zakładała utworzenie Międzynarodowego Domu Spotkań Młodzieży. Inwestor, Fundacja „Krzyżowa” dla Porozumienia Europejskiego, której wielu członków związanych było z Klubem Inteligencji Katolickiej we Wrocławiu, rozpoczął negocjacje w sprawie projektu z różnymi pracownikami, m.in. z Hexagonem. Nie planowano jednak zlecenia jednej firmie całościowego opracowania, co moim zdaniem było błędem, a postanowiono projektować poszczególne obiekty osobno. Wiem, że wynikało to głównie z braku, wśród przedstawicieli inwestora, zgody co do koncepcji programowej dla całości przedsięwzięcia. Większość projektów zlecono ostatecznie naszej firmie Hexagon, choć za każdym razem poprzedzane to było uciążliwymi negocjacjami.

Powołaliśmy nową grupę dla tego zadania. Kierował nią Jurek Piskozub, a w zespole byli jeszcze inni architekci, których znałem z PKZ-tów: Ala Zamorska, Ewa Hawrylak, Ania Kościuk. Rozbudowane ciała decyzyjne i doradcze Fundacji „Krzyżowa”, składające się z kilkunastu, a później nawet kilkudziesięciu osób z Polski, Niemiec, Holandii i USA nie przyspieszały ani nie ułatwiały procesu projektowego. Często nie podejmowano ostatecznych decyzji, gdyż doradcy nie potrafili uzgodnić między sobą spójnego stanowiska. Dotyczyło to głównie spraw funkcjonalnych, finansowych, terminowych. Trochę inaczej rozumiano też w tej międzynarodowej grupie rolę zespołu projektowego. Standardy w różnych krajach były odmienne.



Pałac w Krzyżowej



Alina Zamorska



Ewa Hawrylak

Zupełnie świadomie przedstawiam obie projektantki razem. Choć Ala jest moją i Wiesi koleżanką z ławy szkolnej, a Ewę

poznałem w PKZ-tach, to obie architektki nie projektowały nigdy osobno. Były nierozdzielalnym zespołem, powtarzały, że tylko tak mogą pracować. Pamiętam jakieś próby rozdzielenia tematu projektowego na każdą osobno, było to chyba w Krzyżowej – obie zdecydowanie odmówiły. Zaprojektowały razem najpierw jeden obiekt, później drugi. Uważam, że są świetnymi fachowcami od obiektów zabytkowych, czują klimat, dbają o detale, dobrze znają przepisy. Dlatego, gdy zaczęliśmy prace w Kliczkowie, zaproponowałem im, aby otworzyły swoją pracownię projektową, nawet im w tym jakoś pomagaliśmy. Wiedziałem, że dostaniemy dobry projekt. Razem ustalaliśmy najważniejsze szczegóły. Dobrze nam się współpracowało. Później projektowały dla nas Pałac Paulinum, pałace w Radomierzycach i w Wojanowie. Jednak gdy przestaliśmy im zlecać tematy projektowe nie potrafiły, a może nie chciały, kontynuować działalności i zlikwidowały pracownię. To wielka szkoda.

Z tego powodu prace projektowe trwały kilka lat. Ale cały projekt, jak i realizacja zostały zakończone sukcesem i w 1996 r. uroczystie otwarto Międzynarodowe Centrum Konferencyjne „Krzyżowa”<sup>2</sup>.

Z udziałów w Hexagonie musiałem zrezygnować, gdyż w pracach w Krzyżowej reprezentowałem już firmę wykonawczą Integer. To mogłaby być sprzeczność interesów.

## INTEGER

Kilka tygodni po rozpoczęciu prac projektowych pałacu w Pilicy, Magda i Jerzy Ludwinowie zaproponowali mi zajęcie się tematem tego obiektu całościowo, tzn. również jego odbudową i adaptacją. Tę propozycję nie od razu przyjąłem. Ledwie powołałem z Tomkiem pracownicę projektową, praca doktorska rozgrzebana, jeszcze miałem jakieś zajęcia ze studentami na Politechnice, a budowa zlokalizowana była kilkaset kilometrów od Wrocławia, a dojazd do niej dramatyczny ówczesnymi drogami. Ale pokusa kompleksowej realizacji dużego zespołu pałacowego zwyciężyła i przyjąłem propozycję. Gdy dowiedziałem się wkrótce, że pani Johnson planuje kolejne inwestycje konserwatorskie, m.in. zamek na Dolnym Śląsku, kamienice w Krakowie (sam zresztą uczestniczyłem w negocjacjach przy ich zakupie) czy drukarnia pod Wrocławiem, nie miałem wątpliwości co do słuszności tej decyzji. Zaproponowałem utworzenie w spółce Integer, którą rok wcześniej (1988) założyli Magda z Jurkiem, działu budowlano-konserwatorskiego. Firma dotychczas zajmowała się głównie handlem, doradztwem i konsultingiem komputerowym. Zatrudniała kilku, może kilkunastu pracowników i obsługiwała niektóre inne działania pani Johnson w Polsce, głównie charytatywne. Propozycję utworzenia działu zaakceptowano, zostałem jego dyrektorem i zacząłem budowę nowej struktury firmy. Najważniejszy i podstawowy był oczywiście pałac w Pilicy. Rzeczywiście prowadzone dotychczas prace oraz cała organizacja tej inwestycji budziły wiele zastrzeżeń. Jakies dwie krakowskie firmy prowadziły nieskoordynowane, pozbawione dodatkowo koncepcji realizacyjnej, prace zabezpieczające na różnych obiektach. Jedna w pałacu, druga na fortyfikacjach. Na budowie pojawiali się różni eksperci, doradcy, specjaliści powołujący się na ustalenia z inwestorem, którzy próbowali coś tam realizować, zaprojektować, sprzedać, rozwiązać. Istny chaos, który należało jak najszybciej uporządkować. Wiedziałem, że może to zrobić tylko profesjonalny i konsekwentny kierownik budowy. Do dziś nie wiem, jak mi się udało namówić do pracy w Pilicy i w nowo powstałej firmie mojego serdecznego przyjaciela Krzysztofa Terkę. Zaprzyjaźniliśmy się już na początku studiów i tak pozostało przez całe lata. Do dziś jest moim nie tylko przyjacielem, ale najbliższym współpracownikiem i razem przeszliśmy całą



**Krzysztof Terka**

Studiowaliśmy razem budownictwo na Politechnice. Zawsze wiedziałem, gdzie siedział podczas zajęć, gdyż jako absolutny fan Johana Crujffa, znakomitego hollenderskiego piłkarza, pisakiem na ławce

zapisywał jego nazwisko. Jednak przyjaźń z Krzysztofem to przede wszystkim wspólna praca zawodowa. Nigdy się na nim nie zawiodłem. Mimo że czasem się nie zgadzaliśmy, zawsze szybko potrafiliśmy dojść do porozumienia. Brakuje mi dziś jego opanowania, spokoju, uporządkowania. Często razem z rodzinami spędzaliśmy wakacje, jeździliśmy na narty, ale nigdy nie rozmawialiśmy wówczas o sprawach zawodowych.

Jego wiedza na tematy sportowe jest imponująca. Przytoczę anegdotę, która to najlepiej ilustruje. Przez kilka lat regularnie, w gronie kilku osób, Krzysztof i ja jeździliśmy na mecze reprezentacji piłki nożnej. Gdy byliśmy na meczu w Azerbejdżanie, wracaliśmy do hotelu razem z plejadą polskich dziennikarzy sportowych, którzy w specjalnym autobusie pisali teksty dla swoich redakcji. Co pewien czas ktoś rzucał pytanie albo prosił o potwierdzenie jakiegoś faktu z meczu. Np. czy Hajto strzelał w 20. minucie na bramkę z lewego skrzydła. Padały różne odpowiedzi, a Krzysztof pewnie i spokojnie włączał się do tej wymiany zdań – nie Hajto, tylko ktoś tam inny i nie w 20. a w 22. minucie, i nie ze skrzydła, a ze środka pola. Nikt tego nie kwestionował. Padało następne pytanie i znów Krzysztof precyzyjnie odpowiadał. Zachęcaliśmy go w hotelu, popijając z dziennikarzami wino, aby sam pisał relacje i przekazywał je zainteresowanym redakcjom. Byłoby dokładnie i taniej. To nie spodobało się specjalnie dziennikarzom sportowym, ale wieczór był miły. Przygód piłkarskich mieliśmy zresztą wiele. Też mi ich teraz bardzo brakuje.

drogę zawodową. Po studiach pracował w Wielkopolsce, ale kiedy składałem mu propozycję, prowadził w Czechosłowacji, w Karkonoszach, budowę schroniska i związany był kontraktem z firmą Budimex.

Gdy przyjechał do Pilicy, szybko uporządkował sytuację na budowie. Zaproponował zatrudnienie w firmie kilku dekarzom, murarzom, instalatorom, z którymi pracował w Czechosłowacji, ja ściągnąłem cieśli, murarzy, dekarzy, z którymi pracowałem w kościele garnizonowym i przy kamienicy Rynek 6 we Wrocławiu. W ten sposób powstał trzon zespołu budowlanego w Integerze. Prace w zespole pałacowym w Pilicy koncentrowały się początkowo na wykonaniu nowych pomieszczeń piwnicznych w wapiennych skalach, wzmocnieniu całej konstrukcji oraz zabezpieczeniu pałacu i fortyfikacji. Pierwsze doświadczenia w dużej realizacji konserwatorskiej ukazały wiele słabości rynku konserwatorskiego początku lat 90. Dziś nie pamięta się często o technicznym i technologicznym opóźnieniu Polski w stosunku do innych krajów europejskich. Brakowało profesjonalnego sprzętu, narzędzi, nowoczesnych technologii i materiałów. Gdy przypominam sobie ówczesne prace i porównuję z dzisiejszymi możliwościami, jasno widzę, jaką drogę przeszliśmy i to w stosunkowo krótkim czasie.

Niestety sen o amerykańskim inwestorze, który będzie ratował w Polsce zabytki, a firma Integer i my będziemy w tym uczestniczyli, prysł jak bańka mydlana. Pani Johnson wycofała się z adaptacji pałacu w Pilicy na swoją rezydencję, a dokładniej z realizacji jakichkolwiek prac w obiekcie, nie zakupiła również kamienic w Krakowie i nie podjęła się odbudowy zamku na Śląsku. Firma zbudowała dla niej co prawda nowoczesną drukarnię i magazyn papieru w Długoleńce pod Wrocławiem, ale to był koniec inwestycji realizowanych dla polskiej milionerki przez Integer. Oficjalnym powodem wycofania się pani Piaseckiej-Johnson z remontu pałacu w Pilicy były zgłoszone do wojewody katowickiego roszczenia przedwojennych właścicieli o zwrot tego majątku. Twierdzili oni, że powojenna nacjonalizacja była niezgodna z ogłoszoną wówczas reformą rolną. Sadzę jednak, że prawdziwym powodem rezygnacji były zakończone fiaskiem negocjacje w sprawie zakupu Stoczni Gdańskiej. Pani Johnson utraciła dobrą prasę w kraju. Już nie nazywano jej dobroczyńcą i zbawczynią stoczniowców, a nawet krytycznie odnoszono się do niektórych jej działań i inwestycji. To zniechęciło ją do inwestycji w Polsce, a przynajmniej na zapowiadaną wcześniej skalę.

Było to poważne zawirowanie w moich planach. Dział budowlano-konserwatorski firmy liczył już kilkadziesiąt osób. Stworzony został z myślą o poważnych konserwacjach

znaczących obiektów historycznych dla wiarygodnego i znanego inwestora. Pracowali w nim świetni fachowcy, namówieni do pracy przez Krzysztofa Terkę i przeze mnie, świetnie zapowiadający się młodzi inżynierowie, jak chociażby Wiesław Kleszcz. Pojawił się w naszej firmie z rekomendacji Jurka Jasieńki (o którym z całą pewnością jeszcze tu wspomnę), z uwagą, że to jego najlepszy od lat student i dyplomant. Szybko potwierdziła się ta ocena, nie tylko zawodowa. Zaprzyjaźniliśmy się dość szybko i mam przyjemność pracować z Wiesiem do dziś. Zawsze był, obok Krzysztofa Terki, moim najbliższym partnerem zawodowym.

Wcześniejsze plany działania firmy legły więc w gruzach. Dodatkowo był to czas, kiedy w ogóle niewiele zabytków w Polsce konserwowano. Wiele z nich dopiero zmieniali właściciele. Następował proces tzw. uwłaszczenia. Nowi posiadacze zabytków bardzo często nie rozumieli ich znaczenia, wartości, konieczności ochrony. Pomijam tu całkowicie brak kapitału na rynku, a w konsekwencji zastój inwestycji w ogóle, a konserwacji zabytków w szczególności. Pomimo tych trudności i nieoczekiwanych zmian nie miałem zamiaru rezygnować z tworzenia struktur budowlanych i konserwatorskich w Integerze. W tym też czasie zostałem, podobnie jak moi najbliżsi współpracownicy, udziałowcem firmy, choć były to udziały mniejszościowe.

Na początku lat 90. firma podjęła działania zmierzające do zdobycia innych kontraktów na nielicznych inwestycjach budowlano-konserwatorskich. Pojawiła się w tym czasie nowa grupa inwestorów, właściciele zabytkowych staromiejskich budowli. Były to banki i instytucje finansowe, które jako jedyne miały pieniądze i chciały zmienić dla swoich klientów siermiężne wnętrza sal bankowych na nowoczesne i funkcjonalne pomieszczenia. We Wrocławiu silną pozycję projektową na tym rynku zdobyła firma Archicom, założona przez moich znajomych architektów: Dorotę Jarodzką i Kazia Śródkę. Poznałem ich na początku stanu wojennego, gdy razem z moją przyszłą żoną Wiesią działali aktywnie w Arcybiskupim Komitecie Charytatywnym na rzecz więźniów politycznych. Przekonałem ich do współpracy i jako firma wykonawcza realizowaliśmy razem niektóre ich projekty w największych bankach w mieście: w PKO BP przy ul. Wita Stwosza, WBK przy pl. Kościuszki, Banku Zachodnim w Rynku i Banku Handlowym przy ul. Ruskiej, a także w nowym budynku PZU przy pl. Dominikańskim.

Chcąc poszerzyć swoją ofertę, a także zwiększyć szanse na pozyskiwanie nowych zleceń, podjąłem razem z Jurkiem Jasieńką próby wprowadzenia na polski rynek nowych materiałów i technologii stosowanych zarówno w konserwacji, jak i w nowoczesnych aran-



#### **Wiesław Kleszcz**

Gdy przyszedł do firmy Integer jako niemal absolwent budownictwa, początkowo był dla mnie młodszym kolegą, który musi się jeszcze wiele nauczyć, trochę dłużej popracować, aby nabrać samodzielności, odpowiedzialności i zawodowej rzetelności. Nie wiem, jak to się stało, że te wszystkie cechy pojawiły się u Wiesia prawie jednocześnie i w dodatku bardzo szybko. Traktowałem go więc niemalże od początku nie jak niedoświadczony inżynier, który musi się wiele nauczyć, ale jak bliskiego współpracownika. Nasza przyjaźń powstawała zatem na bazie zawodowej. Cieszę się, że trwa tak wiele lat. Wiesiek ma swoje ulubione budowy, na których częściej bywa, szczególnie się nimi zajmuje, wspiera merytorycznie ich kierowników, rozwiązuje różne trudniejsze problemy techniczne i z satysfakcją mi o tym mówi. Mam wówczas wrażenie, że w roli inżyniera czuje się zdecydowanie lepiej niż jako biurokratyczny manager.



### **Jerzy Jasieńko**

Mój przyjaciel i... mentor w wielu sprawach, nie tylko ochrony dziedzictwa kulturowego. Od wielu lat przewodniczący Głównej Komisji Konserwatorskiej. Dziś dodatkowo prorektor Politechniki Wrocławskiej. Niekwestionowany na świecie autorytet konserwatorski w dziedzinie konstrukcji obiektów zabytkowych. Mógłbym opowiadać o nim liczne anegdoty z naszych częstych spotkań, wyjazdów czy konferencji. Mógłbym opowiadać, jak organizował najpoważniejsze w świecie konferencje poświęcone konserwacji zabytków, jak sprawnie prowadził obrady różnych gremiów, jak szybko nawiązuje bezpośrednie relacje z niedawno poznanymi ludźmi, jak tryska nowymi pomysłami, aby ochrona zabytków, szczególnie tych zagrożonych, stała się w Polsce powszechną praktyką, a nie interwencją po katastrofie budowlanej. Ale chyba najbardziej brakuje mi teraz naszych wieczornych kameralnych spotkań, najczęściej w jego kuchni lub na tarasie, gdzie przy butelce, niekiedy nie jednej, dobrego czerwonego wina, planowaliśmy kolejne wspólne przedsięwzięcia. Mieszkamy blisko siebie i takie spotkania nie wymagały szczególnych zabiegów. Zawsze, gdy wracał z jakiegoś dłuższego zawodowego wyjazdu, dzwonił do mnie i mówił: „Jak się spotkamy, opowiem szczegóły”. Owo „spotkamy się” – to właśnie te wieczory w kuchni.

zacjach wnętrzarskich. Jurek był wówczas adiunktem na Wydziale Budownictwa, ale znaliśmy się jeszcze z dzieciństwa, gdyż czasami razem spędzaliśmy wakacje w Ustce w ośrodku wczasowym Politechniki Wrocławskiej – nasi ojcowie byli związani z uczelnią. Później nasza współpraca (szczególnie działalność społeczna na polu konserwacji zabytków) stała się znacznie silniejsza, a prof. Jerzy Jasieńko, uważany za jednego z najwybitniejszych specjalistów od konserwacji konstrukcji obiektów zabytkowych w Europie, stał się dla mnie nie tylko przyjacielem z dzieciństwa, ale ważną postacią w życiu zawodowym i społecznym. Zanim jednak zaczęliśmy razem działać w dziedzinie konserwacji zabytków, nawiązaliśmy współpracę z niemieckimi i włoskimi producentami chemii materiałów budowlanych. Utworzyliśmy wspólną firmę pod nazwą C&I Group. Jej partnerami były Integer i spółka CCI, którą założył wcześniej Jurek, a która wytwarzała i dystrybuowała w Polsce produkty z nowoczesnego materiału amerykańskiego koncernu DuPont, Corianu. Był on z powodzeniem wykorzystywany w architekturze wnętrz. Nowa spółka starała się sprowadzać do Polski niektóre materiały koncernu chemicznego Uzin z Niemiec i sztuczny granit produkowany przez jedną z włoskich firm. Niestety był to czas, kiedy zachodnie przedsiębiorstwa nie bardzo chciały angażować się kapitałowo czy finansowo w Polsce, stało się to dopiero wiele lat później. Musieliśmy zatem sami wprowadzać na rynek nowe, nieznane materiały, co, jak się później okazało, jest wielkim wyzwaniem dla samych producentów, a tym bardziej dla niewielkich dystrybutorów. Niemniej jednak udało się nam zrealizować szereg inwestycji z użyciem tych nowoczesnych materiałów i niewątpliwie z pewną przewagą, którą nazywaliśmy technologiczną, zdobywaliśmy nowe kontrakty budowlane.

Nie można tych realizacji wnętrzarskich z początku lat 90. nazywać do końca robotami konserwatorskimi, choć większość z nich dotyczyła zabytkowych reprezentacyjnych obiektów Wrocławia. Były to XIX- i XX-wieczne banki i domy handlowe. Choć nie zawsze zmieniały się funkcje sal i całych obiektów, to ich wystrój ulegał zdecydowanej przemianie. Nowe materiały, nowoczesne, jak na tamten czas, rozwiązania funkcjonalne, przemieniały wnętrza przedwojennych instytucji finansowych.

Trudno jednoznacznie ocenić ówczesne projekty i realizacje, szczególnie wnętrzarskie. Z jednej strony przestrzegano ważnej zasady konserwatorskiej, aby nowo wprowadzane elementy do obiektów zabytkowych, zostały wyróżnione materiałowo i w ten sposób nie zaciemniały oryginalnego i historycznego ich układu. Ale z drugiej, ten postmodernistyczny styl w architekturze historycznej wywarł zbyt dominujący wpływ na oryginalne wnętrza, zmienił ich charakter. Dziś, po wielu latach, łatwiej to oczywiście zauważyć.

Zawsze tak jest, że z perspektywy czasu lepiej ocenia się trwałość rozwiązań, ich uniwersalność, ponadczasowość, rzeczywiste nowatorstwo itp. Te wprowadzane wówczas, szczególnie materiałowe, okazały się nazbyt agresywne. Nowe podziały posadzek, sufitów, ścian, eksponowane nowoczesnymi, jak na ówczesne czasy, materiałami, dominującymi mocnymi kolorami, w zasadzie całkowicie zaciemniały historyczny i oryginalny układ wnętrza. W pewnym sensie go ignorowały. Na szczęście wszystkie zachowane elementy zabytkowego wystroju były poddawane pieczołowitej konserwacji. Nie zostały one co prawda wyekspozowane i w ten sposób ich atrakcyjność została w jakimś sensie ukryta, ale daje to możliwość powrotu do pierwotnych koncepcji niemal w każdej chwili. Z dzisiejszej perspektywy wiemy, że nowe materiały powinny być bardziej neutralne, mniej dominujące, a ich stosowanie powinno wynikać bardziej ze względów funkcjonalnych niż estetycznych. Jednakże do takiej wiedzy i oceny tych prac i projektów dochodzimy dopiero po wielu latach. Naturalne szkło, zwykły beton, proste, niewyrafinowane elementy konstrukcji stalowych, doskonale pozwalają na wprowadzanie nowych rozwiązań funkcjonalnych, ale nie dominują w historycznych wnętrzach.

Powracając do prac konserwatorskich we wnętrzach modernizowanych banków, warto jednoznacznie wskazać, że żadne zabytkowe elementy nie były zasłaniane, demontowane czy zabudowywane. Co najwyżej pokrywano je nowymi, ale usuwalnymi warstwami, kolorami, powłokami. Uczestniczyło w tych pracach wielu konserwatorów z dawnych PKZ-tów, które niestety jako firma chyliły się ku upadkowi. Do dziś trudno mi zrozumieć, jak przedsiębiorstwo o takim potencjale, dorobku, strukturze, a nawet majątku mogło zniknąć tak szybko z rynku konserwatorskiego.

Choć banki i instytucje finansowe były na początku lat 90. głównymi inwestorami na rynku konserwatorskim, to na szczęście niejedynymi. Gdy pierwsze projekty dla **zespołu pałacowego w Krzyżowej** zostały przez Hexagon zakończone, inwestor rozpoczął z nami, tzn. z firmą Integer, negocjacje w sprawie rozpoczęcia prac. Pierwszym obiektem, którym się zajęliśmy, był zagrożony katastrofą budowlaną pałac, stojący na skarpie niewielkiej rzeki. Barokowy obiekt był całkowicie zdegradowany. Załamany dach i drewniane stropy, spękane ściany, porozbijane kominy i wentylacje, wyrwana stolarka i całe wyposażenie. Ale to niestety najczęstszy widok zespołów pałacowych na początku lat 90. ubiegłego wieku na Dolnym Śląsku. Pałac był pierwszym z kilkunastu obiektów, którymi zajmowaliśmy się w Krzyżowej, a cały zespół pałacowy jedną z naszych najważniejszych realizacji konserwatorskich. Zaproponowaliśmy funkcję kierownika budowy naszemu koledze ze



Zespół pałacowy w Krzyżowej



### Jarosław Okrzeja

Wspominam o nim wielokrotnie w tym tekście, najwięcej o jego pracy w Niemczech. Widywaliśmy się dość często. W pierwszych latach naszej działalności jeździłem do Niemiec co 2 miesiące, później co kwartał albo rzadziej. Były to zawsze dobre i ciekawe wizyty. Dobrze poznałem całą jego rodzinę. Ale chciałbym przytoczyć tu zupełnie inną sytuację z udziałem Jarka. Gdy w 2005 roku uległem wypadkowi samochodowemu, zostałem na kilka tygodni przykuty do łóżka. Było to podczas wakacji. Pewnego dnia odwiedził mnie w domu i oznajmił, że zabiera moje dzieci, Marcina i Dorotę, na rejs na Mazury. Ma już wynajętą łódkę i skompletowaną załogę. Byliśmy, ja i Wiesia, zaskoczeni tym, a równocześnie bardzo wdzięczni, gdyż Jarek rozwiązał nam problem wakacji dla dzieci. Marcin i Dorota wrócili zachwyceni, choć był to w ich życiu tzw. okres buntu.

studiów, Jarkowi Okrzei. To był świetny wybór. Jarek okazał się nie tylko bardzo dobrym kierownikiem budowy, ale też skutecznym managerem. Jeszcze w czasie prac w Krzyżowej zasugerowałem mu zajęcie się planowanymi kontraktami w Niemczech, które udało się nam wkrótce pozyskać. Przez wiele następnych lat był szefem Integeru za zachodnią granicą. Kontrakt w Krzyżowej kontynuował jego zastępca Arkadiusz Duda, który od tego czasu też stale z nami pracował, na początku jako kierownik budowy, a później kierownik projektów. Realizował głównie kontrakty w okolicach Wałbrzycha, Jeleniej Góry i Świdnicy.

Zespół pałacowy w Krzyżowej stanowił dla nas nie tylko problem budowlano-konserwatorski. To był czas wchodzenia na rynek polski nowych narzędzi, materiałów, technologii, urządzeń. Musieliśmy się wszyscy nauczyć odróżniania fałszywych i niesprawdzonych nowości od rzeczywiście wartościowych nowych propozycji. Gdy dziś przyglądamy się poszczególnym obiektom folwarcznym, łatwo dostrzec, że niektóre z nich, te realizowane wcześniej, noszą jeszcze ślady wykorzystania PRL-owskich materiałów i technologii, a te realizowane nieco później cechują już nowocześniejsze rozwiązania, szczególnie jeżeli chodzi o wyroby, urządzenia, instalacje, izolacje czy materiały wykończeniowe. Cały zespół pałacowy świetnie ilustruje więc przemiany technologiczne, jakie nastąpiły w konserwacji zabytków w Polsce latach 1991–1996. Oczywiście wszystkie prace budowlane związane z tradycyjnymi materiałami i metodami ich stosowania nie odbiegały od siebie jakością i standardem w poszczególnych budynkach. Po pałacu, którego konserwacja trwała najdłużej, rozpoczęliśmy adaptację dawnej owczarni na schronisko młodzieżowe. Obora i stodoła zostały adaptowane na restaurację i salę widowiskową, a budynek spichlerza musiał być rozebrany i zrekonstruowany, aby mógł pełnić zaprojektowane funkcje hotelowe. W innych obiektach powstały biura, przedszkole, sale na wynajem. Wybudowaliśmy też oczyszczalnię ścieków krytą zielonym dachem, co było w Polsce rzadkością. Z całą pewnością po okresie transformacji ustrojowej była to pierwsza tak duża rewaloryzacja zespołu pałacowego i zapoczątkowała w naszym kraju nową formułę funkcjonowania dla dawnych rezydencji ziemskich.

Oprócz zespołu pałacowego w Krzyżowej i kilku banków, realizowaliśmy w pierwszej połowie lat 90. kilka nowych obiektów mieszkalnych i usługowych. Były to kontrakty niezbędne dla utrzymania już dość dużej firmy, ale nie wyróżniałbym ich w naszej działalności.

Poszukując nowych kontraktów i rynków konserwatorskich, w sposób oczywisty zwróciłem uwagę na rynek niemiecki. Był to czas, kiedy wielu fachowców z Polski



rozglądało się za wyjazdem za granicę w nadziei na wyższe zarobki. Dotyczyło to również firm budowlanych, montażowych i konserwatorskich. Nie mieliśmy żadnych doświadczeń na tamtym rynku, ale nie miałem wątpliwości, że tradycyjne zawody rzemieślnicze w remontach obiektów zabytkowych są tam cenione, a wielu naszych rzemieślników uważałem, zresztą nie tylko ja, za naprawdę wybitnych.

## Konserwacje w Niemczech

Zasady pracy polskich firm w Niemczech były w tamtym czasie dość skomplikowane. Było to kilkanaście lat przed wejściem Polski do Unii Europejskiej. Obowiązywały tzw. kontyngenty, czyli zezwolenia na pracę, które przyznawało polskie Ministerstwo Gospodarki Przestrzennej i Budownictwa w ramach porozumienia podpisanego z Niemcami. Aby się starać o taki limit zatrudnienia, trzeba było mieć kontrakt z firmą niemiecką, gdyż polskie przedsiębiorstwa budowlane i montażowe mogły działać tylko jako podwykonawcy firm niemieckich. Nie dotyczyło to jednak konserwacji zabytków, dla których był przeznaczony specjalny rodzaj kontyngentu, pozwalający na podpisywanie umów bezpośrednio z inwestorami. Razem z Krzysztofem Terką rozpocząłem zatem podwójne starania, z jednej strony w Niemczech o uzyskanie kontraktu, a z drugiej w ministerstwie w celu otrzymania kontyngentu. Poprosiłem o pomoc w zdobyciu zleceń w Niemczech dwóch moich dobrych znajomych z PKZ-tów, Jurka Michalskiego i Krzysztofa Dydę, którzy pracowali tam wówczas dla jakichś polskich firm budowlanych. Obiecali pomoc i obaj dotrzymali słowa. Musiałem co prawda odbyć kilka bezproduktywnych podróży na spotkania z potencjalnymi inwestorami, ale ostatecznie jeden z wyjazdów zaowocował podpisaniem umowy na prace budowlano-konserwatorskie w zamku Ehreshoven k. Kolonii. To był nasz pierwszy, ale bardzo ważny kontrakt w Niemczech. O innych uwarunkowaniach pracy polskiej firmy za granicą przed wejściem do Unii Europejskiej nie będę się rozpisywał, ale barier, przeszkód, utrudnień nie brakowało. Zmiana nastąpiła dopiero po 2004 r.

**Zamek Ehreshoven** z połowy XIV w. to monumentalna kamienna budowla otoczona fosą, ogrodem angielskim i francuskim, a w skład założenia wchodzi jeszcze kordegardy, potężny budynek bramny, folwark i liczne budowle parkowe i leśne. Obiekt od swojego powstania do 1920 r. należał do jednej rodziny Nesselrode'ów, ale ostatnia przedstawiciel-



Zamek Ehreshoven k. Kolonii

ka rodu przekazała go fundacji, która prowadzi tam do dziś dom dla panien szlachećnie urodzonych. Zarządzający całą posiadłością kurator Jörg Deselaers okazał się nie tylko świetnym managerem, który w kilka lat przywrócił świetność średniowiecznego zamku, rozbudowanego w okresie baroku, ale także osobą bardzo pomocną w rozwinięciu działalności naszej firmy w Niemczech. Prace w obiektach założenia trwały kilka lat. Wynikało to z jednej strony z funduszy, jakie mógł inwestor przeznaczyć na prace konserwatorskie i adaptacyjne, a z drugiej – z wielkości kontyngentu, jakim dysponowaliśmy. Niemal wszystkie obiekty, w których pracowaliśmy zmieniły funkcje. Budynek bramny, niegdyś obronny i gospodarczy, został adaptowany na biura i mieszkania; pobliski folwark obsługujący majątek ziemski – na centrum szkoleniowe dla Związku Kawalerów Maltańskich w Nadrenii Północnej-Westfalii; pawilony ogrodowe – na sale konferencyjne; dwukondygnacyjne poddasze pałacu – na dodatkowe mieszkania i pokoje dla pensjonariuszek. Obiekt był oczywiście wzniesiony z lokalnych materiałów, co miało swoje znaczenie realizacyjne. Musieliśmy opanować obróbkę bardzo twardego kamienia i łupków, z których wykonano wszystkie ściany, mury, konstrukcje oporowe i pokrycie. Do budowy stropów, więźb dachowych i ścian szachulcowych użyto lokalnego, bardzo twardego dębu. Do izolacji ścian i poddaszy używaliśmy po raz pierwszy (choć nie zawsze) materiałów, które nazwałbym ekologiczno-naturalnymi. Były to m.in. maty z włókien palm kokosowych, gliny, siewki, wapna i mielonej kory. Dach pokryty ciężkim łupkiem uszczelnialiśmy warkoczami plecionymi ze słomy, choć można je było zakupić jako wyrób gotowy. Od czasu tej inwestycji coraz częściej sięgaliśmy do materiałów naturalnych, rozbiórkowych, lokalnych. Oczywiście nie każdy region ma takie możliwości i materiały mogące służyć budownictwu bezpośrednio, ale tam, gdzie się to zdarza, mamy wspaniałe przykłady jednorodnej i trwałej architektury regionalnej i nie dotyczy to tylko reprezentacyjnych budowli, ale całych wsi i miasteczek. Ten pierwszy kontrakt w Niemczech pozwolił nam na lepsze poznanie niektórych materiałów i technologii oraz ich obróbki, ale też maszyn i urządzeń, które wówczas w Polsce były bardzo rzadko dostępne. Staraliśmy się niektóre nowości sprawdzić do Polski, oczywiście w ramach możliwości finansowych firmy. Poznaliśmy też nieco inną organizację procesu inwestycyjnego. Rola projektantów w Niemczech jest znacznie szersza. Odpowiadają oni nie tylko za efekt estetyczny czy funkcjonalny, ale często również finansowy inwestycji. To pozwalało wspólnie wypracowywać najlepsze rozwiązania realizacyjne zarówno przez projektantów, jak i wykonawców, a dodatkowo bardziej angażowało merytorycznie samego inwestora.

Prace na pierwszym kontrakcie w Niemczech prowadził Jarek Okrzeja. Od początku wspólnie założyliśmy, że nie chodzi nam o jedno zlecenie czy jeden kontrakt. Chcieliśmy się rozwijać za granicą i pozyskiwać nowe inwestycje. Jarek to świetnie rozumiał i wykorzystał. Przez kilkanaście lat zdobywał nowe kontrakty, nowych inwestorów i projektantów. Kierownikiem w Ehreshoven był Ryszard Dąbek, a Jarek Okrzeja został dyrektorem oddziału w Niemczech. Początkowo wielką pomoc okazał nam kurator z zamku Ehreshoven, który już po kilku miesiącach naszej pracy, polecił naszą firmę innym właścicielom zamków w Nadrenii Północnej-Westfalii. Nie było wówczas takie oczywiste, że polskie firmy prowadzą samodzielnie kontrakty konserwatorskie czy budowlane za zachodnią granicą. Ograniczały to przepisy niemieckie i silna pozycja działających tam zawodowych izb branżowych, które starały się ograniczać obcokrajowcom dostęp do niemieckiego rynku budowlanego. Dla inwestorów, właścicieli zabytków, firma z Polski konserwująca ich dziedzictwo, to była również nowość. Stworzenie wzajemnego zaufania musiało więc trochę potrwać. Kierujący budowami Ryszard Żuberek, Edward Pruchenko, Ryszard Dąbek i inni (w tym oczywiście fachowcy z wielu dziedzin – murarze, malarze, cieśle, dekarze) w znaczący sposób przyczynili się do jego wypracowania. Później pozyskiwanie nowych zleceń konserwatorskich stało się łatwiejsze. Początkowo w naszych kontraktach dominowały adaptacje do nowych funkcji budynków gospodarczych dawnych majątków ziemskich, z których w przeszłości utrzymywały się rezydencje szlacheckie. Zmiana form gospodarowania na wsi, dzierżawa lub sprzedaż ziemi rolnej przez właścicieli majątków okolicznym rolnikom sprawiała, że stajnie, wozownie, stodoły, browary, serownie, mleczarnie, owczarnie czy obory, otaczające zamki lub pałace, nie musiały już pełnić tych podstawowych funkcji. Stały puste, niewykorzystywane, choć w dobrym stanie technicznym. Właściciele nie dopuszczali do ich dewastacji czy rujnacji, jak to niestety wyglądało czy nawet dalej wygląda w Polsce. Ten trend innego użytkowania zabudowań folwarcznych dawnych majątków rozpoczął się w Niemczech na początku lat 80. XX wieku. Do tego czasu były one jeszcze czasami wykorzystywane rolniczo. Oczywiście koncepcje projektowe i funkcjonalne zmieniające dawne zabudowania rolne, były bardzo różne. Obiekty i całe folwarki adaptowano na biura, mieszkania, sklepy, kawiarnie, restauracje, sale konferencyjne, pensjonaty, pracownie projektowe, siedziby firm itp. Kilka z tych adaptacji szczególnie mi utkwiło w pamięci, nie tyle ze względu na jakieś wyjątkowe technologie konserwatorskie czy rangę obiektów, ale z powodu całościowego podejścia konserwatorskiego do budynków.



### **Ryszard Dąbek**

Pracował z nami wiele lat, prowadząc kontrakty i w Polsce, i w Niemczech. Był zawsze bardzo dociepliwy i skrupulatny. Gdy podjęliśmy nowy temat konserwatorski – złozenia Opery Wrocławskiej (był kierownikiem tej inwestycji), nie bazował na wiedzy wykonawców, artystów plastików, ale poszukiwał doświadczonych pozłotników i od nich pozyskiwał wiedzę. Mógł zatem świetnie nadzorować prace złotnicze. Utkwiła mi w pamięci pewna anegdota o Ryszardzie. Gdy pracował w Niemczech na kontrakcie w pałacu Ehreshoven, jak zawsze prowadził doskonale uporządkowany warsztat i magazyn. Na koniec każdego dnia maszyny i urządzenia były wyczyszczone, poukładane, zakonserwowane itp. Na budowie pracowały też niemieckie firmy instalacyjne, których poczucie porządku było nieco inne. Gdy inwestora zirytował w końcu ich bałagan, poprosił Ryszarda, aby pokazał im swoje magazyny i zaplecze. Konfrontacja była jednoznaczna. Tak zaczęła krążyć opinia, że to nie niemiecki, a polski porządek powinien być traktowany jako wzorcowy.



Kompleks Müggenhausen k. Kolonii



Założenie zamkowe w Kleeburgu

W majątku **Müggenhausen** k. Kolonii, cały ceglany i prosty w formie kompleks folwarczny adaptowano na klinikę dla wyścigowych koni arabskich. Był to świetny pomysł funkcjonalny, ale dla mnie przede wszystkim konserwatorski. Projekt w niewielkim stopniu ingerował w ceglane zabudowy dawnej stodoły, stajni czy obory, choć poddawał je pieczołowitej konserwacji. Równocześnie folwark uzyskał nowoczesną funkcję z urządzeniami medycznymi i rehabilitacyjnymi dla koni, a okoliczne pastwiska dalej pozostały wybiegami dla koni. Zmiana funkcji obiektów była zasadnicza, a zmiana otoczenia kulturowego niezauważalna. To powinno być zawsze dążeniem podstawowym projektantów takich obiektów historycznych.

Innym wzorcowym projektem konserwatorskim, w którym uczestniczyliśmy, była adaptacja folwarku i pomieszczeń gospodarczych **założenia zamkowego w Kleeburgu k. Euskirchen** na przedsiębiorstwo odzieżowe, jak pewnie należy nazwać firmę Daniels & Korff. Właścicielem kameralnego, kamiennego zamku otoczonego fosą i średniowiecznymi murami obronnymi był baron Michael von Korff. Postanowił on przenieść do nowo zakupionego zamku firmę, która działała w pobliskim mieście w kilku punktach. Zajmowała się modą męską i, jak twierdził właściciel, ubierała całą elitę polityczną Niemiec. Zamysł polegał na adaptacji do poszczególnych funkcji firmy obiektów, które w ciągu stuleci dobudowywano do murów obronnych warowni. Były to budowle wznoszone z kamienia, cegły w konstrukcji muru pruskiego, o różnym przeznaczeniu. Adaptowaliśmy więc budynki o rozmaitej kubaturze i wystroju, ale z troską o jak najpełniejsze zachowanie oryginału. Właściciel i projektant postanowili dopasować różne działy firmy do istniejących wnętrz, aby ich nie przebudowywać i w jak najmniejszym stopniu przekształcać. W ten sposób, w mniejszych pomieszczeniach gospodarczych znalazły się biura, działy finansowe i marketingowe, w większych – pracownie projektowe i studia fotograficzne, a największe pomieszczenie zaadaptowano na showroom dla oferowanych garniturów, płaszczy, koszul i krawatów. Tak oto cała firma, oczywiście oprócz samej produkcji, znalazła się w jednym miejscu, folwark uzyskał nowe życie funkcjonalne, dalej – jak w przeszłości – mógł utrzymywać rezydencję, w której mieszkał właściciel, a wszystkie obiekty przeszły niezbędny proces konserwacji.



Później coraz częściej prowadziliśmy prace w samych rezydencjach. Tam praktycznie rozumiałem jedną z podstawowych zasad, do których współcześnie odwołuje się doktryna

konserwatorska. Zabytek to nie tylko materia, to również tradycja, duch miejsca, jego historia i postacie z nim związane. Gdy rozpoczynaliśmy prace konserwatorskie w zamku czy pałacu, który do jednej rodziny należy kilkaset lat, to okazywało się często, że dla właściciela zupełnie inne elementy jego rezydencji niż te, które określa konserwator, historyk sztuki czy projektant, mają wartość najważniejszą.

Przypominam sobie jeden z barokowych pałaców w okolicach Kolonii, gdy przed rozpoczęciem prac wszyscy, tzn. lokalny konserwator, projektant i my jako wykonawcy, pochylaliśmy się nad sposobem jak najmniej inwazyjnej konserwacji elementów wyposażenia architektonicznego salonu i reprezentacyjnego holu (schodów, kominków, posadzek, sztukaterii), a właściciel, nie zwracając specjalnej uwagi na całą dyskusję, ciągnął nas wszystkich do niewielkich pomieszczeń na tyłach rezydencji, w których kiedyś mieściła się kuchnia i spiżarnia, a obecnie była jakaś rupieciarnia. Jego tak naprawdę interesowała głównie konserwacja elementów wyposażenia tych właśnie pomieszczeń. Chodziło o jakieś proste drzwi deskowe, stary piec kaflowy, zapadniętą posadzkę ceramiczną, proste wnekowe regały spiżarni. W kontekście bogatego wyposażenia i wystroju pałacu wydawać by się mogło, że to najmniej wartościowe elementy i detale. Ale nie dla właściciela. Jak się później okazało, bankier, który powrócił do swojej rezydencji po wielu latach mieszkania w dużym mieście, miał zupełnie inne wyobrażenia o miejscu, w którym spędził dzieciństwo i które zamierzał wyremontować przed przeprowadzką. Powrót do rodzinnego domu wiązał nie tyle z wystrojem reprezentacyjnych komnat, ile ze wspomnieniami z młodości. Właśnie w owej kuchni poznawał tajniki myślistwa, rozbierania zwierzyny, gotowania, którym oficjalnie nie powinien się zajmować. Tam spędzał najmilej czas w towarzystwie rówieśników i służby i te elementy były dla niego ważniejsze niż reprezentacyjne salony, z którymi miał do czynienia na co dzień. To oczywiście pewne uproszczenie, ale świetnie ilustruje, czym w rzeczywistości jest zabytek.

Innym ciekawym, choć odmiennym przykładem naszych prac, tym razem rekonstrukcji zabytku, był **Haus Kolk** w niewielkiej miejscowości nad Dolnym Renem, przy granicy hollenderskiej. Właścicielem był młody architekt, który odziedziczył po przodkach rozpadający się niewielki obiekt rezydencjonalny z czasów wczesnego baroku, choć jego korzenie sięgają XIV w. Rozpadający się dosłownie. Gdy pojawiliśmy się na budowie, nad ziemią sterczały jedynie ceglane mury jednej kondygnacji, pozbawione okien i drzwi, sucha fosa otaczająca ruinę i w oddali jakiś niewielki budynek gospodarczy. Właściciel postanowił odbudować



Rezydencja Haus Kolk

obiekt na podstawie kilku litografii, w jak najwierniejszy sposób, ale tylko z użyciem starych materiałów. Sam kupował rozbiórkowe cegły, kamień, belki, kominki, dachówki, ceramikę, armaturę sanitarną itp. Jeździł po nie do Belgii, Holandii i Francji. Materiały, które nie były stare, bo nie udało się ich zdobyć, specjalnie postarzano. Na posadzkach układaliśmy grube brusy drewniane, które musieliśmy ręcznie ociosywać, aby przypominały stare, oryginalne, powyginane i popękane podłogi. Podobnie było z nietypowymi biegami schodów drewnianych. Oczywiście takie podejście, z wykorzystywaniem oryginalnych materiałów w konserwacji zabytków, nie było dla nikogo wielką nowością, ale skala, na jaką zostało zastosowane w tym niewielkim dworze, była imponująca. To oczywiście głównie kwestia finansowa, ale również wrażliwości i rozumienia dziedzictwa przez inwestora czy projektanta.



Zamek Eberstein

Jedną z najważniejszych naszych konserwacji w Niemczech był **zamek Eberstein** w Badenii-Wirtembergii, niedaleko znanego kurortu Baden-Baden. Właściciel, jeden z członków zarządu dużego banku, zakupił budowlę od księcia Baden-Badena i postanowił urządzić tam swoją letnią rezydencję. Obiekt był tylko częściowo użytkowany i wymagał rzeczywiście poważnej konserwacji. Składał się z reprezentacyjnych pomieszczeń zamkowych oraz rozległego przedzamcza. Prace trwały kilka lat. Objęły i reprezentacyjne wnętrza, i zabudowania gospodarcze, którym przywracaliśmy pierwotne funkcje gospodarcze, co nie jest częste. Zamek stojący na wysokim wzgórzu otoczony był w przeszłości winnicami, a produkcja wina stanowiła jedno z głównych źródeł dochodu majątku, ale winnice po wojnie zlikwidowano. Nowy właściciel na kilkudziesięciu hektarach południowego i zachodniego stoku odtworzył winnice, a my przywracaliśmy dawnym pomieszczeniom gospodarczym pierwotne funkcje. W różnych miejscach zachowało się wiele urządzeń i rozwiązań technicznych stosowanych w transporcie, przechowywaniu beczek, produkcji wina. Musieliśmy ponownie przywrócić im funkcjonalność. Wiele brakujących drewnianych elementów dorabialiśmy z bali dębowych, uzupełnialiśmy ceramiczne kadzie i zbiorniki, przywracaliśmy kamienne drogi i ścieżki transportowe. Również reprezentacyjne wnętrza stanowiły poważne wyzwanie. Poza tradycyjnymi i często występującymi pracami konserwatorskimi mieliśmy tam do czynienia z konserwacją rzadziej spotykanych elementów. Skórzane tapety na ścianach, draperie, pierwsze gazetowe tapety, oryginalna XIX-wieczna armatura sanitarna wymagały specjalistycznego podejścia. Ściągaliśmy więc z Polski konserwatorów różnych specjalności. Niektórzy z nich na całe lata związali się z inwestorem i już po zakończeniu przez nas prac prowadzili stopniowo konserwację bogatego wyposażenia zamku.

Naszym największym dziełem konserwatorskim zespołu pałacowego w Niemczech, była restauracja barokowej siedziby szlacheckiej **Körtlinghausen**. Sam pałac, podobnie jak i inne rezydencje w Westfalii, zawdzięcza swe powstanie rozwojowi architektury szlacheckiej w pierwszej połowie XVIII w., choć pierwsze wzmianki o budowli zamkowej pochodzą z 1398 r. Körtlinghausen, jako jedna z twierdz Westfalii, otoczony był szeroką fosą wypełnioną wodą i kamiennymi murami obronnymi. Przedzamkowa wyspa z folwarkiem i zapleczem gospodarczym też pełniła funkcje obronne. We wnętrzach zachowały się barokowe dekoracje sal parteru i częściowo piętła (sztukaterie, posadzki, kominki, freski).

Prowadzone przez nas prace konserwatorskie objęły cały pałac. Na początku poddano adaptacji na cele mieszkalne nieużytkowane wcześniej poddasze. Wiązało się to i z konserwacją, i z licznymi przeróbkami oryginalnej dębowej więźby dachowej. Później prace objęły cały pałac. Konserwowano stolarkę, uzupełniano gliniane sztukaterie, konserwowano barokowe freski i plafony. Wprowadzono do pałacu nowe funkcje sanitarne. Poważnej przebudowie uległo pierwsze piętro (prywatny apartament właścicieli). Uroczyste zaprezentowanie odnowionego pałacu odbyło się we wrześniu 2003, w Dniu Ochrony Zabytków w Nadrenii. Prace trwały 4 lata.



Do czasu mojego odejścia z Integeru w styczniu 2007 r., przeprowadziliśmy w Niemczech konserwacje ponad 30 założeń pałacowo-parkowych, zamków i kilku zabytkowych willi w pięciu landach, choć najwięcej w Nadrenii Północnej-Westfalii.

Doświadczenia zdobyte za granicą okazały się bardzo cenne w krajowych realizacjach. Początkowo dotyczyły one głównie poznawania nowych materiałów, technologii i urządzeń, które do Polski dopiero zaczęły docierać. Mieliśmy do nich dostęp i szybciej, i – jak się wydaje – w pełniejszym wydaniu. Później te doświadczenia rozpatrywałem już w kontekście szerszym, podchodzenia do różnych zagadnień konserwatorskich i inwestycyjnych. Nie wszystkie dobre rozwiązania stosowane przez nas w Niemczech mogliśmy wprowadzać od razu na nasz rynek. To kwestia kapitału, wiedzy i doświadczenia projektantów, oczekiwań i zrozumienia ze strony inwestorów. Sądzę, że potrzebowaliśmy kilku, a nawet kilkunastu lat, aby pojąć i zaakceptować niektóre standardy realizacyjne związane z adaptacjami obiektów zabytkowych. Rozumiem przez to głównie podejście do substancji zabytkowej, poszanowanie dla tradycyjnych rozwiązań, przywiązanie do stosowania lokalnych materiałów, zagospodarowywanie i powtórne wykorzystanie rozebranych, oryginalnych elementów.



Pałac Körtlinghausen

Niektóre doświadczenia inwestycyjne, a nawet szerzej – społeczne, na długo pozostały mi w pamięci. Chociażby patriotyzm lokalny inwestorów. Właściciele, którzy prowadzili swoje majątki od pokoleń, starali się żyć ze społecznością lokalną w jak najlepszych relacjach, również gospodarczych. Pojawienie się firmy z Polski na ich inwestycjach wskazywało, że część prac dotychczas wykonywanych przez rodzime firmy zostanie zrealizowana przez obcych. Dlatego inwestorzy za wszelką cenę starali się zlecać lokalnym firmom różne prace, włączając je nawet symbolicznie do prowadzonych przez nas zadań. Sami kupowali materiały w lokalnych hurtowniach, choć czasami przedstawiane przez nas oferty były cenowo znacznie korzystniejsze. Zamawiali wyroby u rodzimych wytwórców, choć nie były to najlepsze propozycje. Starali się utrzymać pewnie wielowiekowe tradycje współpracy dworu z mieszkańcami. Na Dolnym Śląsku po wojnie takich relacji oczywiście nie mogło być ze względów zasadniczych, ale nie było ich również w innych rejonach Polski, zresztą z podobnych powodów – zabrakło właścicieli dawnych rezydencji ziemskich.

## Porównanie konserwacji w Nadrenii Północnej-Westfalii i na Dolnym Śląsku

Na przełomie XX i XXI w. realizowaliśmy wiele konserwacji i adaptacji zespołów pałacowych na Dolnym Śląsku. Po Krzyżowej były to m.in.: pałace w Tuszynie i Radomierzycach, Dwór Czarne pod Jelenią Górą, Zamek Książ czy Zamek Kliczków. Rozpoczął się okres inwestowania w tego typu obiekty przez nowych właścicieli, którzy od Skarbu Państwa, agencji, samorządów i różnych instytucji państwowych odkupywali dawne, choć kompletnie zrujnowane pałace i dwory.

Porównując konserwacje zespołów pałacowych prowadzone przez naszą firmę nad Renem z tymi wykonywanymi nad Odrą, bardzo łatwo dostrzec podstawową różnicę w zakresie i charakterze prowadzonych prac. Różnica ta wynika głównie ze stanu zachowania obiektów podlegających rewaloryzacji oraz sposobu ich użytkowania.

Dolnośląskie zespoły pałacowe czy zamkowe w ogromnej większości stały nie tylko nieużytkowane, co mogłoby oznaczać ich zniszczenie naturalne, lecz niestety były często świadomie dewastowane, rozgrabiane z detali architektonicznych i traktowane jako miejsce pozyskiwania materiałów i surowców budowlanych. W wielu przypadkach stan techniczny tych obiektów to był stan katastrofy budowlanej. W każdym z wymienionych wyżej dolnośląskich zespołów pałacowych przynajmniej jego część była ruiną. W Nadrenii



Dwór Czarne



Północnej-Westfalii, gdzie przeprowadziliśmy najwięcej konserwacji, wszystkie obiekty miały właściciela lub użytkownika, zostały lepiej lub gorzej zabezpieczone, a ich stan techniczny był bez porównania lepszy. Tam prac nie musieliśmy rozpoczynać od ratowania budowli w trybie awaryjnym.

Kolejnym elementem wpływającym na zakres prowadzonych prac konserwatorskich jest współczesne przeznaczenie zespołów rezydencjonalnych. Każdy z pałaców czy zamków na Dolnym Śląsku całkowicie zmienił swoją funkcję. Rezydencje w Kliczkowie i Radomierzycach są już czy miały być centrami konferencyjnymi; pałac w Tuszynie został przeznaczony na szkołę podstawową; zespół pałacowo-folwarczny w Krzyżowej to Międzynarodowy Dom Spotkań Młodzieży; Dwór Czarne związany jest z Fundacją Kultury Ekologicznej. Żaden z obiektów nie zachował zatem charakteru rezydencjonalnego. W każdym zaproponowano funkcje ogólnodostępne, co wymaga spełnienia szeregu współczesnych przepisów ochrony przeciwpożarowej, sanitarnych i Państwowej Inspekcji Pracy. Wszystkie te wymogi wpisywane w starą, zabytkową substancję, bardzo często poważnie utrudniają racjonalne podejście do odbudowy obiektu zabytkowego, zwiększają koszty całej inwestycji i ograniczają planowane rozwiązania funkcjonalne. W Nadrenii Północnej-Westfalii prawie wszystkie zespoły zachowały swoje pierwotne przeznaczenie. Każdy z nich jest rezydencją prywatną i nawet jeśli we współczesnych modernizacjach przypisano im dodatkowo funkcje konferencyjno-bankietowe, to z punktu widzenia przepisów niemieckich pozostały one obiektami prywatnymi i podlegają w ograniczonym stopniu współczesnym wymaganiom i standardom użytkowym.

Suma tych dwóch warunków, tj. stanu zachowania zespołów pałacowych oraz zmiany lub utrzymania pierwotnych funkcji rezydencjonalnych, jest podstawowym powodem, dla którego rewaloryzacje tych zespołów w Polsce mają charakter totalny, a w Niemczech są to raczej działania o charakterze konserwatorsko-modernizacyjnym. Ta podstawowa i, wydawać by się mogło, fundamentalna różnica nie jest jedyną.

Kolejnym zagadnieniem są rozwiązania materiałowe. Zarówno na Śląsku, jak i w Nadrenii Północnej-Westfalii budynki wznoszono głównie z kamienia i drewna, kryto je łupkiem lub materiałami ceramicznymi. Pałace otaczano parkami i ogrodami, a elewacje dekorowano, w zależności od stylu architektonicznego, detalami kamiennymi. Jednak z punktu widzenia konserwacji różnice materiałowe są zasadnicze. Wznoszenie budowli z kamienia było oczywiście spowodowane wykorzystaniem naturalnych materiałów budowlanych. Na Dolnym Śląsku był to głównie piaskowiec, materiał łatwo dostępny



Tuszyn



an Michel - 2008



### **Jan Edward Koziotek**

Poznaliśmy się pewnie ponad 30 lat temu. Architekt, inżynier budownictwa, jak mówią jego przyjaciele – jeden z najzdolniejszych absolwentów obu wydziałów. Ale nie planował kariery akademickiej. Pozostał nauczycielem rysunku na Wydziale Architektury PWr. Jest świetnym akwarelistą. Maluje głównie architekturę. Nasze pierwsze kontakty związane były właśnie z akwarelami. Zamawiałem je często dla inwestorów, gdy kończyliśmy jakąś budowę i na uroczystościach zakończenia wypadało coś wręczyć zamawiającemu. Jednak zdarzało mi się, że przypominałem sobie o tym w ostatniej chwili. Wpadałem wówczas do Jasia z kilkoma zdjęciami jakiegoś obiektu i mówiłem, że wcześniej rano muszę jechać do Niemiec i dla właściciela pałacu potrzebuję akwareli. Jaś wysyłał mnie wówczas do pobliskiego sklepu po piwo i zaczynał malować. Gdy wracałem, miał już pierwsze szkice. Czasami próbował kilkakrotnie, gdyż sam nie był zadowolony z efektu. Zawsze wracałem ze świetną pracą i rzeczywiście dobrze odbieraną przez obdarowanego.

Później spotykaliśmy się już nie tylko w interesach. Wpadałem do jego pracowni w Rynku, gdzie pokazywał mi swoje projekty. Były to najczęściej jakieś nowoczesne wnętrza lub nowe budynki. Prezentował też najciekawsze rysunki swoich uczniów, którzy przychodzili tu na zajęcia. Potem zawsze rozmawialiśmy o kobietach.

i prosty w obróbce, powszechnie występujący w różnych rejonach Śląska. W Nadrenii Północnej-Westfalii był to lupek bazaltowy, kamień powszechnie występujący w tzw. westfalskich górach lupkowych, prosty w pozyskiwaniu, natomiast trudny w obróbce. Stąd na pierwszy rzut oka łatwo dostrzec wielką powściągliwość w detalu architektonicznym elewacji pałacowych w zachodnich landach Niemiec. Poza portalami wejściowymi do rezydencji (do których wykonania specjalnie ściągano piaskowiec) i drobnymi elementami dekoracyjnymi, w zasadzie elewacje są proste – kamienne, tynkowane lub licowane cegłą. Dolnośląskie budowle pałacowe są wręcz przepelnione detalem kamiennym. Oprócz portali wejściowych (wszystkich, nie tylko reprezentacyjnych) pojawiają się na elewacjach gzymsy koronujące i pośrednie, opaski okienne, dekoracje rzeźbiarskie szczytów. Lokalni rzemieślnicy prześcigali się w kunszcie i mistrzostwie wykonania detali architektonicznych (widać to najlepiej w Kliczkowie, Radomierzycach i Tuszynie). Niestety piaskowiec, choć niewątpliwie łatwy w obróbce i pozwalający na finezyjne dekoracje, jest materiałem znacznie mniej trwałym niż bazalt czy granit. Obiekty zamkowe (zwłaszcza te powstałe w XV czy XVI wieku) były wielokrotnie przebudowywane. Szczególnie wiek XIX dokonał rewolucji w rezydencjach zamkowych i pałacowych. W Nadrenii Północnej-Westfalii, gdzie mury wznoszono z twardego lupku, ich stan techniczny był bardzo dobry. Rzadko więc dokonywano przemurowań, uzupełnień czy przekuć w istniejących ścianach. Na Dolnym Śląsku, przy częstych przebudowach uzupełniano ściany kamieniem polnym, cegłą ceramiczną, piaskowcem, nie zawsze dbając o właściwe połączenie tych materiałów. Stąd przy konserwacjach, połączonych z naprawami konstrukcji ścian i stropów, zagadnienie naprawy rozwarstwionych murów jest poważnym problemem konstrukcyjnym i konserwatorskim.

Podobne różnice dotyczą innego materiału konstrukcyjnego, jakim jest drewno. Zarówno na Dolnym Śląsku, jak i w Nadrenii Północnej-Westfalii używano go do budowy więźb dachowych, stropów, konstrukcji szachulcowych murów itp. W okolicach Kolonii drewnem najczęściej używanym do budowy reprezentacyjnych rezydencji był, powszechnie występujący w tamtejszych lasach, dąb. W okolicach Wrocławia, Legnicy czy Jeleniej Góry wykorzystywano drewno iglaste (sosnę, świerk, rzadziej modrzew). Drewno dębowe, pomijając jego parametry wytrzymałościowe, jest materiałem znacznie trwałszym. Wiele drewnianych elementów konstrukcyjnych z drewna liściastego pochodzi jeszcze z XVI czy XVII wieku. Często zatem podczas przebudów obiektów zamkowych pozostawiano je w ich pierwotnym układzie. Drewniane stropy, więźby dachowe, kon-

strukcje szachulcowe ścian są zdecydowanie starsze nad Renem niż nad Odrą. Nie tylko więźby dachowe z dębu, ale również pokrycie z lupku, są starsze i trwalsze w Nadrenii Północnej-Westfalii. Właściwie wszystkie obiekty wchodzące w skład wspomnianych tu założeń dolnośląskich miały wymienione całkowicie pokrycie dachowe.

Niewątpliwie poważne różnice wiążą się z konserwacją technicznego i instalacyjnego wyposażenia zespołów pałacowych. Użytkowane przez właścicieli rezydencje dworskie posiadają prawie zawsze wszystkie niezbędne instalacje sanitarne i elektryczne. Oczywiście ich stan techniczny (dotyczy to instalacji z końca XIX i początku XX wieku) bywa bardzo różny. Jednak w procesie rewaloryzacji tych obiektów bardzo często pozostawia się stary, oryginalny osprzęt sanitarny czy elektryczny, poddając go niezbędnym zabiegom renowacyjnym. Połączenie współczesnych instalacji z dziewiętnastowiecznymi wylewkami z brązu, złoconego brązu czy srebra, kranami z mosiądzu, kryształu czy ceramiki, marmurowymi wannami, kamiennymi czy ceramicznymi zlewami i muszlami, stanowi zagadnienie konserwatorskie współcześnie w Polsce prawie nieznane. Wynika to oczywiście ze stanu zachowania dolnośląskich zespołów rezydencjonalnych, w których takie wyposażenie praktycznie nie występuje. Totalna zmiana wszystkich instalacji i stosowanie współczesnego osprzętu jest standardem w konserwacji obiektów architektury w Polsce.

W konserwacjach detali architektonicznych różnic technicznych czy technologicznych w praktyce nie ma. Pojawiają się co najwyżej rozwiązania rzadko w Polsce spotykane. Jednym z nich są niewątpliwie sztukaterie gliniane, które zdobią wnętrza niektórych barokowych pałaców na zachodnich krańcach Niemiec. Inną różnicą konserwatorską są bardzo częste transfery detali z jednego obiektu do drugiego. Dotyczy to np. kamiennych posadzek, kominków, posadzek taflowych itd. W konserwacjach polskich staramy się raczej takie elementy pozostawić w miejscach ich pierwotnego wbudowania.

Podjęcie do niektórych zagadnień konserwatorskich w Niemczech bywało kontrowersyjne, za przykład może służyć zbyt duża dokładność w uzupełnianiu niektórych brakujących elementów. Często chciano za wszelką cenę ukryć dorabiany element, poprawić oryginał, nadać mu bardziej estetyczny charakter, choć nie było takiej potrzeby. Za rzadko sięgano po tzw. konserwację zachowawczą, chociażby tynków, murów, konstrukcji drewnianych. Nawarstwienia w starym obiekcie są naturalne. Nie wszystko musi być scalone, ujednolicone, jak „spod igły”. Na szczęście nie było to podejście powszechne. Wielu inwestorów i lokalnych konserwatorów nie podzielało tej „troski”.



Hotel Tumski



### **Paweł Skrzywanek**

Historyk sztuki, prezes kilku spółek samorządowych, były dyrektor Wydziału Kultury, Sportu i Turystyki w Urzędzie Wojewódzkim we Wrocławiu. Nie przypominam sobie, kto nas poznał ze sobą, ale pamiętam, że po pierwszym spotkaniu zaproponowałem mu stanowisko dyrektora Hotelu Tumskiego. On wówczas poszukiwał jakiejś pracy i – jak się okazało – był niezwykle kreatywny, energiczny, pełen pomysłów. Jak mówią nasi znajomi, Paweł jest wszędzie i wszyscy go znają. Ale ja muszę dodać, że jest równocześnie bardzo pomocny, życzliwy, wspierający wszelkie dobre pomysły,

## Inwestycje własne Integeru

Pierwszą naszą realizacją obiektu zabytkowego, gdzie wystąpiliśmy nie tylko w roli wykonawcy czy projektanta, ale również inwestora, był **Hotel Tumski** we Wrocławiu. W rzeczywistości był to remont dawnej, przedwojennej bursy dla studentów Nadrenii-Palatynatu, którzy studiowali we Wrocławiu. Po wojnie w obiekcie mieściło się technikum młynarskie i spożywcze, później został on jednak opuszczony i ulegał stopniowej dewastacji. Nasza rola inwestora była w tym przypadku nieco wymuszona i z całą pewnością nieplanowana. Remontowaliśmy nieużytkowane kamienice na Wyspie Młyńskiej, które przekazano Polskiemu Towarzystwu Turystyczno-Krajoznawczemu. Kontrakt obejmował prace konstrukcyjne oraz naprawę więźby i pokrycia dachowego. Te działania miały charakter zabezpieczający budynek, gdyż dalsze pozostawianie go bez remontu groziło wręcz katastrofą budowlaną. Docelowo w obiekcie miało się mieścić schronisko młodzieżowe. Gdy byliśmy już w zasadzie na końcu prac, inwestor oznajmił nam, że niestety nie ma środków na pokrycie zobowiązań wynikających z umowy. Wcześniej zagwarantowane pieniądze zostały wydane gdzie indziej, cofnięto wcześniejszą dotację lub coś podobnego. To zresztą nieistotne. Najważniejsza informacja była taka, że znacząca kwota wydana przez nas na remont po prostu do firmy nie wróci. Podjąłem natychmiast negocjacje z PTTK i jedynym wyjściem okazało się czasowe przejście przez nas obiektu, dokończenie remontu, użytkowanie go przez firmę i po jakimś czasie przekazanie z powrotem Towarzystwu. Oczywiście jedynym rozwiązaniem funkcjonalnym, jakie wchodziło w rachubę, była adaptacja budynku na hotel. PTTK domagało się adaptacji na schronisko młodzieżowe, aby po ponownym przejściu obiektu mogło go dalej użytkować. W konsekwencji zawarliśmy kompromis polegający na tym, że kilka pokoi na parterze rzeczywiście urządzimy w standardzie schroniska, a reszta zostanie zaadaptowana na hotel 3-gwiazdkowy. Przygotowałem wstępne analizy, z których wynikało jednak, że takie rozwiązanie nie pozwoli na zwrot zainwestowanych środków w ciągu kilku lat. Przedstawiłem więc zarządowi spółki propozycję umowy gwarantującej dzierżawę obiektu przez kilkanaście lat. Wszyscy zaakceptowali tę propozycję, ale też nie było innego sposobu, aby odzyskać włożone pieniądze.

Umowa była jeszcze przez jakiś czas negocjowana, ale ostatecznie została podpisana na tych podstawowych warunkach. Przystąpiliśmy bezzwłocznie do projektowania i prowadziliśmy dalej prace budowlane. Remont posuwał się bardzo sprawnie i po roku (2000 r.) obiekt był gotowy do przyjęcia pierwszych gości. Budynek nie zawierał jakichś szczególnie

cennych elementów wystroju, z wyjątkiem tzw. Czarnej Sali, która miała secesyjny charakter. Pomimo poważnych zniszczeń stropu belkowego, stolarki okiennej i drzwiowej oraz empory drewnianej, poddaliśmy wszystkie te elementy konserwacji i zachowaliśmy oryginalny wystrój pomieszczenia, które stało się salą konferencyjną w obiekcie hotelowym. Pracami kierował młody inżynier Paweł Kleszcz. Rola inwestora stanowiła dla nas nowe doświadczenie, ale podążaliśmy drogą, która jest i była dość charakterystyczna dla większości firm budowlanych, w tym budowlano-konserwatorskich. Po latach występowania w roli wykonawcy czy, szerzej, usługodawcy, firmy podejmują własne inwestycje deweloperskie lub inne. Tak było również z nami.

Obiekt szybko wpisał się w krajobraz kulturowy Ostrowa Tumskiego. Jego charakterystyczna sylwetka, świetna lokalizacja ożywiły tę część miasta. Hotel dobrze prosperował i z całą pewnością ta pierwsza własna realizacja była również sukcesem ekonomicznym i zachętą do dalszych inwestycji własnych. Wnętrza zaprojektowała Anna Morasiewicz.

Niewątpliwie najważniejszą realizacją konserwatorską przelomu XX i XXI w. była dla firmy, ale też dla mnie osobiście, adaptacja **zamku w Kliczkowie** na centrum hotelowo-konferencyjne. Po raz pierwszy miałem bowiem okazję odpowiadać za uratowanie cennego zabytku w pełni. Rozumiem przez to udział w jego projektowaniu, realizacji, uruchomieniu nowej działalności i oczywiście pełnienie roli inwestora. To z całą pewnością marzenie każdej osoby, która zajmuje się w dowolnym obszarze konserwacją zabytków, aby uratować obiekt i w pełni za to odpowiadać.

W 1989 r. zamek Kliczków kupiła od Politechniki Wrocławskiej powstała rok wcześniej firma Integer. Było to zapewne spowodowane zapowiedziami Barbary Piaseckiej-Johnson, że będzie się angażowała finansowo w ratowanie zabytków w Polsce. Jej siostrzenica Magda Piasecka-Ludwin i być może inni przedstawiciele rodziny poszukiwali na Dolnym Śląsku ciekawego obiektu pałacowego, choć z tego, co wiem, nie było jakiegos jednoznacznego celu dla jego zakupu. Pewnie miała o tym zdecydować pani Piasecka-Johnson. Jednak gdy rok później polska milionerka wycofała się z poważnych inwestycji w kraju, zamek pozostał w rękach spółki, która nie miała żadnych możliwości jego ratowania czy adaptacji. Będąc już wiceprezesem Integeru, starałem się poszukiwać jakichś inwestorów, partnerów czy chętnych do odkupienia obiektu. Ale to było wówczas, w latach 90., kompletnie nierealne. W konsekwencji raz lub dwa razy w roku jeździłem do Kliczkowa, aby ocenić ewentualne potrzeby bieżącego zabezpieczenia zamku. Musiałem też, jako

również w dziedzinie ochrony zabytków. To z jego inicjatywy zostałem członkiem Rady Fundacji Lubiąż. Przypominam sobie doskonale sytuację, jak Paweł do mnie zadzwonił pewnego dnia i zapytał, czy nie mógłbym pojechać z nim i wojewodą Grzelczykiem oraz profesorem Zbigniewem Brzezińskim do Lubiąża. Był to wyjazd zorganizowany jakoś awaryjnie, ponieważ zmieniły się zaplanowane wcześniej spotkania Profesora we Wrocławiu. Zgodziłem się z wielką chęcią, gdyż cenilem niezwykle naszego człowieka w Waszyngtonie. Długo zwiedzaliśmy klasztor i jego ruiny. Profesor był wszystkim bardzo zainteresowany. Później poszliśmy na obiad do pobliskiej karczmy. Czasu mieliśmy sporo, więc rozmowa objęła różne tematy. Najwięcej mówiliśmy, a dokładniej profesor Brzeziński, o polityce. Klarowność i jednoznaczność wszystkich odpowiedzi, jasne oceny zdarzeń politycznych, czytelne scenariusze na przyszłość polityczną Polski zrobiły na naszej trójce wielkie wrażenie, tym bardziej, że Profesor nie unikał żadnej odpowiedzi.



Zamek w Kliczkowie

Zamek w Kliczkowie





przedstawiciel firmy, uczestniczyć w posiedzeniach Rady Gminy Osiecznica, gdy omawiano sprawę jego przyszłości. Utkwiło mi w pamięci szczególnie jedno takie posiedzenie, które w pewnym sensie zmieniło moje zapatrywanie na możliwość odbudowy zamku. Było to w 1998 r. Jak zwykle zostałem zaproszony na posiedzenie Rady Gminy, na którym poruszano początkowo różne sprawy, związane niestety z coraz trudniejszą sytuacją w okolicy. Zamykano kolejne miejsca pracy – tartaki, zakłady przeróbki drewna, czyli praktycznie jedyne działające tam przedsiębiorstwa. Atmosfera była rzeczywiście napięta. Bezrobocie w gminie osiągnęło prawie 45 procent. Gdy dyskusja na forum Rady powróciła do perspektyw zamku w Kliczkowie, zapytano mnie jednoznacznie, czy coś będziemy z nim robili, czy tylko będziemy udawali. Mieszkańcy widzieli w nim przyszłe miejsca pracy i szansę na jakiś rozwój. Moje tłumaczenia, że szukamy możliwości, że staramy się, że zabezpieczamy obiekt, że rozmawiamy o różnych rozwiązaniach itp. zostały przez wszystkich, delikatnie mówiąc, wyśmiane. Cała frustracja uczestników posiedzenia z powodu coraz trudniejszej sytuacji w okolicy wylała się tam na mnie. Początkowo odebrałem to jako niesprawiedliwe i krzywdzące, ale wracając do domu i jadąc ówczesną dziurawą autostradą do Wrocławia, cały czas myślałem o tym spotkaniu. Coraz bardziej zacząłem uświadamiać sobie, jakie powinności spoczywają na właścicielu zabytku. To nie tylko odpowiedzialność za jego materialny koszt, ale również za skutki społeczne, jakie ze sobą niesie. Doszedłem do przekonania, że nie ja, a mieszkańcy mają rację, że skoro mamy obiekt, to musimy coś zrobić, nie możemy tylko go zabezpieczać i czekać na lepsze czasy, bo może nigdy nie nadejdą. Gdy dotarłem do domu po trzech godzinach jazdy, byłem już zdeterminowany, aby zrobić dosłownie wszystko w celu przystąpienia do odbudowy tej niezwykłej i ogromnej rezydencji. Szybko przygotowałem wstępne założenia finansowe i organizacyjne i zacząłem przekonywać do pomysłu odbudowy i adaptacji wspólników spółki. Entuzjazmu wśród moich rozmówców nie było, ale ostatecznie wszyscy podjęliśmy decyzję o przystąpieniu do odbudowy obiektu. Pomysł, aby zlokalizować w nim centrum hotelowo-konferencyjne miałem od dawna. To zresztą wymarzona funkcja dla tej lokalizacji i tego obiektu. Wiele o tym myślałem, szczególnie obserwując nasze kontrakty w zespołach zamkowych i pałacowych w Niemczech. Skala założenia, konieczne nakłady finansowe, zakres niezbędnych do wykonania prac były ogromne – z dzisiejszej perspektywy mogę z całą pewnością powiedzieć, że ryzyko nie było małe. Zdawałem sobie z tego sprawę i wówczas, choć teraz, z bagażem doświadczeń, pewnie trudniej byłoby mi podjąć taką decyzję. Oczywiście zadeklarowałem wszystkim, że zajmę się tematem od początku do końca. Miałem świadomość złożoności



Zamek w Kliczkowie



### **Anna Morasiewicz**

To z całą pewnością jedna z najlepszych projektantek wnętrz w obiektach zabytkowych. Powiedziałbym nawet – wybitna projektantka. Doskonale czuje różne style w architekturze, kolory, detale. To oczywiście nie tylko kwestia talentu, ale i wiedzy. Ania projektowała wnętrza chyba wszystkich najważniejszych sal we Wrocławiu. Projektowała również część wnętrza pałacu w Kliczkowie, Hotelu Tumskiego, Opery Wrocławskiej, żeby wymienić chociaż te, które wspólnie realizowaliśmy. Ale jak to u artystów, czas jest rzeczą względną. W zasadzie nieosiągalne było otrzymanie od niej projektu w terminie. Ania starała się to rekompensować jakimiś uwagami przekazywanymi bezpośrednio na budowę. Gdy zwrócił się do nas prywatny inwestor, abymy zaprojektowali w XIX-wiecznym klimacie okresu romantyzmu pałac w Śliwnikach, wraz z całkowitym wykończeniem, Krzysztof i ja wiedzieliśmy, że tylko Ania spełni jego wymagania i standardy. Ale obaj wiedzieliśmy również, że będzie to trudne terminowo. Tym bardziej, że chodziło o cały obiekt, a nie tylko wnętrza. Nie myliliśmy się. Projekt powstawał kilka lat, ale na szczęście inwestor sam chciał o wielu sprawach decydować, umawiał się z Anią na spotkania, sam zwlekał z odpowiedziami i decyzjami. Ten styl projektowania uchronił nas od katastrofy, czyli wielomiesięcznego opóźnienia w zakończeniu budowy. Efekt był, jak zwykle u Ani, znakomity.

zadania, chociażby dlatego, że właśnie kończyliśmy inne własne zadanie inwestycyjne, czyli Hotel Tumski. Miałem zatem obraz nie tylko odbudowy, konserwacji obiektu, ale również uruchamiania zupełnie nowej dla nas działalności.

Powołaliśmy pracownię, w której powstał projekt rewaloryzacji całego zespołu parkowo-palacowego. Wcześniej ogłoszony konkurs, wśród architektów związanych z konserwacją zabytków we Wrocławiu, nie przyniósł oczekiwanych ofert i propozycji. Uważałem, że sami pokierujemy lepiej pracami projektowymi i wypracujemy lepsze rozwiązania i funkcjonalne, i techniczne. Chciałem też wykorzystać w tym zadaniu całe doświadczenie zdobyte na podobnych adaptacjach innych obiektów, szczególnie w Niemczech. Wiedziałem, że w wielu elementach odbudowy i konserwacji można pójść różnymi drogami – albo bardziej zachowawczymi i uproszczonymi, albo bardziej ingerującymi. Projekt realizowały projektantki, z którymi pracowaliśmy już wcześniej w Krzyżowej, Ala Zamorska i Ewa Hawrylak. Do zespołu aranżacji wnętrza dołączyła Ania Morasiewicz. Konstrukcje projektowali inżynierowie z firmy CCI Jurka Jasieńki. Park wokół zamku zaprojektowała Ania Ornatek.

W marcu 2000 r. rozpoczęliśmy pierwsze prace. Było to z pewnością jedno z największych przedsięwzięć konserwatorskich zespołu zamkowego czy palacowego w Polsce w ostatnim dziesięcioleciu. W odniesieniu do samego zamku można je porównać z dziewiętnastowieczną przebudową rezydencji, którą przeprowadziło dwóch berlińskich architektów Karl von Grossheim i Heinrich Joseph Kayser.

XIII-wieczny zamek był jedną z warowni wzniesionych przez księcia świdnicko-jaworskiego. W następnych wiekach wielokrotnie go przebudowywano. W renesansie zyskał już rangę rezydencji, ale nadal fosa, skarpa rzeczna i masywne mury czyniły go dworem obronnym. Kolejne przebudowy i rozbudowy skrzydeł miały miejsce w okresie baroku. Dzisiejszy wygląd obiektu uzyskał na początku lat 80. XIX wieku, gdy ówczesny właściciel hrabia zu Solms-Baruth, który kilka lat później uzyskał tytuł księcia, zlecił całkowitą jego przebudowę. Stworzono prawdziwie książęce założenie. Zmieniono wszystkie elewacje, dodano nowe wieże i szczyty, wzbogacono fasady nowymi portalami i gzymsami, podniesiono rangę wielu skrzydeł, które wcześniej pełniły role gospodarcze i folwarczne. Dobudowano nowe galerie komunikacyjne, zmieniono wystrój niemalże wszystkich sal. Architekci nawiązywali do angielskiego średniowiecza, włoskiego manieryzmu, niemieckiego renesansu, choć najbardziej starali się naśladować renesans francuski. Eklektyczność przebudowy pozwoliła zachować wszystkie cenne detale z przeszłości. Po wojnie pożar

zniszczył całkowicie dwa skrzydła, a reszta została zdewastowana. Wyzwanie konserwatorskie było ogromne.

Wiedziałem, że takie zadanie należy powierzyć osobie, która będzie decyzyjna, samodzielna, elastyczna we współpracy i oczywiście podola temu wyzwaniu. Większość zatrudnionych przez nas kierowników budów realizowała kontrakty w Niemczech albo duże budowy w kraju. Musieliśmy zatrudnić nowego kierownika. Mój kolega Jan Leszczyński, który na początku lat 90. prowadził naszą spółkę C&I Group, wprowadzającą na rynek polski nowoczesne materiały dla wnętrz bankowych, zarekomendował mi młodego inżyniera z Jeleniej Góry, Marka Halona. Po godzinnej rozmowie z nowym kandydatem na kierownika najważniejszej naszej budowy wiedziałem, że to właściwa osoba, choć bez doświadczenia konserwatorskiego. Nie pamiętam, czy powiedziałem Markowi o decyzji zatrudnienia go tego samego dnia, czy kilka dni później, ale była to świetna decyzja. Marek Halon doskonale poradził sobie z tą inwestycją i przeprowadził ją w błyskawicznym tempie. Od tego czasu pracujemy już razem.

Jedną z pierwszych poważnych decyzji konserwatorskich, jaką należało podjąć przy renowacji zamku w Kliczkowie, dotyczyła spalonych jego części, czyli Skrzydła Czeladnego i Powozowni. Można było postąpić w różny sposób, łącznie z pozostawieniem ich w zabezpieczonej formie trwałej ruiny, jako świadka dziejowego przeszłości. Można było odbudować je w nowoczesnej formie w ramach historycznej kubatury i w ten sposób zaznaczyć współczesny wkład w wielowiekową budowlę. Zdecydowaliśmy jednak ostatecznie o rekonstrukcji spalonych fragmentów. Ważnym problemem tego zadania było zabezpieczenie poważnie zniszczonych przez ogień elementów kamiennych. Z wielką satysfakcją można dziś odnotować, iż wszystkie, nawet najbardziej uszkodzone, udało się uratować. W pozostałych częściach zamku elementy piaskowcowe nie były tak zniszczone. Można nawet powiedzieć, że zachowały się w bardzo dobrym stanie. Poddano je głównie oczyszczeniu z luźnych zanieczyszczeń czy wtórnych uzupełnień cementowych. Najlepiej zachowane fragmenty kamienne zamku pozostawiono w stanie niezmiennym z wielowiekową patyną.

Znacznie większe problemy wystąpiły przy konserwacji elementów z drewna. Praktycznie wszystkie drewniane części konstrukcji wymagały wzmocnień, napraw lub wręcz wymiany. Dotyczyło to więźb dachowych, stropów, galerii komunikacyjnej Skrzydła Oficjalistów, konstrukcji ryglowej ścian Ujeżdżalni, wież, hełmów, lukarn, szczytów i biegów schodowych. Ale i tu przyjęto zasadę pozostawienia wszystkich możliwych do zachowania



#### **Dariusz Marek Halon**

Współpracę rozpoczęliśmy przy odbudowie zamku w Kliczkowie. Sądzę, że dla Marka, w równym stopniu jak dla mnie, było to pasjonujące wyzwanie. Dlatego szybko znaleźliśmy wspólny język i podobnie myśleliśmy o tej budowie – przygodzie. To wówczas, myślę, zaprzyjaźniliśmy się. Później Marek obejmował największe i najtrudniejsze kontrakty. Prowadził m.in. budowę Starego Browaru w Poznaniu, a dziś jest dyrektorem oddziału firmy Castellum w Warszawie. Jest stanowczy, ale też koncyliacyjny. Powtarzam, że to idealny kierownik na uciążliwego i trudnego inwestora. Z jednej strony dąży do porozumienia, a z drugiej dba o interes firmy.

Lubię spędzać z nim czas podczas wyjazdów integracyjnych czy spotkań towarzyskich. Jest zawsze pogodny, pełen nietuzinkowych pomysłów.



Ujeżdżalnia



Fragment sztukaterii w Sali Balowej



Sala bilardowa

pierwotnych fragmentów. Wiele z nich musiano specjalnie zabezpieczać, aby spełniały zarówno wymogi wytrzymałościowe, jak i dzisiejsze przepisy przeciwpożarowe. Drewniane elementy dekoracyjne czy eksploatacyjne, takie jak drzwi, okna, posadzki, boazerie, okładziny schodów zachowały się często w znacznie gorszym stanie. Wiele z nich musiano wymienić lub rekonstruować. Odtworzyliśmy cały drewniany wystrój myśliwskiego zamku, a co najważniejsze, pozostawiliśmy wiele jego oryginalnych fragmentów.

Konserwacja malarstwa dotyczyła polichromii ściennych i sufitowych w Sali Teatralnej, Gabinetcie Hrabiego, Sali Balowej i Myśliwskiej oraz w Apartamencie Cesarskim i Pokoju Marii na I piętrze. Wszystkie malowidła były wykonane w niezbyt trwałej technice klejowej na tynkach wapiennych, dlatego stan ich zachowania można było określić jednoznacznie jako zły. Przeprowadzona konserwacja przywróciła ich wartości estetyczne i techniczne.

Zakonserwowano zachowawczo wspaniałe ceramiczne piece, elementy żeliwne, które zdobiły wszystkie wieże, szczyty, dachy i daszki. Konserwacji poddano gipsowe sztukaterie znajdujące się tylko w jednej sali pałacu, ale stanowiące świetny przykład stylu empire z lat 20. XIX w.

Zupełnie innym zagadnieniem była konserwacja i pielęgnacja zamkowego parku, gdzie zidentyfikowano 59 gatunków botanicznych. Niezależnie od prac dendrologicznych wykonano nowe ścieżki, alejki i drogi, starając się prowadzić je po założeniach historycznych parku Petzolda.

Zakończenie prac i otwarcie centrum hotelowo-konferencyjnego w Zamku Kliczków było z całą pewnością jednym z najbardziej spektakularnych dokonań konserwatorskich w kraju, zwłaszcza że było zrealizowane przez firmę prywatną, bez udziału środków publicznych. Obiekt szybko zyskał uznanie, a Integer utwierdził swoją pozycję na rynku konserwatorskim w Polsce. Spółka uruchomiła nową działalność, a dyrektorem obiektu konferencyjnego został Adam Antonijczuk. Gdy prowadziłem z nim rozmowę o zatrudnieniu, już po kilkudziesięciu minutach wiedziałem, że znalazłem właściwą osobę. Wyłoniony w drodze konkursu manager okazał się świetnym fachowcem i szybko zbudował zespół, który w 80 procentach wywodził się spośród mieszkańców gminy. Miałem dzięki temu dodatkowy powód do satysfakcji i przypominałem sobie moją wizytę na posiedzeniu Rady Gminy Osiecznica w 1998 r.

Jednak po tej konserwacji, niestety droższej niż zakładano pierwotnie, co nie jest wyjątkiem, spółka utraciła częściowo płynność finansową. To była cena za inwestycję, która

z całą pewnością przekraczała ówczesne możliwości finansowe firmy, a bank asekuracyjnie, zamiast udzielić kredytu inwestycyjnego, wieloletniego, udzielił nam jedynie kredytu obrotowego, wymagającego corocznego odnawiania, w wysokości, która nie była związana z nakładami inwestycyjnymi na adaptację obiektu, a z bieżącymi kontraktami spółki. To był dość poważny problem.

Zakończenie prac i w pewnym sensie rozgłos, jaki obiekt zyskał w kraju, zaowocowały nowymi i coraz większymi zleceniami konserwatorskimi dla spółki.

## Najważniejsze konserwacje dolnośląskie firmy Integer

Pod koniec lat 90. rozpoczęły się poważne projekty konserwatorskie w najważniejszych czy najbardziej znaczących obiektach sakralnych Dolnego Śląska. Wpływ na to miała zapewne i poprawa sytuacji gospodarczej i środki europejskie, które w ramach planowanego wejścia Polski do Unii zaczęły napływać do kraju. Część z nich była wręcz dedykowana zabytkom sakralnym. Istniały też inne fundusze, które wspierały renowację, jak chociażby tzw. fundusze norweskie czy dotacje z Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej. To pozwoliło nam ponownie skoncentrować się na zdobywaniu znaczących kontraktów konserwatorskich w kraju.

Przeprowadziliśmy w tamtym czasie konserwacje wielu zabytkowych kościołów i kaplic, m.in. Kościoła Pokoju w Świdnicy, gotyckiego kościoła pw. św. św. Stanisława, Doroty i Waclawa we Wrocławiu, klasycystycznej ewangelicko-augsburskiej świątyni pw. Opatrzności Bożej przy ul. Kazimierza Wielkiego we Wrocławiu, bazyliki pw. św. św. Stanisława i Waclawa w Świdnicy, kościoła Uniwersyteckiego we Wrocławiu, kaplic drogi krzyżowej na Górze św. Anny, kaplicy Czaszek w Czermej i rozpoczęliśmy konserwację kaplicy Hochberga przy kościele pw. św. Wincentego we Wrocławiu. Prowadziliśmy też prace w kościołach Wałbrzycha, Dzierżoniowa, w Szalejowie Dolnym czy Środzie Śląskiej.

Niewątpliwie wyjątkowym przedsięwzięciem konserwatorskim była renowacja **Kościoła Pokoju w Świdnicy**. Jest to niezwykle obiekt, wzniesiony po zawarciu pokoju westfalskiego, kończącego wojnę trzydziestoletnią w połowie XVII w., jako jedna z trzech tego typu budowli na Śląsku. Ogromna drewniana bazylika wymagała gruntownych prac re-



Kościół Pokoju w Świdnicy



### **Arkadiusz Duda**

Kierownik projektu. Współpracujemy od czasu Krzyżowej, czyli ponad 25 lat. To najlepiej świadczy o merytorycznej ocenie Arka. Prowadził nasze najważniejsze i najbardziej prestiżowe budowy, chociażby Krzeszów czy Kościół Pokoju w Świdnicy. Zresztą pełna lista realizowanych obiektów byłaby zbyt długa na te wspomnienia. Nie pamiętam żadnej anegdoty dotyczącej jego bezpośrednio, ale przychodzi mi na myśl sytuacja z nim związana. Wiedziałem, że dla Arka ulubionym sposobem spędzania wakacji są wyprawy kajakowe. Często o tym opowiadał. Gdy kilka lat temu mieliśmy letnie spotkanie integracyjne, jedną z atrakcji był spływ kajakowy po rzece Bóbr. Musieliśmy się dobrać w pary, przygotować sprzęt, kapoki i wyruszyć. Wszyscy byliśmy lekko zmęczeni nocną zabawą. Ja pomyślałem, że w tych okolicznościach najlepiej płynąć z jakimś doświadczonym kajakarzem. Kręciłem się koło Arka, czekając aż przywiozą kajaki. Tymczasem pary się podobały. Arka ktoś przygarnął i pozostało mi płynąć z Mackiem Niemczyńskim. Oczywiście na pierwszej przeszkodzie wyrwali mi nasz kajak. Maciek okazał się tak świetnym pilotem jak ja. A Arek sobie spokojnie płynął dalej...

montowych: wzmacniających, naprawczych i konserwatorskich. Całe gontowe pokrycie musiało zostać zastąpione nowym, więźba dachowa naprawiona, cztery poziomy empor wzmocnione, wymienione liczne elementy drewniane wszystkich ścian konstrukcji szachulcowej. Prace konserwatorskie trwały kilka lat i były równocześnie traktowane jako baza doświadczalna dla różnego typu rozwiązań. Wymieniane krokwie, belki, słupy lub ich fragmenty łączono i wzmacniano na kilka różnych sposobów. Chodziło o zbadanie w czasie trwałości i skuteczności różnych zastosowanych rozwiązań. Były to z jednej strony tradycyjne metody ciesielskie, a z drugiej nowatorskie – z użyciem nowych łączników, sklejek o różnej budowie, różnych gatunków drewna itp. Efekty badań będą oczywiście dostępne dopiero za kilkanaście lat. Prace nadzorowało i badania prowadziło, i nadal prowadzi, Niemieckie Centrum Rzemiosła i Ochrony Zabytków w Fuldzie. Stale współpracowaliśmy przy tym projekcie z Krzysztofem Dydą i Uli Schaffem. Innym wyzwaniem była wymiana i uzupełnianie newralgicznych drewnianych elementów konstrukcyjnych ścian szachulcowych: słupów, podwalin czy belek. Tutaj, jak zawsze, niezwykłym kunsztem wykazali się cieśle pod kierunkiem Józefa Supersona. Projektanci obiektu, eksperci zajmujący się konstrukcjami szachulcowymi, konstruktorzy zarówno z Polski, jak i z Niemiec, z uznaniem, a wręcz podziwem odnosili się do prowadzonych przez nich prac. Po naprawie ścian przystąpiono do ich wypełnienia mieszaniną gliny, siewki i wapna. Takie wypełnienia, choć oczywiście nie na tak dużą skalę, wykonywaliśmy wcześniej w Niemczech. Jednak zasadnicza różnica polegała na tym, że tam kupowaliśmy gotowe mieszanki wszystkich elementów, odpowiednio plastyczne i przygotowane, a tutaj kupowaliśmy niewypaloną cegłę, cięliśmy sami siewkę i dodawaliśmy dołowane wapno. Wszystko trzeba było ręcznie mieszać i łączyć. Pracami w Kościele Pokoju kierował z naszej strony początkowo Paweł Kleszcz, a później Arkadiusz Duda.

Renowacja objęła również inne obiekty zespołu: budynek bramny, dom dzwonnika, plebanię, cmentarz. Prace konserwatorskie cennego wyposażenia wewnętrznego trwają do dzisiaj.

**Kościół pw. św. św. Stanisława, Doroty i Wacława we Wrocławiu** to kolejna monumentalna świątynia, w której prowadziliśmy prace. Dach kościoła jest jedną z największych gotyckich konstrukcji w Polsce.

Prace prowadzone były na wielką skalę, gdyż objęły zarówno dach, elewację, jak i wnętrza. Jednak najbardziej spektakularny był remont dachu świątyni. Ta niezwykła kon-

struktura, dominująca od południa nad starym miastem, ma ponad 25 m wysokości i składa się z siedmiu kondygnacji. Wewnątrz zachowały się dwa kołowroty, tzw. „koła deptakowe” służące do wciągania materiałów budowlanych podczas budowy dachu świątyni. Średnio-wieczna więźba dachowa przetrwała w blisko 85 procentach. Ogromna powierzchnia połaci dachu stale podlegała naporom wiatrów, które albo na nią naciskały, albo ją zasysały. To powodowało pracę konstrukcji, rozklinowanie połączeń głównych elementów konstrukcyjnych i oczywiście poluzowywanie dachówek. Jak w większości gotyckich świątyń, dach pokryty był dachówką typu mnich-mniszka. Była ona nieszczelna, popękana, z ubytkami. Długo trwały wśród konserwatorów dyskusje nad wyborem nowej dachówki. Z jednej strony wydawałoby się, że najwłaściwszy byłby powrót do pierwotnego rozwiązania, ale z drugiej wiadomo, że dynamika wiatrów nie powstrzyma pracy więźby dachowej, co ponownie zagroziłoby szczelności i trwałości pokrycia. Ostatecznie zastosowano dachówki zakładkowe, imitujące dachówki typu mnich-mniszka. Stosując system zatrząsków ułożono całość na sucho, tym samym znacznie odciążając konstrukcję dachu i uodparniając pokrycie na podmuchy wiatru. Przywrócono na połaci wizerunek krzyża jerozolimskiego, usuniętego pod koniec XIX wieku na żądanie władz pruskich.

Ważną naszą konserwacją był **kościół pw. Opatrzności Bożej we Wrocławiu**. To najcenniejsza świątynia Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego w stolicy Dolnego Śląska. Powstała w połowie XVII wieku i – rozplanowana na osi północno-południowej – jest dziś głównym elementem architektonicznym ul. Kazimierza Wielkiego. W 1830 r. świątynia otrzymała miano kościoła dworskiego. W latach 1999–2000 przeprowadzono pełną konserwację obiektu. Prace objęły zarówno bryłę kościoła, jak jego wnętrze i wyposażenie. Wcześniejsza poważna przebudowa świątyni z 1850 r. ukształtowała jej dzisiejszy wygląd. Konserwowano barokowe elewacje z bogatym detalem kamiennym i stolarzkę drzwiową. Wewnątrz kościoła, poza renowacją tynków na ścianach i sklepieniu, konserwacji poddano dwie drewniane empory. Eliptyczny układ empor wpisany w prostokątne wnętrze świątyni był rozwiązaniem niezwykle nowatorskim. Malowane na biało płyciny balustrady uzyskały delikatne złocenia obwodowe, podkreślające podziały pionowe. Równocześnie prowadzono konserwację balkonów i pochodzącej z 1750 r. ambony w kształcie kielicha. Z wyposażenia ruchomego świątyni odrestaurowano wszystkie ławki. Ciekawostką prowadzonych prac było odkrycie umieszczonych po dwóch stronach ołtarza tablic upamiętniających poległych w I wojnie światowej parafian. Kierownikiem budowy był Paweł Kleszcz.



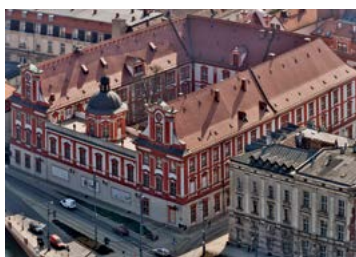
Kościół pw. św. św. Stanisława, Doroty i Wacława we Wrocławiu



Kościół pw. Opatrzności Bożej we Wrocławiu



Opera Wrocławska



Ossolineum

Jedną z najbardziej spektakularnych konserwacji Integeru we Wrocławiu była **Opera Wrocławska** zlokalizowana przy ul. Świdnickiej. Gmach dawnego Teatru Miejskiego wzniesiono w latach 1839–1841 według projektu znakomitego architekta Carla Ferdinanda Langhansa. Nowoczesny w swoim czasie budynek, z widownią na około 1600 miejsc, dwukrotnie uległ pożarowi i był ponownie przebudowywany. W 1871 r. postawiono na krawędzi dachu rzeźby muz wykonane ze sztucznego piaskowca (obecnie stoją tam odlewy). Gruntowna modernizacja zakończyła się w 2006 r. Prace objęły wszystkie elewacje i bogato zdobione wnętrza. Zachowały się niemal wszystkie XIX-wieczne zdobienia, m.in. plafon z portretami kompozytorów, główny żyrandol (przerobiony z gazowego na elektryczny) oraz łoża cesarska. Liczne elementy wystroju ścian balkonów i łoż pokryte zostały złotem platkowym. Sumaryczna powierzchnia złocona wyniosła ponad 10 tysięcy m kw., a powierzchnia kryształowych lusterek 200 m kw. Wiele ścian pokryły draperie, tapety, sztukaterie i stiuki. Autorką projektu wnętrza była Ania Morasiewicz, a pracami budowlano-konserwatorskimi kierował Ryszard Dąbek, który powrócił już z Niemiec.

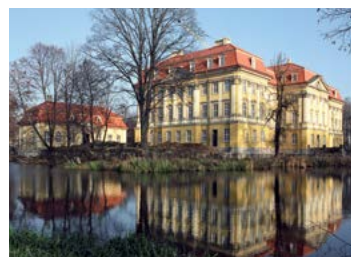
Ważnymi realizacjami firmy we Wrocławiu były prace dla **Zakładu Narodowego im. Ossolińskich**, m.in. przy ul. Grodzkiej, w dawnym klasztorze Szpitalników z Czerwoną Gwiazdą. To kompleks zabudowań klasztoru założonego w 1253 r. i działającego w tym samym miejscu do czasu kasaty w 1811 r. Podstawowym zadaniem zakonu, oprócz celów religijnych, było prowadzenie szpitala opiekującego się nie tylko chorymi, ale także ubogimi i sierotami oraz podróżnymi. Współcześnie istniejące budynki powstały głównie w okresie baroku, w latach 1690–1710. Po 1945 r. w zespole tym ulokowano przeniesioną ze Lwowa fundację Ossolińskich, dokonano remontów i napraw zniszczeń z czasu oblężenia Wrocławia, ale dopiero pod koniec lat 90. XX w. rozpoczęto poważne działania konserwatorskie w całym kompleksie klasztornym. Objęły one prace elewacyjne, dachowe (w tym odbudowę zniszczonej w trakcie wojny kopuły wieńczącej skrzydło główne) oraz wnętrza ze wspianymi salami barokowymi wychodzącymi na Odrę. Janusz Żurawski kierował wykonaniem tych zadań. Dziś dziedziniec klasztoru, a w zasadzie dwa dziedzińce, wewnętrzny i zewnętrzny, są jednymi z najbardziej kameralnych wnętrz staromiejskich we Wrocławiu.

Jednym z efektów konserwacji i adaptacji Kliczkowa było niewątpliwie zlecenie rewaloryzacji **zespołu pałacowo-parkowego w Radomierzycach** k. Zgorzelca. To jedno z naj-



piękniejszych założeń barokowych na Śląsku. W latach 1713–1729 Joachim Zygmunt Ziegler, podkomorzy króla polskiego Augusta Mocnego, powołał fundację Joachimstein i wybudował dla dwunastu panien „dobrze urodzonych”, przelożonej zakładu i fundatora niezwykle założenie pałacowe. Zlokalizowane zostało pomiędzy dwiema rzekami, Witką i Nysą Łużycką, otoczone dodatkowo fosą i stawami dla regulacji poziomu wody, która okalała wyspę z pałacem, czterema potężnymi oficynami i dwiema kordegardami. Całość opasana została ogrodem w stylu francuskim. Funkcja obiektu opiekuńczego przetrwała do końca II wojny światowej. W 1944 r. w jednej z oficyn przygotowano specjalnie wzmocniony i zabezpieczony skarbiec do przechowywania dokumentów. Przywieziono je z Paryża i Berlina. Po wojnie całe archiwum wywozili przez wiele dni oficerowie wywiadu sowieckiego. Niezniszczony i w pełni wyposażony obiekt przejęły wojska sowieckie, a później polskie. W kolejnych latach został on zdewastowany i trafił w ręce prywatnych dzierżawców, którzy nie potrafili zapobiec jego degradacji. W 1999 r. założenie pałacowo-parkowe odkupił inwestor prywatny, który podjął wielkie dzieło pełnej rehabilitacji obiektu i adaptacji Joachimsteinu na centrum hotelowo-konferencyjne. Prace budowlano-konserwatorskie zakończyła nagle śmierć inwestora, a spadkobiercy nie podjęli trudu kontynuacji tego niełatwego przedsięwzięcia.

Przez kilka lat nasza firma prowadziła tam zarówno prace projektowe, jak i wykonawcze. Projekt realizował ten sam zespół, co zamek w Kliczkowie – Ala Zamorska, Ewa Hawrylak i konstruktorzy ze spółki CCI. Prace posuwały się w niezwykle tempie i objęły równocześnie wszystkie obiekty, fosę, mosty i przyczółki. Największym zagrożeniem dla budowli były pobliskie rzeki. Dlatego we wszystkich budynkach, które najpierw wzmocniono nowymi masywnymi stropami, zabezpieczono nowymi więźbami stalowymi i nowym pokryciem ceramicznym, wykonano specjalistyczne izolacje piwnic, ścian przyziemia, kanałów instalacyjnych dla sieci i szeregu przepustów. Wymagało to ich pogłębienia i w praktyce wykonania wzmocnień wszystkich fundamentów. Dopiero po zakończeniu ww. prac przystąpiono do odrestaurowania elewacji. Bogactwo detalu architektonicznego w pewnym sensie było zaprzeczeniem ascetycznego pruskiego baroku, który widzimy na innych obiektach z tego okresu. W Radomierzycach wszystkie budynki miały niezwykle bogate piaskowcowe detale architektoniczne na elewacjach: gzymsy pośrednie, koronujące, pilastry, ościeża okienne i drzwiowe, portale, balkony, cokoly, frontony i rozległe tarasy. Prace kamieniarskie i konserwatorskie stanowiły rzeczywiste wyzwanie dla dużej grupy kamieniarzy, którymi kierował znakomity kamieniarz, znany



Zespół pałacowo-parkowy  
w Radomierzycach



#### **Paweł Kleszcz**

Rozpoczął z nami współpracę zaraz po zakończeniu studiów. Zanim uzyskał uprawnienia budowlane, pracował na różnych budowach, m.in. w Radomierzycach, Hotelu Tumskim. Był bardzo ambitny, pamiętam, że zapisywał się na dodatkowe szkolenia czy kursy z różnych dziedzin budownictwa. Gdy wyrzucano nas z Integeru, on również odszedł. Chciał jednak bardziej zająć się nadzorem, przygotowaniem inwestycji niż ich realizacją. Wiem, że pracował dla największych deweloperów we Wrocławiu. Zdobył też trochę inną wiedzę, niż my mamy w wykonawstwie budowlano-konserwatorskim. Bardzo ceniłem jego pracowitość i dokładność.

Gdy skończyliśmy pierwszy etap inwestycji dla ATC Development, wiedzia-

łem, że spółka ATC potrzebuje lepszego nadzoru. Dodatkowo projekt, który realizowaliśmy, często się zmieniał, był dzielony na samodzielne etapy i musiał ktoś nad tym panować. Postanowiłem odszukać Pawła, gdyż wydawało mi się, że będzie tu potrzebne bardziej doświadczenie deweloperskie niż wykonawcze. Gdy zaproponowałem mu funkcję dyrektora spółki, który miał być równocześnie szefem inspektorów nadzoru, nie wahał się długo. Pozostałe struktury spółki działały dobrze, Basia Kociołek prowadziła sprzedaż, Wojtek Piasecki zarządzał wspólną, firma Horus prowadziła sprawy finansowe. Kolejne etapy budowy przebiegały już sprawniej i byłem pewien, że niemal bezkonfliktowo zakończymy tę inwestycję, ale nie przewidziałem jednego. Na budowie zawsze są dwie strony i różne interesy, trzeba je jakoś pogodzić. Ze strony zarządu Castellum inwestycją zajmował się Wiesiek Kleszcz, ze strony ATC Paweł. Myślałem, że ominę różne rafa, gdyż będąc prezesem obu spółek nie chciałem podejmować decyzji, która faworyzowałaby jedną ze stron. Byłoby to nieetyczne. Sądziłem, że bracia rozwiążą różne problemy bez angażowania mnie w ich rozstrzygnięcie. Świadomie pozostawiałem im te konfliktowe tematy. Ale charaktery obaj panowie mają dość podobne. Obaj bezkompromisowo bronią swoich racji. Tak więc końcówka inwestycji była trochę nerwowa.

Paweł bardzo pomógł mi, gdy zgodził się nadzorować prace budowlane w Owczarni w Bukowcu. Ja już chorowałem i potrzebowałem kogoś, kto trochę wejdzie w rolę inwestora, inspektora nadzoru i koordynatora prac. Paweł to zrobił bardzo profesjonalnie.

mi jeszcze z pracy w PKZ-tach Kazimierz Durawa. Stworzyliśmy tam dość duży zespół nadzoru budowlanego, m.in. pracowali tam Paweł Kleszcz i Wiktor Początek.

Spośród innych znaczących budowli użyteczności publicznej, których rewaloryzacją również w tym czasie się zajmowaliśmy, niewątpliwie należy wymienić **Muzeum Etnograficzne we Wrocławiu**, zlokalizowane w dawnym letnim pałacu biskupów wrocławskich przy ul. Traugutta, **Dom Gerharta Hauptmanna w Jagniątkowie** (tzw. Łąkowy Kamień), **Bibliotekę Uniwersytetu Warszawskiego** przy Krakowskim Przedmieściu, **Teatr Lalek we Wrocławiu**, **Muzeum Papiernictwa w Dusznikach**.



Kolejną grupą obiektów zabytkowych, których konserwacja pozwoliła wpisać je trwale w architektoniczny krajobraz dolnośląskich miast są **kamienice staromiejskie**. We Wrocławiu, Świdnicy, Kłodzku rewaloryzowaliśmy kilkanaście takich obiektów. Najciekawszą staromiejską kamienicą, spośród tych dokonań, wydaje się **kamienica Pod Błękitnym Słońcem** na wrocławskim Rynku pod numerem 7. Jak w większości kamienic na tym obszarze, można w niej znaleźć ślady wszystkich poprzednich epok i stylów: gotyckie ściany piwnic i częściowo parteru, renesansowe polichromowane stropy na kilku kondygnacjach, barokowa sala na II piętrze, manierystyczne opaski drzwiowe, XIX-wieczne detale elewacji i wnętrza. Tak dziś można jednym zdaniem opisać zachowane w kamienicy historyczne i architektoniczne wartości. Pod koniec lat 90. były one jednak zdewastowane i ukryte pod zrujnowanymi stropami i ścianami. Ze względów własnościowych Rynek 7 był jedynym nieodrestaurowanym obiektem Rynku. Jego stan techniczny groził katastrofą budowlaną. W tym właśnie czasie niemiecki koncern Thyssen nabył obiekt i zlecił jego rewaloryzację naszej firmie. Praktycznie wymieniono cały układ konstrukcyjny, wszystkie stropy, częściowo ściany, wzmocniono fundamenty. Wydawało się na początku, że przy tak totalnej przebudowie i tak fatalnym stanie technicznym nie uda się wydobyć walorów historycznych wnętrza. Jednak ogromna determinacja (również projektantów i inwestora) w przywróceniu wszystkich ocalałych części pozwoliła na wyeksponowanie niemalże w każdym dużym pomieszczeniu zachowanego detalu. Drewniane stropy po konserwacji i częściowej rekonstrukcji powróciły jako elementy dekoracyjne podwieszane do masywnych stropów. Wszystkie gotyckie wązki ceglane, ościeża i blendy po konserwacji wyeksponowano. Odtworzono barokową sień na II piętrze, a sklepienia parteru pokryto dekoracją malarską na

wzór zachowanych konturów. Połączenie kamienicy Pod Błękitnym Słońcem przeszklonym pasażem z kamienicą przy ul. Kielbaśniczej 2–3 pozwoliło na utworzenie jednego z najciekawszych zakątków wrocławskiego Rynku.



Podobny zakres prac, oczywiście z uwzględnieniem specyfiki obiektów, wykonano we Wrocławiu również przy ulicach Ruskiej 1 i 6, Kielbaśniczej 32, Wita Stwosza 15, Garbary 1 i na Wyspie Słodowej 10.



Kamienica Pod Błękitnym Słońcem



### Wojciech Kapalczyński

Moja przyjaźń z Wojtkiem liczy pewnie ponad 20 lat. Zanim zaczęliśmy współpracować zawodowo, zrealizowaliśmy pod jego jurysdykcją konserwatorską ponad 20 obiektów, spotykaliśmy się na konferencjach czy zjazdach Stowarzyszenia Konserwatorów Zabytków. Omawialiśmy wówczas wiele spraw i mieliśmy do siebie duże zaufanie zawodowe. Jednak anegdotę o Wojtku chciałbym przytoczyć z zupełnie innej dziedziny. Wszyscy wiedzą, że Wojtek jest smakoszem i lubi dobrze zjeść. Kiedyś przekonałem się o tym osobiście. Podczas prac w pałacu w Radomierzycach często razem jeździliśmy na budowę. Pewnego razu mieliśmy mieć rano spotkanie z inwestorem. Gdy dojeżdżaliśmy do pałacu, mijaliśmy w sąsiedniej wsi restaurację, zresztą bardzo dobrą. Wojtek od razu zasugerował, abyśmy zjedli w niej śniadanie. Obrótka kelnerka zaproponowała obfity posiłek, do jakiego, szczerze mówiąc, o tej porze dnia nie byłem przyzwyczajony. Ale cóż, jakoś go zmożłem. Na budowie byliśmy krótko, najwyżej dwie godziny. W drodze powrotnej, gdy przejeżdżaliśmy obok tej samej restauracji, Wojtek powiedział, że warto byłoby przysiąść tu na obiad. Chciałem mu to wybić z głowy – przed dwiema godzinami obfite śniadanie, a teraz obiad. Wojtek pamiętał jednak, że mają tam wspaniałą giczą cielęcą.

## WŁASNE INWESTYCJE W OBIEKTY ZABYTKOWE

### Pałac Paulinum

Po zakończeniu prac w Zamku Kliczków, Wojciech Kapalczyński, konserwator Jeleniogórski, zaczął mnie intensywnie namawiać, abym zainteresowałem się obiektami pałacowymi w Kotlinie Jeleniogórskiej. Zachęcał mnie twierdzeniem, że to obszar o niezwyklejmi nasyceniu i że to zjawisko unikatowe, nawet jak na Dolny Śląsk, gdzie znajduje się co czwarty zamek i co piąty dwór w Polsce. Nie bardzo początkowo wiedziałem, co ma na myśli. Sądziłem, że znam ten rejon dość dobrze i nie przypominałem sobie, aby było tam więcej rezydencji, niż w innych powiatach województwa. Ale zaciekawiony tym jednoznaczny i zdecydowany stanowiskiem poważnego konserwatora zabytków, wybrałem się kiedyś na objazd tamtych terenów z mapą, która w miarę precyzyjnie wskazywała różne obiekty zabytkowe. Takich wycieczek odbyłem zresztą kilka, gdyż nie mogłem na początku dotrzeć do wszystkich miejsc, które poznałem w międzyczasie z materiałów pokonferencyjnych poświęconych walorom kulturowym regionu. Jedno jest faktem – gdy objechałem ten teren, gdy odnalazłem pałace czy dwory, których szukałem, byłem pod ogromnym wrażeniem tego, co zobaczyłem, a właściwie tego, co odkryłem. Większość obiektów była kompletnie zdewastowana, a nawet zagrożona katastrofą budowlaną. Folwarki przynależne do pałaców znajdowały się w rozsypce, otaczające je parki wyglądały jak wysypiska śmieci lub, w najlepszym razie, pastwiska dla bydła. Taki obraz przedstawiały: dwa pałace w Wojanowie, pałace w Dąbrowicy, Staniszowie, Karpnikach, Pakoszowie, Barcinku, Kowarach, dwór w Radomierzu. Ruiny zamków w Starej Kamienicy i Rybnicy też domagały się konserwacji. Nieco lepsze wrażenie robiły pałace w Bukowcu, Mysłakowicach, Cieplicach, Dwór Czarne w Jeleniej Górze, ze względu na obecność użytkownika i funkcję. Ale konkluzja z tych wyjazdów była jedna – to rzeczywiście niezwykła kraina i niezwykle dziedzictwo. Mogę nawet nieco literacko powiedzieć, że zostałem nim jakoś zauroczony. Od tego czasu zacząłem śledzić losy tych rezydencji, gdyż wszystkie miały już nowych właścicieli.

I nagle dość niespodziewanie znalazłem ogłoszenie o sprzedaży przez Agencję Mienia Wojskowego Pałacu Paulinum w Jeleniej Górze. Był to już drugi lub trzeci przetarg. Na poprzednie nikt się nie zgłosił. Ale tego obiektu nie znałem. Gdy wcześniej objeżdżałem Kotlinę Jeleniogórską, był niedostępny i jeszcze zajęty przez wojsko. Szybko wybrałem się na rekonesans. Pałac jest pięknie położony, w dużym leśnym parku, z widokiem na całe pasmo Karkonoszy. Choć opuszczony i nieużytkowany, zrobił jednak na mnie dobre wrażenie, mimo że powojenna nadbudowa zmieniła nieco jego pałacowy charakter. Już wyobrażałem sobie jego wygląd i wnętrza po konserwacji.

Zdecydowałem, że muszę się nim poważnie zainteresować, choć nie ukrywam, że inne budowle tego regionu bardziej mnie urzekły. Wiedziałem, że Integer nie może angażować się finansowo w kolejny obiekt. Po Hotelu Tumskim i zamku w Kliczkowie, stan finansów spółki zdecydowanie to uniemożliwiał. Postanowiłem zainteresować niektórych z moich przyjaciół i rodzinę tym tematem. Czasu nie było zbyt wiele, przetarg się zbliżał, ale na szczęście nie musiałem długo przekonywać potencjalnych chętnych. Dwie moje siostry, Krzysztof Terka, Wiesław Kleszcz, Jarek Okrzeja, Tomek Dziendziel, Marian Syposz i Waldemar Doliński zgodzili się zainwestować w Paulinum. Założyliśmy spółkę, która kupiła pałac od Agencji w 2002 r. Jest to zatem kolejny obiekt historyczny, o którym mogę mówić, że został przez nas uratowany nie tylko wykonawczo, ale również inwestycyjnie.

Pałac wznosił w latach 70. XIX w. Richard von Kramst, fabrykant jeleniogórski, który zakupił od miasta dawne dobra jezuitów. Dzisiejsza bryła pałacu różni się zdecydowanie od tej wzniesionej przez saksońskiego architekta. Cały budynek powyżej pierwszego piętra okalał kamienny gzyms, a na nim opierał się wysoki mansardowy dach, kryty dachówką. Z trzech stron nad połacią dachową dominowały dwukondygnacyjne, wysokie szczyty. Nadawały one budowli wrażenie lekkości i strzelistości. Nawiązywały w detalu i w dekoracji do renesansu. Gdy w latach 60. zeszłego wieku więźba dachowa spłonęła, zamiast ją odbudować podwyższono pałac o jedną kondygnację. Prosta, modernistyczna dobudowa z płaskim stropem zmieniła oblicze rezydencji. Obiekt utracił walory budowli pałacowej. Przed przystąpieniem do przebudowy musieliśmy rozwiązać zasadniczy problem, jak zwieńczyć ostatnią kondygnację. Powrót do dachu mansardowego wymagałby całkowitego zburzenia drugiego piętra i oczywiście spowodowałby inne komplikacje wewnętrzne. Takie rozwiązanie i z ekonomicznego, i nawet z konserwatorskiego punktu widzenia nie wydawało się właściwe. Podjęliśmy decyzję o pozostawieniu nadbudowa-

Ja zamówiłem jakąś małą przystawkę i z podziwem patrzyłem, jak mój kompan rozprawia się z górą mięsa. W końcu dotarliśmy do Jeleniej Góry i stanąłem samochodem naprzeciwko niewielkiej knajpki, jak się okazało nowej pierogarni. Wojtek od razu zaproponował mi, abyśmy choć spróbowali po pierogu z kilku gatunków, gdyż są po prostu znakomite. Tym razem nie uległem, ale towarzyszyłem mu przy degustacji. Tam się rozstaaliśmy. Nie pytałem Wojtka, czy później jadł kolację.



Pałac Paulinum



### Józef Pałka

Konserwator mebli. Poznałem go przez Wojtkę Kapalczyńskiego, gdy poszukiwałem w okolicach Jeleniej Góry jakiegoś konserwatora, który zajmie się odrestaurowaniem pięknych mebli gdańskich w Pałacu Paulinum. Były one niestety przez użytkujących je żołnierzy wysmarowane jakimiś farbami. Ale Józek, niezależnie od konserwacji wyposażenia Sali Gdańskiej, widząc duży temat inwestycyjny, od razu zaproponował mi urządzenie kilku pokoi oryginalnymi meblami, oczywiście po konserwacji. Był to świetny pomysł, gdyż pałac był w zasadzie pozbawiony historycznego wystroju, a oryginalne meble mogły to trochę zrekompensować. Zaproponował mi objazd po swoich pracowniach czy warsztatach oraz magazynach. Chciał, abyśmy dokonali wstępnej selekcji. W pierwszym warsztacie, w Sobieszowie, kilku rzemieślników pracowało nad jakimiś meblami. Było jeszcze przy nich dużo do zrobienia, ale wyglądały na rzeczywiście solidnie konserwowane, konkretne. Oczywiście miały już swoich nabywców. Spytałem więc Józka, które są ewentualnie dla mnie. Odpowiedź była nieco wymijająca, ale generalnie sugerowała wizytę w magazynie. Była to stara stodoła wypełniona po dach, na pierwszy rzut oka kompletnymi destrukcjami. W zasadzie nie można było powiedzieć, z jakiego mebla co pochodzi. Zalałem się kompletnie i tym stanem

nej kondygnacji, ale nadaniu jej zupełnie innego charakteru. Zmieniliśmy układ otworów okiennych, dodaliśmy do nich neorenesansowe opaski, wykonaliśmy nowy, szeroki gzyms wieńczący podtrzymywany przez masywne kroksztyny, odwzorowane z wieży wschodniej, dodaliśmy nową attykę w postaci ażurowej dekoracji, o motywie balustrady tarasu widokowego z wieży zachodniej. Pozwoliło to przywrócić rezydencji reprezentacyjny, pałacowy charakter.

Najbardziej charakterystycznym elementem fasady południowej jest niewątpliwie obszerny kamienny taras, zakończony balkonem pierwszego piętra. Podtrzymują go dwie pary piaskowcowych kolumn, osadzonych na szerokich bazach. Lokalizacja tarasu pozwala na podziwianie panoramy Karkonoszy i jest niewątpliwym atutem całej rezydencji.

Wnętrza pałacowe, z oryginalnym XIX-wiecznym wystrojem, zachowały się tylko w kilku salach na parterze. W holu przetrwała reprezentacyjna klatka schodowa. Dębowa balustrada z szerokimi, rzeźbionymi tralkami wyraźnie zarysowuje się na tle prostej, plyninowej boazerii. Sala Gdańska jest najbardziej reprezentacyjną salą pałacu. Nazwę swą zawdzięcza meblom zdobiącym jej wnętrza, pochodzącym z przełomu XIX i XX w. Dwudzielne pomieszczenie składa się z okrągłej sali wieży zachodniej i przylegającego do Oranżerii niemal kwadratowego gabinetu. Jego ściany pokrywają – do wysokości dwóch metrów – proste plyninowe boazerie, a powyżej znajduje się drewniany ciemny strop belkowy, który stwarza klimat gotyckich wnętrz zamkowych. Uroku pomieszczeniu dodaje wystrój sali okrągłej zwieńczonej sklepieniem żebrowym, pokrytym złotymi mozaikami z ornamentami bizantyjskimi. Sala jest wyposażona w meble gdańskie, datowane przeważnie na rok 1902.

Oryginalny wystrój zachowała jeszcze Sala Myśliwska oraz Oranżeria. Niewątpliwie atrakcją Paulinum jest kilkunastohektarowy park założony w połowie XIX w. W epoce romantyzmu architekci ogrodów i parków wykorzystywali w projektowanych przez siebie założeniach naturalne walory rodzimego krajobrazu. W posiadłości Kramsta takim elementem była Góra Krzyżowa z licznymi, masywnymi ostańcami granitowymi. To wśród nich odnaleźć można grotę skalną, w której jeszcze w XIX w. urządzono kaplicę. Ciekawa jest również platforma widokowa usytuowana na szczycie góry. W parku znajduje się wiele ścieżek naturalnych, platform widokowych, połączonych często kamiennymi schodami i zabezpieczonych kamiennymi murkami.

Rozpoczęte w połowie 2003 r. prace konserwatorskie i adaptacyjne trwały 18 miesięcy. Projekt wykonały jak zwykle architektki Ala Zamorska i Ewa Hawrylak, a kierownikiem budowy był Andrzej Pater. W obiekcie powstał hotel z 30 pokojami i apartamentami.

## Wojanów

Gdy kończyliśmy prace konserwatorskie i adaptacyjne w Pałacu Paulinum, zaczęli się do mnie zwracać właściciele niektórych obiektów pałacowych w Kotlinie Jeleniogórskiej, oferując ich sprzedaż. Wielu z nich zakupiło je wiele lat wcześniej, za stosunkowo niewielkie pieniądze, jako zniszczone i nieużytkowane obiekty, ale nie byli przygotowani do kosztownych remontów czy adaptacji. W latach 90. agencje rolne, wojskowe, przemysłowe, a także ówczesne samorządy, masowo sprzedawały podupadłe dawne rezydencje i folwarki, chcąc się pozbyć niepotrzebnego balastu. Sprzedawano je stosunkowo niedrogo, a w umowach nie nakładano na nowych właścicieli żadnych obowiązków. Chociaż ustawa o ochronie zabytków wskazuje na odpowiedzialność właściciela za ich stan i zabezpieczenie, to w sumie kary z tytułu nieprzebrzegania tych wymogów są tak niewielkie, że w rzeczywistości żadnej ochrony prawnej dla zabytków nie ma. Ówcześni nowi właściciele sądzili zapewne, że albo polskie, albo europejskie fundusze będą wspierały ratowanie ich zagrożonych zabytków. Rzeczywistość okazała się zgoła inna. Wsparcie finansowe, owszem, mogą otrzymać, ale tylko niektóre obiekty i to pod bardzo restrykcyjnymi warunkami, których z całą pewnością nie są w stanie spełnić właściciele zakupionych dworów i pałaców. Dlatego pierwsze lata XXI w. to był czas na ponowne zmiany własnościowe. Tym razem sprzedający chcieli pozbyć się balastu, a wśród kupujących pojawiali się świadomi inwestorzy, którzy wiedzieli, że zakup zabytku to dopiero pierwszy, mały krok na drodze do ich użytkowania.

Nie ukrywam, że uważałem niektóre z obiektów zaoferowanych mi do kupna za niezwykle interesujące. Zamek i Pałac Dębowy w Karpnikach, pałac w Wojanowie czy Pakoszowie, to prawdziwe perełki wśród zabytkowych rezydencji Kotliny Jeleniogórskiej. Dodatkowo ze wspinałą historią, wybitnymi architektami, którzy je przebudowywali w XIX w. i znakomitymi tradycjami życia towarzyskiego i arystokratycznego. Ale oczywiście piękno i ciekawa historia obiektów nie gwarantują ich finansowania. Postanowiłem zaproponować zakup jednej rezydencji Józefowi Pilchowi, niezwykle inwestorowi, którego poznałem kilka lat wcześniej. Zajmował się różnymi przedsięwzięciami w Polsce po powrocie z USA, gdzie odniósł sukces finansowy w przemyśle farmaceutycznym. Inwestował w obiekty sportowe, biurowe, mieszkalne, ale w większości nie były to klasyczne inwestycje deweloperskie, jakie prowadzi wiele firm i wielu przedsiębiorców. Ziutek, bo tak się do niego zwracałem, realizował inwestycje prekursorskie, nietuzinkowe, unikatowe. Starał się wprowadzać do Polski nowe standardy, nowe wzorce działania.

mebli, i ich ilością, i bałaganem. Tymczasem Józek miał w głowie każdy fragment mebla. Wiedział, gdzie leży który element, ornament, z jakiego jest warsztatu itp. I zaczął wyjmować z różnych miejsc fragmenty szafy, łóżka, połamane fotele i krzesła z ciekawego kompletu w stylu Ludwika Filipa. Od razu wyjaśniał, co musi zrobić i jaki będzie efekt. Zaryzykowałem i zleciłem mu jeden pokój. Efektem byłem mile zaskoczony. Tak zaczęła się nasza wieloletnia współpraca, która zaowocowała wyposażeniem niejednego miejsca w znakomite okazy mebli.



Pałac w Wojanowie

Pałac w Wojanowie





Zapytałem go kiedyś, na początku naszej znajomości, o aspekt ekonomiczny inwestycji na pewnym osiedlu, którą dla niego realizowaliśmy i jego odpowiedź na długo zapadła mi w pamięć. Powiedział, że pewnie będzie się zwracała bardzo długo, ale to nieważne, bo na tym osiedlu mieszka tak wielu ludzi, a nie mają nawet basenu czy sali do ćwiczeń. To gdzie oni mają uprawiać jakiś sport? Jednak on nie budował tylko basenu czy sali do ćwiczeń. Powoływał szkoły sportowe dla dzieci, organizował wyjazdy, obozy, zatrudniał trenerów dla niepełnosprawnych. Nie tylko budował obiekty sportowe, ale realizował program sportowy, który tak naprawdę leżał w gestii samorządowych instytucji edukacyjnych czy społecznych. Kolejne inwestycje miały zawsze jakiś nowatorski charakter. Budował korty tenisowe, hale do squasha, gdy ten sport jeszcze nie był w Polsce popularny, tory do wyścigów samochodowych i doskonalenia jazdy dla kierowców sportowych, hale do ujeżdżania koni. Podejmował też wiele innych inicjatyw. Nasza firma prowadziła kilka jego przedsięwzięć, ale łączył nas nie tylko biznes. Gdy poznałem go lepiej prywatnie, mogę powiedzieć, że bardzo się zaprzyjaźniliśmy. Odpowiadał mi bardzo jego stosunek do inwestycji, do współpracowników, do zawodowej rzetelności.

Gdy zaproponowałem mu zainwestowanie w zespoły pałacowe w Kotlinie, początkowo twierdził, że trochę tego nie czuje i chyba nie był do tego przekonany. Jednak udało mi się namówić go do wyjazdu do Karpnik i Wojanowa i obejrzenia tych obiektów. Ja oczywiście byłem przekonany, że warto w nie zainwestować, Ziutek mniej, ale ostatecznie zdecydował się na kupno pałacu Dębowego w Karpnikach, który stał się jego rezydencją, w mojej opinii najpiękniejszą pałacową rezydencją w kraju. Zaproponował mi wspólną rewaloryzację Pałacu Wojanów, choć to on zapewnił jej finansowanie. W ten sposób mogłem zrealizować swój sen o uratowaniu kolejnego pałacu, tym razem książęcej rezydencji w Wojanowie, która jest niewątpliwie jedną z najbardziej malowniczych w Polsce.

Renesansowy warowny dwór wzniesiono w 1607 r. na skraju skarpy rzecznej Bobru i otoczono fosą. Cztery alkierzowe wieże podkreślały jego obronny charakter. Był siedzibą znakomitego rodu von Zedlitzów, ale po kilkudziesięciu latach, w czasie wojny trzydziestoletniej dwór spłonął. Odbudowano go po kolejnych kilkudziesięciu latach, już w kostiumie barokowym. Okres jego świetności przypadł jednak na wiek XIX, gdy znów został przebudowany, tym razem w stylu romantycznym, neogotyckim, przez ówczesnego właściciela Karla Ikego, a następnie przez księżniczkę pruską Luizę Niderlandzką, dla której pałac zakupił w prezencie ślubnym Fryderyk Wilhelm III, król pruski.



### Józef Pilch

Przedsiębiorca, inwestujący w Polsce w różne, często nowatorskie, przedsięwzięcia. Ale to przede wszystkim człowiek niezwykle pomocny, życzliwy, otwarty na innych. Ma wiele pomysłów i pasji, i cały czas wyznacza sobie jakieś nowe zadania. Ja w każdym razie nie mogę mówić o nim inaczej, jak przyjaciel. To tylko dzięki niemu odbudowaliśmy pałac w Wojanowie i pałac w Karpnikach.

Cieszyłem się zawsze, gdy po kilkumiesięcznym pobycie na Florydzie, gdzie spędzał zimę, dzwonił do mnie tuż po przylocie i od razu umawialiśmy się na piwo. Ja relacjonowałem, co u nas się dzieje, tzn. w spółkach w Wojanowie, ATC, Castellum, w Fundacji, a on – co robił nad Zatoką Meksykańską. Trochę politykowaliśmy, omawialiśmy najważniejsze mecze sezonu i umawialiśmy się na następne spotkanie w Kotlinie Jeleniogórskiej, gdzie często w większym gronie biesiadowaliśmy. Ale przytoczę tu pewną anegdotę. Ziutek w Stanach zdobył uprawnienia do latania śmigłowcem. Gdy go przywiózł do Polski, zapowiedział, że jak tylko uzyska takie uprawnienia w Europie, to oblecimy Kotlinę Jeleniogórską. Tak się stało. Umówiliśmy się na lot. Helikopter został przez Ziutka sprawdzony i wyruszyliśmy. Ja miałem aparat fotograficzny i chciałem porobić trochę zdjęć z lotu ptaka. Ale

wiatr się wzmógł i zauważyłem, że Ziutek musi dość często korygować lot, aby dotrzeć do planowanego miejsca. On był spokojny i opanowany, a ja trzymałem się kurczowo jakiegoś uchwytu. Gdy w końcu wróciliśmy nad miejsce startu, Ziutek z mniejszą pewnością powiedział, że lądowanie będzie dość trudne, bo wiatr spycha nas na okoliczne drzewa. Ale oczywiście wszystko się dobrze zakończyło, tylko ja byłem siny i zielony ze strachu. Gdy Ziutek zapytał, jak zdjęcia, odpowiedziałem, że nawet nie wyjąłem aparatu z futerału. Dlatego pewnie nigdy nie zaproponował mi następnego lotu.



Pałac w Wojanowie

Powojenne dzieje pałacu przypominają los innych podobnych obiektów w regionie. Najpierw został rozgrabiony, a później utworzono w nim PGR. Po likwidacji Państwowego Gospodarstwa Rolnego, Agencja Nieruchomości Rolnych Skarbu Państwa sprzedała pałac w 1997 r. firmie włoskiej, która rozpoczęła remont. Kiedy w 2002 r. pożar strawił cały obiekt doprowadzając go do stanu bliskiego katastrofie budowlanej, właściciel zrezygnował z prowadzenia remontu i postanowił sprzedać zrujnowany majątek Hohenzollernów. Kupiliśmy go w 2004 r. jako spółka Pałac Wojanów.

Projekt architektoniczny powierzyłem pracowni Mariusza Karsta, z którym znałem się od wielu lat, a konstrukcyjny – konstruktorom z firmy CCI. Najważniejsze decyzje funkcjonalne musiały zapaść na początku. Dotyczyły nie tylko przeznaczenia wszystkich obiektów, ale również zakresu odbudowy. Dwa z obiektów dawnego folwarku praktycznie nie istniały. Decyzja o ich rekonstrukcji to w dużej mierze decyzja o skali finansowej przedsięwzięcia. Pomimo znaczących kosztów, podjęliśmy to wyzwanie. Jednak początek inwestycji był bardzo nieszczęśliwy z innych powodów. W maju 2005 r. uległem poważnemu wypadkowi samochodowemu, który na prawie 9 miesięcy wyłączył mnie z zajmowania się Wojanowem. Jeszcze bardziej dramatyczne wydarzenie miało miejsce, gdy leżałem w szpitalu. Dotarła do mnie wiadomość, że Mariusz Karst wraz z żoną zginęli w wypadku samochodowym. Oboje byli architektami, oboje doskonale znałem i bardzo ceniłem. To był zatem i cios osobisty.

Projekt budowlany dokończył Janusz Grochowski, wspólnik Mariusza, ale projekty wykonawcze realizowały Ala Zamorska i Ewa Hawrylak. Roboty budowlane w rzeczywistości rozpoczęto w 2006 r., choć już rok wcześniej wykonano pierwsze prace zabezpieczające i wzmacniające. Koncentrowały się one pierwotnie nie tyle na konserwacji, ile raczej na odbudowie i rekonstrukcji spalonego pałacu. Pożar, a wcześniej powojenne dewastacje i grabieże nie pozostawiły w zasadzie żadnych oryginalnych elementów wystroju. Dlatego też do tych nielicznych podchodzono ze szczególnym pietyzmem, chcąc dzięki ich konserwacji uzyskać efekt autentyczności historycznego obiektu.

W piwnicach zachował się oryginalny, XVII-wieczny układ ścian i sklepień – kamienne kolebki. Na fragmentach sklepień pozostały oryginalne wapienne pobiałe. Układ piwnic oddaje dokładnie rozplanowanie ścian pierwszego renesansowego dworu. W piwnicy zachowała się również fragmentarycznie oryginalna kamienna posadzka z płyt piaskowcowych. Na parterze tylko dawna sień posiada swój oryginalny wystrój ze sklepieniem kolebkowym z lunetami, szwami i wprowadzonymi w XIX w. konsolami dekoracyjnymi na

splywach sklepień. I tu występuje oryginalna posadzka z piaskowca. Na kopule w wieży północno-wschodniej zachowała się fragmentarycznie iluzjonistyczna dekoracja malarska z podziałem płycinowym sklepienia i delikatnym architektonicznym fryzem. Na pierwszym piętrze w sali balowej pozostał fragment historycznej dekoracji malarskiej z lat 30. XX w. Nawiązuje ona do klasycystycznych wzorów antycznych. Najwięcej oryginalnych elementów występuje w dolnych partiach elewacji. W pawilonach ogrodowych i łącznikach w niezłym stanie technicznym zachowała się cała kamieniarka: obramienia okienne i drzwiowe, gzymsy pośrednie i wieńczące, konsole oraz proste dekoracje. Oczywiście najcenniejszym elementem pozostaje podwójny renesansowy portal w ryzalicie klatki schodowej. Przetrwiał on niemal w całości w niezłym stanie technicznym, choć widoczne są wyraźnie wcześniejsze działania konserwatorskie, najprawdopodobniej z 1906 r. Rozległy kamienny taras od strony południowej zachował się tylko w swoim charakterystycznym obrysie, wraz z dwiema parami łukowych zabiegowych schodów, które prowadziły do ogrodu. Oryginalne pozostały również drzwi wejściowe w podwójnym portalu, pojedyncze okno skrzynkowe w pawilonie oraz drzwi na taras ogrodowy.

Tak niewielka liczba oryginalnych elementów oraz brak jakichkolwiek materiałów ikonograficznych dotyczących wnętrz pałacowych, spowodowały konieczność nie tylko odbudowy spalonego obiektu, ale również wykonania całkowicie nowego wystroju niemalże wszystkich sal.

Wiele dyskusji podczas prac konserwatorskich wywołała odnowa elewacji. Dążąc do odtworzenia oryginalnej dekoracji kolorystycznej prowadzono nie tylko badania stratygraficzne, które często odpowiadają na podstawowe pytanie dotyczące pierwotnej barwy ścian. W tym przypadku odpowiedzi nie były jednoznaczne. Na szczęście zachowały się liczne kolorowe litografie, przedstawiające pałac po przebudowie z początku XIX w. i choć nie zawsze są spójne, to z całą pewnością naprowadziły nas na kolorystykę, która była zastosowana w pierwotnej, romantycznej, neogotyckiej przebudowie. Delikatny, piaskowy odcień elewacji uzupełniają koralowe gzymsy, fryz wieńczący oraz dekoracja kamiennych okien tudorowskich w pawilonach i portalu ogrodowym. W pracach malarskich zastosowano delikatnie laserunki, które z jednej strony lekko spatynowały zastosowane kolory, ale z drugiej wyraźnie wyeksponowały pałac na tle ciemnej zieleni parkowej. W elewacji parkowej odtworzono cynowe rozety, metalową balustradę tarasu pierwszego piętra oraz kamiennie-stalową balustradę okalającą szeroki i rozległy taras ogrodowy.



#### **Andrzej Chowner**

Dziś dyrektor oddziału Castellum w Jeleniej Górze. Jak często podkreślam – nasz wychowanek. Przeszedł do firmy zaraz po studiach. Przypominam sobie anegdotę z początku naszej współpracy. Andrzej był pewnie inżynierem budowy, może majstrem, podczas remontu kamienicy Kielbaśnica 1. Ja jestem akurat w biurze budowy, gdy nagle wpada wściekły i mówi, że musiał zrużać robotników, którzy coś montują odwrotnie. Ktoś zapytał, w jaki sposób. Andrzej wyjaśnił i wówczas kierownik budowy powiedział, że robią to dobrze. Andrzej, lekko skonfundowany, wyszedł z biura i wrócił po kilkunastu minutach, tym razem zadowolony. „Załatwione, opieprzyłem ich znowu, że nie tylko źle robią, ale nawet nie rozumieją, jak się im coś tłumaczy”. Nie oceniam tej taktyki, ale jak na młodego inżyniera zachował się zdecydowanie i nie utracił aury wśród robotników.



Sala Balowa



#### **Stanisław Dziedziński**

Kierownik budowy zatrudniony, jak pamiętam, w czasie odbudowy zamku w Kliczkowie. Ze Stasiem kojarzyć mi się będzie zawsze pewna anegdota. Gdy świętowaliśmy w jednej z restauracji na pl. Solnym zakończenie 2006 roku, było to w ostatnim dniu roboczym grudnia, Staszek, trochę mocniej wstawiony, na koniec imprezy zaczął do wszystkich wykrzykiwać: „Ja was zwalniam, nie będziecie ze mną pracowali!” itp. Szybko ktoś go wsadził do taksówki i wysłał do domu. Ale 2 stycznia 2007 r. mnie i Krzysztofa Terkę rzeczywiście zwolniono. Staszek podobno nie mógł sobie tego darować. Sądził, że jakoś się do tego przyczynił. Na następnych noworocznych spotkaniach, już w Castellum, prawie nie pił alkoholu. Podchodził do mnie ze szklanką wody i mówił: „Nie ma co kusić losu”.

Prace wewnętrzne, poza instalacyjnymi i technicznymi, skoncentrowały się na nadaniu salom pałacowym historyzującego wyglądu, pomimo braku oryginalnych ornamentacji. Zastosowano dwie zasady dekoracyjne. Pierwsza to dekoracje malarskie, a druga – sztukatorskie. Większość pomieszczeń zdobią jednak te drugie. Gzymsy, fasety, wysokie cokoly i listwy o klasycyzujących profilach, nadały większości pomieszczeń nową i ciekawą ornamentykę, nawiązującą być może do dawnych wnętrz. W salach parteru i pierwszego piętra wprowadzono dodatkowo podziały plyninowe, podkreślając przejścia do wież alkierzowych i sąsiednich saloników. W Sali Balowej odtworzono dekorację malarską. Płaskie, pierwotne malarstwo, choć wykorzystywało neoklasycystyczne motywy zdobnicze z połowy XIX w., obowiązujące w szkole berlińskiej, nie podkreślało rangi najważniejszej sali pałacu. Wiele wskazuje na to, że pierwotnie była ona inaczej zdobiona, być może inną polichromią lub sztukaterią, ale ze względu na brak dodatkowych odniesień podjęto decyzję o odtworzeniu zachowanego fragmentarycznie malowidła. Dokonano jednak podmalowań niektórych ornamentów i fryzu wieńczącego. Uzyskano w ten sposób pełniejszy efekt malarski, zachowując jednak oryginalną kompozycję i stylistykę dekoracji sali. Malarstwo odtworzono również w kopolach dwóch wież od strony dziedzińca na parterze. Nowe dekoracje malarskie wprowadzono w salach trzeciego piętra, gdzie wcześniej była zakotwiona drewniana więźba dachowa. Trochę w charakterze żartu, trochę na zasadzie twórczych aspiracji konserwatorskich, sale te ozdobiono antycznymi plyninami i fryzami oraz ornamentami renesansowymi i greckimi. Ta współcześnie wprowadzona dekoracja do sal oświetlonych tylko wąskimi małymi okienkami, wkomponowanymi we fryz arkadowy elewacji, nadała wnętrzom niezwykle klimat. W zasadzie tylko pomieszczenia piwnic zachowały swój historyczny wystrój.

Zabiegi konserwatorskie i adaptacyjne objęły nie tylko pałac, ale również wszystkie obiekty folwarczne. Prace w budynku dawnej obory, pełniącej również rolę spichlerza, rozpoczęto od odbudowy nietypowej więźby dachowej, która zawałowała się podczas wichury w 2004 r. Znacznie trudniejsze zadanie było związane z uratowaniem oryginalnych, XVIII-wiecznych sklepień ceglanych. Ich ogólny stan techniczny był bardzo zły. Zmurszała cegła, która przez lata nasiąkała wodą, liczne ubytki w sklepieniu spowodowane częściowym zawałaniem lub świadomymi przekuciami powłoki, wypłukane i skorodowane spoiny, poruszane żebra górne powodowały, że potężne sklepienia mogły w każdej chwili runąć na ziemię. Wzmocniono więc ich konstrukcję i przeprowadzono konserwację ceglanych płaszczy. Uzyskano w ten sposób oryginalne wnętrza, w których urządzono sale konferencyjne.

Budynek dawnej stajni zachował się w zdecydowanie lepszym stanie technicznym. W podjętych pracach więcej uwagi poświęcono zachowaniu oryginalnej substancji, a mniej konstrukcji ratującej obiekt. Duże, sklepienie pomieszczenie parteru adaptowano na restaurację, a na poddaszu, na którym zaprojektowano pokoje hotelowe, wyeksponowano elementy oryginalnej więźby dachowej oraz wprowadzono podziały ścianami w konstrukcji szachulcowej.

Najmniejszych zmian funkcjonalnych dokonano w dawnej XVIII-wiecznej oficynie mieszkalnej. Pełni ona dziś funkcje hotelowe. Przebudowa obiektu wynikała z potrzeby dostosowania do współczesnych standardów i do nowego przeznaczenia. Starano się w maksymalnym stopniu zachować oryginalny układ ścian na parterze i pierwszym piętrze.

Kolejny budynek, stodoła, w latach 70. XX w. został rozebrany. Zapewne ówczesnego użytkownika folwarku, PGR, zmusił do tego jego katastrofalny stan. Postanowiono go odbudować, aby zamknąć od wschodu całe założenie pałacowo-folwarczne. Starano się odtworzyć obiekt w jego historycznym kostiumie. We wszystkich innych budynkach folwarcznych zespołu zadbano o to, aby w maksymalnym stopniu zachować nawet najmniejsze i, wydawać by się mogło, nieistotne elementy oryginalnej substancji. Tym bardziej ważne było zachowanie podobnego charakteru w nowo wznoszonym obiekcie dawnej stodoły. Cały parter, w którym urządzono m.in. basen, ozdobiono oryginalnym kamieniem ze ścian rozebranego budynku i drewnianymi belkami pochodzącymi z zawalonej więźby dachowej obory. W ten sposób nowy obiekt dawnego dworu uzyskał charakter i klimat XIX-wiecznych zabudowań folwarcznych.

Zagospodarowanie dziedzica w każdym niemal zespole pałacowym to problem zarówno konserwatorski, jak i urbanistyczno-architektoniczny. Z jednej strony przez stulecia dziedzicze majątków ziemskich pełniły funkcje gospodarcze, a całkowita zmiana przeznaczenia obiektów folwarcznych wymagała ich reorganizacji. W zespole pałacowym w Wojanowie, gdzie nastąpiła tak radykalna zmiana funkcji wszystkich zabudowań, to zadanie projektowe było szczególnie trudne. Mamy tu bowiem do czynienia z projektem parku i najbliższego otoczenia pałacu, wykonanym na zlecenie pary książęcej przez jednego z najwybitniejszych projektantów ogrodów epoki, Petera Josepha Lennégo, dyrektora generalnego Ogrodów Pruskich i projektanta najważniejszych w XIX w. założeń parkowych w królestwie. Aby być w zgodzie z jego wizją romantycznego założenia, a równocześnie uwzględnić współczesne, zmienione funkcje obiektów folwarcznych, wybrano koncepcję dziedzica bazującą z jednej strony na ozdobnych formach ogrodowych przy



#### **Halina Gołda-Krajewska**

Architekt krajobrazu, wieloletnia szefowa pracowni konserwacji zieleni w Pracowniach Konserwacji Zabytków. Nie znaliśmy się pracując w tej samej firmie, ponieważ ja zajmowałem się wówczas obiektami w centrum Wrocławia (Kościół Garnizonowy, kamienica Rynek 6), a i nie było tam żadnych parków czy ogrodów. Gdy rozpoczęliśmy prace projektowe w Wojanowie, nie miałem wątpliwości, że to właśnie pani Halina powinna zaprojektować prawie 20-hektarowy park, który był wówczas pastwiskiem i wysypiskiem śmieci, a nie założeniem parkowym. Sądzę, że ucieszyła się z tej propozycji, gdyż jest zafascynowana twórczością Petera Lennégo, znakomitego pruskiego projektanta ogrodów, w tym również tego w Wojanowie. Powstała najpierw koncepcja całości, później projekt wykonawczy, a w końcu wiele rysunków i szkiców detali. Jednak pani Halina nie przekazała mi tego projektu jako zamkniętej książki. Tłumaczyła mi całą ideę Lennégo, kontekst wszystkich nowych układów i nasadzeń, pokazywała przykłady różnych parków romantycznych, do których nawiązywała. Innymi słowy uczyła mnie krajobrazu romantycznego parku. Gdy wykonaliśmy projekt, w zasadzie bez żadnych zmian, była bardzo zadowolona, bo, jak twierdzi, często jej projekty są zmieniane,

uzupełniane o jakieś niepasujące do całości rośliny czy elementy i efekt jest mizerny.

Prawdziwym wyzwaniem był jednak Bukowiec. Gdy zaproponowałem pani Halinie kolejny projekt, i to największego parku romantycznego, chwilę się wahała. Było to wielkie założenie, kompletnie zdegradowane. W końcu ustaliliśmy, że zaprojektuje całość kompozycji i poszczególne fragmenty parku. Spotykaliśmy się od czasu do czasu w jej dworze w Mniszkowie. Podobnie jak w przypadku Wojanowa, często tłumaczyła mi kontekst różnych rozwiązań. Niewątpliwie wiele się od niej nauczyłem.

palacu, a z drugiej na uporządkowanym i stonowanym otoczeniu budynków folwarcznych. Takie rozwiązanie pozwoliło nadać dziedzicowi nową formę, ale równocześnie zachować go w harmonii z rangą i charakterem wszystkich obiektów. Wykonano więc nowe drogi i ścieżki, które uczyniły z wielobocznego zamkniętego podwórca miejsce spacerowe i rekreacyjne, ale równocześnie skomunikowały ze sobą wszystkie obiekty. Jedynym nowym elementem, jaki się tu pojawił jest okrągła, okazała fontanna, której umieszczenie na osi palacu wymagało specjalnego obniżenia terenu. XIX-wieczna fontanna została transferowana z innego miejsca, ale charakterem nawiązuje do romantycznego otoczenia. Nowe szpalery lipowe, rabaty, klomby i trawniki podkreślają ogrodowy charakter całego zespołu. Wszelkie miejsca użytkowe: parkingi, ogrody letnie, polany piknikowe, tereny rekreacyjne itp. zaprojektowano poza dziedzińcem wewnętrznym. Projekt założenia parkowego zrealizowała Halina Gołda-Krajewska. Pracami kierował początkowo Michał Lorek, a później Andrzej Chowner i Stanisław Dziedziński. Otwarcie obiektu nastąpiło w maju 2008 r.

## CASTELLUM

Moja praca w firmie Integer zakończyła się dość nagle i niespodziewanie w styczniu 2007 r. Nie będę tu wyjaśniał przyczyn coraz większego rozdźwięku, jaki pojawiał się pomiędzy członkami zarządu i akcjonariuszami w ostatnich latach. Stał się on wręcz szkodliwy i utrudniał dalszy rozwój Integeru. Postanowiliśmy więc wszyscy, po dość burzliwych dyskusjach, dokonać podziału spółki pomiędzy akcjonariuszy założycieli, gdyż wcześniej została ona przekształcona w spółkę akcyjną. Część budowlano-konserwatorską miałem przejąć z Krzysztofem i Wieskiem, a nieruchomości, w tym Kliczków i Hotel Tumski, mieli dostać Magda i Jerzy Ludwinowie. Wstępnie podpisane porozumienie w tej sprawie zostało jednak przez głównych akcjonariuszy zupełnie nieoczekiwanie zerwane i wycofano się z planu podziału spółki. Zostałem zwolniony po 18 latach pracy z firmy, którą z przyjaciółmi budowałem od podstaw. To było trudne i zupełnie nieoczekiwane przeżycie.

Krzysztof, który podobnie jak ja został zwolniony, Wiesiek, który solidarnie z nami zwolnił się sam i ja, postanowiliśmy rozpocząć wszystko od nowa. Choć nie była to łatwa decyzja, chcieliśmy kontynuować działalność, której poświęciliśmy niemal 20 lat naszego zawodowego życia i, jak sądziliśmy, trochę się na niej znamy. Ryzyko uruchamiania zupełnie nowej spółki zawsze istnieje, ale w branży, w której liczy się doświadczenie i dorobek firmy, a nie właścicieli, historia bankowa i kredytowa, której nie mieliśmy – było szczególnie duże. To były już inne czasy niż te z początku transformacji, gdy wszystkie firmy zaczynały w podobnej sytuacji. Zdawaliśmy sobie z tego doskonale sprawę, ale nasza determinacja i wiara w sukces przelamywała te wszystkie obawy. Do dziś pamiętam, z jakim zapalem wymyśliśmy nazwę dla firmy, jakby to było najważniejsze; w końcu zaproponowała ją Malwina Terka, i to ona opracowała logo Castellum. Siedzibę mieliśmy, gdyż wcześniej adaptowałem dla potrzeb fundacji<sup>3</sup>, którą powołałem, pomieszczenia po dawnym klasztorze augustianów eremitów przy kościele pw. św. św. Stanisława, Doroty i Wacława we Wrocławiu. Ale nazwa, logo i siedziba to wciąż niewystarczające, aby zaczynać.

Mogliśmy na szczęście liczyć na pomoc bardzo wielu życzliwych nam osób. Często powtarzam, że bez ich wsparcia nie zbudowalibyśmy Castellum tak szybko i z takim



### **Małgorzata Makuszewska**

Kierownik biura Zarządu Castellum. Często powtarzam na naszych noworocznych spotkaniach, że to najbliższa mi osoba, ale zaraz dodaję, że ma biurko tuż za moimi drzwiami. Dziś, z perspektywy wielu lat współpracy, może powinienem już z tego dodatku zrezygnować. Odnoszę czasami wrażenie, że Gosia ma jakieś podpięte do mojego mózgu łączniki i w mig odgaduje sprawy, którymi chciałbym, aby się zajęła – z kim i kiedy umówić spotkanie, połączyć rozmowę telefoniczną, a z kim nie; komu odpisać, pogratulować, co przygotować itp. Rozumiemy się doskonale bez wielkich wyjaśnień i tłumaczeń. Zresztą nie dotyczy to tylko spółki Castellum, ale też ATC Development, Fundacji, Pałacu Wojanów, czasami SKZ. Anegdot o Gosi można opowiadać wiele, to niewątpliwie dziewczyna wulkan, ale przytoczę tę, której ona nie lubi. Mam nadzieję, że mi wybaczysz...

Gdy przyjmowałem ją do pracy, jeszcze w Integerze, odbyłem kilka rozmów z kandydatkami na stanowisko sekretarki. Gosia wypadła z nich najlepiej, jeżeli chodzi o kompetencje, deklarowane zaangażowanie itp. Ale mówiła strasznie, zachrypniętym, wręcz meliniarskim głosem. Wyjaśniała mi, że to zapalenie gardła czy coś podobnego. Pomyślałem jednak, że jeśli to jakaś stała przypadłość, to

<sup>3</sup> Fundacja Doliny Pałaców i Ogrodów Kotliny Jeleniogórskiej założona w 2005 r. (przyp. W. Napierała)

jak zabrzmiał w telefonie głos sekretarki, która ma być wizytówką firmy? Pomimo tej wątpliwości zatrudniłem Małgosię i był to jeden z najlepszych moich zawodowych wyborów. Chrypa minęła po dwóch dniach.



### **Krystyna Sokół**

To bardzo bliska mi osoba, ale nie mogę znaleźć w pamięci żadnej anegdoty z jej udziałem. Wynika to zapewne trochę z pełnionej przez nią funkcji dyrektora finansów spółki (dokładniej – kilku spółek), a trochę z jej charakteru. Jest osobą bardzo skrupulatną, pracowitą i profesjonalną. Zawsze mogłem liczyć na jej pomoc, poradę i to nie tylko w sprawach zawodowych. Jedną rzecz muszę tu szczególnie podkreślić. Gdy zacząłem chorować i nie mogłem już poświęcać zbyt dużo uwagi Fundacji, Pałacowi Wojanów i powiązanim spółkom, zadzwoniłem do Krysi z pytaniem, a raczej prośbą, czy mogłaby zająć się nimi jakoś szczególnie i dbać o ich interes podczas mojej choroby. Odpowiedź była natychmiastowa: „Już to zrobiłam”. A później dostawałem informacje, jak wiele rzeczy wzięła na siebie. To właśnie Krysia.

efektem. Muszę tu wymienić chociażby Józefa Pilcha. To on wsparł nas finansowo na początku działalności, a później zlecił nam kilka swoich inwestycji, które z całą pewnością dopomogły w szybkim rozwoju spółki. Ale jeszcze ważniejsze było zaufanie, jakim obdarzyli nas dotychczasowi współpracownicy z Integeru. To oni od samego początku zadeklarowali chęć dalszej współpracy z nami, gdy nawet nie mieliśmy firmy, a pomysł jej powołania dopiero pojawiał się w naszych głowach. Współpracę z wieloma osobami zaczęliśmy wcześniej, niż formalnie zostali oni zatrudnieni w firmie. Małgorzata Makuszevska jeszcze w styczniu zaczęła organizować sekretariat spółki, Krystyna Sokół – dział finansowy, Mirek Arcimowicz – dział transportu, Andrzej Banaszek – dział przygotowania produkcji, a kierownicy budowy deklarowali przejście do Castellum, jak tylko pojawią się takie możliwości. Gdy zdobywaliśmy kontrakty, obejmowali kolejne budowy w kraju i za granicą. Jeszcze w 2007 r. w firmie rozpoczęli pracę inżynierowie: Andrzej Chowner, Tadeusz Czerwiński, Ryszard Dąbek, Arek Duda, Jarosław Firlej, Marcin Krawiec, Bartosz Kulawiecki, Jacek Pawłowski, Robert Rudnik, Jakub Samuszonek, Janusz Żurawski i duża grupa robotników. Trudno mi wymienić wszystkich, ale chciałbym wspomnieć chociażby tych, z którymi pracowałem co najmniej kilkanaście lat, a często i więcej. To Jan, Robert, Jacek Supersonowie, Ireneusz i Dominik Kowalewiczowie, Mariusz i Zdzisław Dolatowie, Andrzej Jagodziński, Zbigniew Wiśniewski, Jan Dekret, Tadeusz Gniewek, Jerzy Gudra, Józef Macikowski. Powinienem pewnie wymienić jeszcze wiele innych nazwisk, ale pamięć, jak to często bywa, jest zawodna.

Strukturę Castellum zbudowaliśmy tak, jak wcześniej w firmie Integer, bo sami tę strukturę tam tworzyliśmy. Kierownicy kontraktów, kierownicy budów, kadra inżynieryjno-techniczna, dział przygotowania produkcji, dział finansowo-księgowy, transportu i zaopatrzenia, i oczywiście biuro zarządu.

Chcieliśmy prowadzić działania konserwatorskie zarówno w kraju, jak i za granicą. Paradoksalnie sądziliśmy, że w tym początkowym etapie, gdy będziemy dopiero budować dorobek firmy, zdobywanie kontraktów za granicą będzie łatwiejsze niż w Polsce. Po wejściu Polski do UE zniknęło wiele ograniczeń i utrudnień, które wcześniej musieliśmy pokonywać. Sądziliśmy też, że jeżeli będziemy pracowali za granicą dla inwestorów prywatnych, to dla nich nie będzie miało znaczenia, że firma dopiero się zarejestrowała, czy że nie ma dorobku. W tych relacjach najważniejsze są kontakty personalne, a zaufanie do ludzi jest istotniejsze niż ocena firmy. Dołączył do naszej spółki Jarek Okrzeja, który również złożył wypowiedzenie z pracy w Integerze i który miał już świetne kontakty w Niemczech. Jednak pierwsze kontrakty zagraniczne i pierwszą umowę dla nowej spółki podpisał w Anglii.



## Konserwacje w Anglii

Anglia okazała się dla mnie zupełnie nowym doświadczeniem konserwatorskim i organizacyjnym, i to w wielu różnych obszarach. Pierwszym z nich były wymagania rejestracyjne, które musiała spełnić firma z Polski. Miłą niespodzianką sprawiła łatwość i szybkość formalnego uruchomienia działalności w Zjednoczonym Królestwie i przepisy podatkowe, które tam obowiązują. Gdy jechałem do Anglii rejestrować firmę, miałem już pewną wiedzę o różnych formalnościach, których musimy tam dopełnić, ale nie przypuszczałem, że to wszystko uda się nam załatwić tak sprawnie i szybko. Dosłownie w ciągu kilkudziesięciu minut pobytu w biurze, które miało nas obsługiwać w Anglii, otrzymaliśmy dokumenty zgłoszeniowe i podatkowe, wygenerowane przez systemy informatyczne niejako automatycznie. Podobnie wszystkie sprawy załatwialiśmy w banku.

Jeszcze większym zaskoczeniem były dla mnie tamtejsze przepisy i wymogi podatkowe. W rozmowie z naszym doradcą niektóre pytania powtarzałem dwukrotnie, aby dostać potwierdzenie tego, co usłyszałem za pierwszym razem. Aż trudno mi było uwierzyć w tak liberalne przepisy podatkowe dla firm, szczególnie w kontekście fiskalizmu obowiązującego w Polsce i biurokratycznych zasad dominujących w Niemczech. Dotyczyło to również łatwości uzyskania kredytów bankowych, ich kosztów itp.

Jednak oczywiście najwięcej różnic dotyczyło samych realizacji i podejścia do prac w obiektach zabytkowych zarówno samych inwestorów, jak i służb konserwatorskich. Nasze kontrakty angielskie to remonty i adaptacje posiadłości ziemskich w rejonie Southampton i hrabstwie Devon oraz kamienic w okolicach Londynu.

**Dwór Farley House k. Southampton** to zespół budynków dawnego majątku ziemskiego, który zakupiła przybyła z Argentyny rodzina niemiecka. Zapewne dlatego projektantem rozbudowy była firma z Niemiec, znana nam z wcześniejszych kontaktów. Projekt przewidywał konserwację wszystkich budowli dawnego folwarku oraz remont i rozbudowę samego dworu o dwa skrzydła, w charakterze istniejącej budowli. Projektanci długo czekali na zgodę konserwatora zabytków w sprawie dobudowy, ale pozostałe zezwolenia spłynęły dość wcześnie. Pracami w Farley House kierował Michał Lorek, który dołączył do nas na początku działania firmy.

Pierwszą niespodzianką, jaka nas spotkała podczas tej inwestycji, był brak możliwości zakupu w Anglii, a przynajmniej w jej południowych rejonach, niektórych materia-



**Jacek Pawłowski**

Szef działu przygotowania produkcji, kluczowa postać, jeżeli chodzi o pozyskiwanie nowych kontraktów. Pracuje z nami ponad 20 lat. Często powtarzamy, że ma dwa oblicza. Kiedy w jego dziale jest dużo pilnych i trudnych ofert do złożenia, lepiej do Jacka nie podchodzić. Każdy zostanie wysłany za drzwi. Jak nie ma takiej intensywności ofert, chodzi uśmiechnięty, pogodny i chętny do pomocy innym. Ja mam jedno wielkie zobowiązanie wobec Jacka. Od czasu, gdy Fundacja zajmuje się rewaloryzacją Bukowca, on składa wnioski o różne dotacje. Potrzebne są nam więc kosztorysy, a na nie, niestety, nie ma pieniędzy. Prosiłem więc Jacka, aby mi je przygotował, zastrzegając zawsze, żeby zrobił to w wolnej chwili. Ale zdarzały się takie sytuacje, że tej wolnej chwili nie było, a ja potrzebowałem kosztorysu na rano. Jacek nigdy mnie nie zawiodł i wielokrotnie dokument docierał na moją skrynkę mailową późno w nocy, czasami w niedzielę. Nigdy chyba Jackowi publicznie za to nie podziękowałem.



Dwór Farley House k. Southampton



### **Mirosław Arcimowicz**

Szef działu transportu i zaopatrzenia niemal od zawsze. Pracujemy razem ponad 25 lat. Świetnie zna się na motoryzacji. Dzięki niemu wiele osób w firmie, łącznie ze mną, kupiło samochody, często za granicą. Niezwykle uczynny, zawsze gotowy służyć wszystkim pomocą. Ja też mam wiele zobowiązań wobec niego. Teraz, gdy choruję, szczególnie dużo troski okazuje mnie i mojej rodzinie.



### **Andrzej Banaszek**

Specjalista od kosztorysowania. To Andrzej zakładał w Castellum dział przygotowania produkcji i to jego praca dała pierwsze kontrakty firmie. Zawsze gotowy do pozostania dłużej, często w dni wolne, aby na czas sporządzić ofertę. Solidna firma.

łów budowlanych, które wydawały się dla nas standardem. Projektanci chcieli dobudować nowe skrzydła z materiałów współcześnie stosowanych w budownictwie, czyli ceramicznych bloczków, które spełniają normy ochrony cieplnej dla ścian i oczywiście z zewnątrz obmurować je cegłą charakterystyczną dla tamtego rejonu. Co do cegły, nie było żadnych problemów, ale bloczków ceramicznych, pustaków ceramicznych, a nawet jakichś spieków o podobnej funkcji, nie można było nigdzie na południu Anglii kupić. Hurtownicy twierdzili, że tego materiału się tam nie używa, oczywiście mogą go sprowadzić, ale to chwilę potrwa. Nie mieliśmy innego wyjścia, jak zakupić go w Niemczech i przewieźć na budowę w Anglii. Podobne problemy wiązały się z innymi materiałami, szczególnie instalacyjnymi. Niemieccy projektanci stosowali swoje standardy i nie sądzili, że rynki tych dwóch krajów są tak odległe od siebie.

Dobudowa nowych skrzydeł nie była oczywiście żadną nowością, ale już remont wnętrza dworu ukazał nam zupełnie nowe podejście tamtejszych służb konserwatorskich. Przeprowadzając remont mogliśmy, wykonując nawet zupełnie nowe rzeczy, stosować tylko takie rozwiązania materiałowe i technologiczne, z jakich korzystano przy wznoszeniu dworu. Między innymi ze względu na fatalny stan zachowania, usunęliśmy wszystkie tynki ze ścian i stropów drewnianych. Ale nowe tynki, o składzie i fakturze jak oryginalne, mogliśmy wykonać tylko na takich samych jak historyczne rusztach z listew drewnianych nabitych na ściany. Były to listewki o szerokości 2 cm i grubości ok. 1–2 cm, które oryginalnie nie były nawet jednorodne. Pochodziły zapewne z rozłupywanych prostych gałęzi. W budynku zachowało się ok. 70 procent tego wypełnienia ścian, ale uzupełnienia dokonaliśmy w tej samej technologii. Podobnie było z elementami konstrukcyjnymi ścian, stropów, więźby dachowej itp. Nie usuwaliśmy żadnych fragmentów drewnianych, a jedynie mogliśmy dokładać nowe dla wzmocnienia elementów nośnych. Wszystkie okna w historycznym dworze zostały wykonane od nowa, ale według oryginalnych wzorców. Tylko przybudówki mogły mieć nowoczesną stolarkę okienną, płyty gipsowe na ścianach, folie izolacyjne i wełnę mineralną na dachu. Prace zewnętrzne, elewacyjne i dachowe, w zasadzie polegały na uzupełnianiu brakujących fragmentów tynku czy dachówek ceramicznych. Skrzydła otrzymały co prawda dachówkę i okładziny z nowej cegły, ale ich wygląd nie różnił się niczym od tego sprzed kilkuset lat. Były nierówne, powyginane, niejednolite kolorystycznie, odbarwione, pozbawione krawędzi czy jakiegokolwiek elementu wskazującego na nowy produkt. W ten sposób, po oddaniu obiektu trudno było w ogóle dostrzec, że został poddany tak poważnej renowacji i rozbudowie, gdyż wyglądem nie odbiegał od innych, w których nie prowadzono od lat żadnych prac.

Jeszcze większym zdziwieniem była dla nas decyzja miejscowego konserwatora: wstrzymał prowadzone prace, gdy na jednym z obiektów gospodarczych, który miał ugięty i nieszczelny dach, rozebraliśmy oryginalną dachówkę, zgodnie z projektem, wzmocniliśmy więźbę uzupełniając ją o nowe krokwie i płatwie, i ponownie ułożyliśmy oryginalną dachówkę, ale usuwając z niej grubą warstwę mchu, gdyż ta uniemożliwiała jej szczelne ułożenie. Właśnie to usunięcie mchu było dla pani konserwator niedopuszczalną ingerencją w zabytkową substancję. Oczywiście równie zdziwieni tym stanowiskiem byli projektanci i inwestor. Sprawę udało się załagodzić zakupem dachówki pokrytej mchem z jednej z pobliskich farm, gdzie obiekt o podobnej kubaturze, ze względów bezpieczeństwa został rozebrany. Generalnie nasze kontakty z miejscowymi konserwatorami były bardzo poprawne, a nawet życzliwe, ale na takie sytuacje musieliśmy bardzo uważać.

Po wizycie w kilku hurtowniach materiałów budowlanych w okolicach Southampton już wiem, dlaczego tak zachwycamy się stanem i wyglądem angielskich *countryside*. Wszystkie materiały budowlane, które można wykorzystywać w pracach elewacyjnych, dalekie były od takich, które nazwalibyśmy nowymi. Nie znalazłem ani jednej cegły, dachówki, płyty kamiennej czy elementów żeliwnych występujących na elewacjach, które wyglądałyby jak wykonane maszynowo. Wszystkie przypominały jakieś wyroby rzemieślnicze i to mocno spatynowane.

Angielski konserwatyzm jeszcze pełniej ilustruje zespół folwarczny **Old Barn w hrabstwie Devon**, na zachodzie Anglii, który był kolejnym naszym kontraktem na Wyspach. Devon to słabo zaludniona kraina łąk, wrzosowisk, wypasu owiec i farm owczych. Tadeusz Czerwiński, młody, zatrudniony przez nas inżynier, prowadził tam adaptację kamiennej farmy owczej na letnią rezydencję dla jednego z głównych redaktorów BBC. Jak się później okazało, była to ostatnia farma rolnicza, którą konserwator hrabstwa pozwolił adaptować na rezydencję. Dla zachowania tradycji hodowli i wypasu owiec, podtrzymania rzemiosła opartego o produkcję wełny owczej oraz oczywiście ochrony krajobrazu, wydał całkowity zakaz zmiany funkcji dla wszystkich gospodarstw rolnych w hrabstwie. Były to głównie farmy owcze.

Nasza adaptacja pozwalała na dość poważną rozbudowę budynku mieszkalnego farmy i połączenie go z innymi budynkami gospodarczymi. Większość prac polegała więc na konstrukcji żelbetowych murów oporowych, które ukrywały rozbudowane pomieszcze-



#### Joanna Zalewska

Specjalistka ds. finansowo-księgowych. Mam tu w zasadzie do opowiedzenia jedną anegdotę. Gdy przez firmę przeszła inspirowana i kierowana przez Jacka Pawłowskiego kampania antynikotynowa, niewielu palaczy pozostało. Ja często siedziałem dłużej i, jak zabrakło mi papierosów, szedłem do Asii wiedząc, że ona też często dłużej pracuje i pali te same papierosy, co ja. Asia zawsze z uśmiechem mnie częstowała albo dawała nową paczkę. Ja obiecywałem, że oddam, ale czy tak było za każdym razem – wątpię. Jestem jej pewnie winny kilka kartonów.



Zespół folwarczny Old Barn



### Jadwiga Mączka

Specjalistka w dziale finansowo-księgowym. Z Jadzią, która z kilkuletnią przerwą pracuje z nami od wielu lat, mam jedno niezapomniane wspomnienie. Jadzia, która była zawsze bardzo spokojna, cicha, bez nałogów, jak sądzę, zwalczająca palaczy, pojawiła się, jak niemal cała załoga Integeru, na moich 50. urodzinach, które spontanicznie zorganizowała Małgosia Makuszczyńska w sali gotyckiej nowej siedziby Castellum, trzy tygodnie po wyrzuceniu mnie z firmy. Jemy jubileuszowy tort, pijemy jakiegoś szampana, gdy nagle Jadzia z energią, której nigdy u niej nie widziałem, podaje mi wielkie cygaro, sama ma drugie i mówi: „Musimy to, szefie, wypalić na koniec naszej współpracy”. Wszyscy patrzyli na Jadzię z niedowierzaniem. Wypaliliśmy cygara, ale nie wiedzieliśmy wówczas, że będziemy jeszcze pracowali razem.

nia w skarpach ziemnych i w zasadzie całkowicie zamaskowały poważne zwiększenie kubatury farmy. Do obmurowywania żelbetowych konstrukcji mogliśmy używać tylko kamienia z rozbiórki niektórych ścian czy ewentualnie murków wydzielających na ławkach tarasy i poletka. Sposób murowania kamienia musiał nawiązywać do oryginału, choć według naszych świetnych murarzy i kamieniarzy ten amatorski wątek kamienny daleki był od sztuki murowania ścian z kamienia. Równie ważną zasadą było wykorzystanie wszystkich elementów drewnianych rozebranych stropów czy więźb dachowych, do wykonania nowych elementów. Dokupiliśmy tylko brakujące ilości drewna. To też było nowe nasze doświadczenie. Zachowanie oryginalnych elementów drewnianych w uzupełnianych stropach czy dachach jest oczywiście, z konserwatorskiego punktu widzenia, absolutnie zasadne. Jednak używanie do zupełnie nowych konstrukcji dachu czy stropu zachowanych elementów, których przekroje, połączenia i długości w zasadzie nie odpowiadają wymogom nowych projektów, a później zabudowywanie ich bez ekspozycji, wydawało się nam przesadną troską o historyczne elementy drewniane.

Wnętrza zostały zaprojektowane w nowoczesnej formie, tylko z pokazaniem kamiennych wątków, ale zewnętrznie farma nie różniła się od innych w okolicy, pomimo rzeczywiście poważnej rozbudowy. Ta realizacja, podobnie jak Farley House, pokazuje różnice pomiędzy konserwacjami angielskimi a tymi na kontynencie. Kolejne nasze inwestycje koło Londynu, Royal Oak House oraz Upwick Lodge, tylko potwierdziły obowiązujące tu zasady remontów i adaptacji historycznych rezydencji.



W tym czasie, prowadząc prace w Anglii zajmowaliśmy się również kilkoma budowlami zabytkowymi w Niemczech, ale na tym terenie mieliśmy już doświadczenia z Integeru. Wszystkimi naszymi pracami eksportowymi kierował Jarek Okrzeja. Mieliśmy nadzieję na poważny rozwój firmy za granicą. Jednakże, gdy we wrześniu 2008 r. ogłoszono bankructwo czwartego największego banku w USA, po tym jak amerykański rząd zdecydował, że nie udzieli pomocy Lehman Brothers, kryzys finansowy rozlał się na cały świat. Banki, szczególnie hipoteczne, wstrzymały niemal kompletnie inwestycje w Europie. To poważnie odbiło się również na naszych realizacjach w Niemczech i Anglii. Wynegocjowane kontrakty, prowadzone rozmowy o kolejnych w praktyce ustały. Dokończyliśmy więc rozpoczęte budowy i postanowiliśmy zawiesić działalność eksportową. Jak się później okazało, nie powróciliśmy przez kolejnych 10 lat na tamtejsze rynki.

## Najważniejsze realizacje krajowe

Nasze początkowe obawy przy zakładaniu firmy Castellum, że będzie nam trudno pozyskiwać w kraju zlecenia konserwatorskie, okazały się nieuzasadnione. Na szczęście do czasu kryzysu, który u nas pojawił się dopiero w połowie 2009 r., udało się nam zdobyć i zrealizować kilka niezwykle ważnych inwestycji, których referencje stały się naszym znakiem rozpoznawczym i pozwoliły w trudnych następnych latach pozyskiwać wciąż nowe kontrakty na coraz trudniejszym rynku konserwatorskim. Oczywiście pierwszym kontraktem był zespół pałacowy w Wojanowie, ale była to moja decyzja, a nie przetarg czy jakies negocjacje z inwestorami. Wkrótce realizowaliśmy renowację kilku innych zabytkowych budowli.

Nie będę w tych wspomnieniach wymieniał wszystkich naszych dotychczasowych konserwacji, bo pewnie nie dla wszystkich czytelników będzie to interesujące, a poza tym jest ich rzeczywiście bardzo dużo. Wspomnę jednak te najważniejsze.

O pałacu w Wojanowie już pisałem, podobnie jak o kamienicy Rynek 6. W przypadku **kamienicy Pod Żółtym Słońcem** uwagę koncentrowałem głównie na pracach realizowanych przeze mnie w latach 80. XX w., gdy byłem tam kierownikiem budowy, pracując w PKZ-tach. Dlatego muszę tu dodać, jakie były najważniejsze działania wykonane w tym obiekcie przez Castellum w latach 2008–2009. Wynikały one głównie ze zmiany funkcji i właściciela obiektu. Cały kompleks budynków pomiędzy Rynkiem 6 a ul. Kielbaśniczą 3–4, stał się własnością Zakładu Narodowego im. Ossolińskich. Obiekt przeznaczono w części piwnic na funkcje gastronomiczne, ale zasadniczo pełni on rolę centrum wystawienniczo-badawczego pod nazwą Muzeum Pana Tadeusza. Wyposażenie Muzeum i jego ekspozycje wykonano w latach następnych. Prowadzone przez nas prace objęły kamienicę rynekową pod numerem 6, kamienicę przy ul. Kielbaśniczej 3–4, dwie oficyny i dziedzińiec wewnętrzny zamknięty tymi budynkami. Najpoważniejsza zmiana funkcjonalna i użytkowa tzw. Pasażu Pod Żółtym Słońcem dotyczyła kondygnacji piwnicznych i parteru. Nowy projekt zakładał podpiwniczenie dziedzińca oraz jego zadaszenie drewniano-szklaną konstrukcją. Prace te stanowią najważniejszą współczesną ingerencję w zabytkowy układ bloku zachodniego Rynku. Podpiwniczenie dziedzińca wewnętrznego wymagało podbicia fundamentów wszystkich ścian wewnętrznych i było możliwe dzięki temu, że obie oficyny posiadały stosunkowo głębokie piwnice i dobrze zachowane ściany ceglano-kamienne.



Kamienica Pod Żółtym Słońcem



### Janusz Żurawski

Kierownik projektu. Szczerze mówiąc nie pamiętam, jak trafił do naszej firmy, ale od początku odpowiadał za ważne przedsięwzięcia. Zapamiętałem jedną związaną z nim sytuację – starania Castellum o kontrakt z Ossolineum na renowację kamienicy Rynek 6. Spotkałem się z dyrektorem Juzwenką, który życzył nam szczerze wygrania przetargu. Dla niego ważni są ludzie, nie firmy, stąd nie przeszkadzało mu, że Castellum nie ma w zasobie dorobku konserwatorskiego i zapewnił, że brak dorobku nie będzie przeszkodą w postępowaniu. Na koniec spotkania niespodziewanie dodał: „Ale warunek jest jeden, jak wygracie przetarg, musi to prowadzić Żurawski”. Obiecałem mu, choć Janusz nie pracował jeszcze w Castellum. Ktoś może stwierdzić, że to dziwne, iż inwestor wskazuje kierownika budowy, ale ja doskonale wiedziałem, o co chodziło. Dla Ossolineum prowadziliśmy wiele prac, jeszcze jako Integer. Wszystkie nadzorował Janusz. Był bardzo dobrze odbierany przez cały zespół Ossolineum i dlatego dyrektorowi tak bardzo zależało na znany mu kierowniku.

Podczas tych prac odkryto średniowieczną studnię z dobrze zachowanymi kamiennymi elementami cembrowin. Została ona wyeksponowana w zachodniej części dziedzińca, razem z relikwami renesansowych opasek okiennych i drzwiowych, które również wydobyto z ziemi podczas pogłębiania piwnic i dziedzińca. Szklany dach na wiązarach z drewna klejonego oparto na podłużnych ścianach oficyn. Zasadniczym problemem pozostało odprowadzenie wód opadowych, które zbiera cały kwartał ulic. Zastosowano tu system rur spustowych, które zebrane są w kolektorze pod dziedzińcem. W ramach prac wymieniono pokrycie wszystkich dachów, w tym połąci od strony Rynku. Nie udało się niestety zachować oryginalnej dachówki palcówki z okresu renesansu, która przed remontem pokrywała połąć wschodnią. Wielokrotnie przekładany w przeszłości dach i liczne remonty spowodowały utratę przez dachówkę zarówno nosków mocujących, jak krawędzi i lica. Równie wiele kontrowersji budził remont oryginalnej storczykowej więźby dachowej traktu frontowego. Zachowano, co prawda, dwa wiązary, a pozostałe odtworzono, ale niestety oryginał został zastąpiony repliką.

W całym kompleksie budynków nie prace konstrukcyjne stanowiły największe wyzwanie. Były nim niewątpliwie bardzo zróżnicowane i wielowątkowe prace konserwatorskie, które objęły wszystkie kondygnacje kamienicy, piwnice i parter oficyn i dziedzińca oraz kilka pomieszczeń kamienicy przy ul. Kielbaśniczej. Konserwacji poddano polichromie ścienne i drewniane, sztukaterie i stiuki, ściany i sklepienia ceglane, kamienne portale i opaski okienne, stolarkę drzwiową, niektóre posadzki, pojedyncze detale kamienne, żeliwne i drewniane. Przeprowadzono konserwacje wszystkich elewacji – i tych od Rynku i ul. Kielbaśniczej, i tych od strony dziedzińca. Pracami kierowali Janusz Żurawski i Ryszard Dąbek.

Jedną z najbardziej spektakularnych konserwacji firmy pozostaje **kaplica Hochberga** przy gotyckim kościele pw. św. Wincentego i św. Jakuba we Wrocławiu. Została ona wzniesiona w latach 1723–1727 jako fundacja ówczesnego opata klasztoru norbertanów, hrabiego Ferdinanda von Hochberga. Kaplica została dobudowana od strony południowej w miejscu wcześniejszej, gotyckiej kaplicy poświęconej Matce Bożej Bolesnej, która na polecenie opata została rozebrana. W zamiśle fundatora nowa kaplica miała stać się jego mauzoleum. Jest jedną z czterech barokowych kopułowych kaplic na planie elipsy, powstałych na terenie Wrocławia.

Kaplica została zniszczona w czasie wojny, gdy bomba wpadła do środka i całkowicie zrujnowała jej bogate barokowe wnętrze. Konserwację przeprowadziliśmy razem

z krakowską firmą AC Konserwacja Zabytków prof. Edwarda Kosakowskiego, z którym realizowaliśmy wiele innych przedsięwzięć na Śląsku.

Nasze działania polegały głównie na odtworzeniu brakujących wielobarwnych stiuków i wystroju sztukatorskiego ze złoceniami. W oryginale zachowało się tylko kilka procent wystroju. Równolegle prowadziliśmy prace mające na celu poskładanie i rekonstrukcję rozbitego na ponad 300 piaskowcowych kawałków figuralnego ołtarza. W tym dziele znaczącą rolę odegrali: Romuald Nowak z Muzeum Narodowego, znany wrocławski rzeźbiarz Ryszard Zarycki oraz mistrz kamieniarski Kazimierz Durawa, z którym współpracowałem jeszcze w PKZ-tach.

Zespołem konserwatorów dzieł sztuki kierowała Agnieszka Witkowska. Część oryginalnego ołtarza została zabezpieczona przez prof. Henryka Dziurłę i przechowana w Instytucie Historii Sztuki Uniwersytetu Wrocławskiego.

W oparciu o zachowaną ikonografię wykonano pełną rekonstrukcję barokowego, całkowicie złoconego tabernakulum oraz dekoracyjnej kraty, arcydzieła wrocławskiego mistrza kowalskiego Jacoba Meyera. Była to jedna z najwybitniejszych realizacji kowalstwa artystycznego dojrzałego baroku na Śląsku. Wypełniała ona arkadowe przejście otwierające kaplicę na nawę południową kościoła. Dyskusyjna była kwestia ewentualnego występowania złocen na poszczególnych elementach kraty. Zdecydowano również, że detale rzeźbiarskie dekoracji kraty zostaną odlane z brązu.

Posadzka kaplicy, pierwotnie wykonana z marmuru w dwóch odcieniach szarości oraz kolorze brązowo-czerwonym w centralnej części, została wypełniona skromną prostokątną płytą nagrobną z jasnego marmuru. Jedyne ozdoby płyty stanowią odlane z metalu aplikacje: godło opata Hochberga, stanowiące połączenie jego rodzowego herbu z charakterystycznym monogramem Marii. Płyta stanowiła nakrycie otworu prowadzącego do krypty kryjącej miedziany sarkofag, w którym spoczęły pierwotnie doczesne szczątki opata.

W ramach odrębnego zadania, dzięki dokumentacji zachowanej w Instytucie Herdera w Marburgu, zostały również odtworzone malowidła na sklepieniu kaplicy, nawiązujące ideowo do wezwania poprzedniej kaplicy – Siedmiu Bolesci Najświętszej Marii Panny. Obecne malowidła, których autorem jest dr Edgar Pill z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, są rekonstrukcją malowideł oryginalnych, zniszczonych w 1945 r.

Kierownikiem budowy tej niezwyklej rekonstrukcji i konserwacji wnętrza kaplicy był Tadeusz Czerwiński.

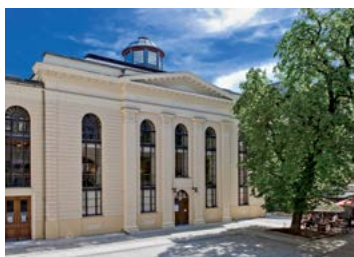


Kaplica Hochberga



**Agnieszka Bętkowska-Kryjom**

Specjalistka od kosztorysowania instalacji sanitarnych, ale często pomagała również kierownikom na budowach, nawet gdy była na urlopie macierzyńskim. Duże wsparcie dla działu przygotowania produkcji.



Synagoga Pod Białym Bocianem



### Joanna Kościuk

Architekt, kierownik budowy. Gdy pojawiła się w naszej firmie podczas budowy Synagogi Pod Białym Bocianem, sądziłem, że po prostu chce zaliczyć niezbędną do uprawnień praktykę wykonawczą. Rzadko architekci przechodzą do wykonawstwa budowlanego. Ale Asia nie odbyła zwykłej praktyki. Od samego początku włączała się w najważniejsze decyzje i te wykonawcze, i projektowe, i badawcze. Drażniła temat do spodu. Była nie tylko niezwykle pracowita, ale też bardzo konsekwentna. Stąd wszyscy się ucieszyliśmy, gdy oznajmiła nam, że chce pracować na budowie w naszej firmie. Później w różnym charakterze zajmowała się największymi konserwacjami Castellum: Dworzec Główny we Wrocławiu, Pawilon Czterech Kopuł, Muzeum Warszawy, Muzeum Narodowe w Warszawie, pałac w Wilanowie.

**Synagoga Pod Białym Bocianem** jest jedną z najważniejszych naszych kompleksowych konserwacji. Kompletnie zdegradowana, przez całe lata stała niezabezpieczona, ukryta w podwórzu kamienic przy ul. Włodkowica. Obiekt wybudowano w latach 1827–1829 według projektu znakomitego architekta Carla Ferdinanda Langhansa, a jego dzieło uznawane jest za jedną z najwybitniejszych judaistycznych budowli kultowych w Europie Środkowej. Świątynia była kilkakrotnie przebudowywana. Przez długie lata – do momentu powstania nowej synagogi – była głównym miejscem modlitwy i życia religijnego wrocławskiej społeczności żydowskiej. Ponownie pełniła tę funkcję po „nocy kryształowej”, w czasie której nowa synagoga została spalona. W pierwszych latach powojennych niezniszczona świątynia pozostawała we władaniu odradzającej się gminy żydowskiej, ale później przeszła w ręce państwa i kolejnych właścicieli. W 1996 r. wróciła do Związku Gmin Wyznaniowych Żydowskich w RP, ale była już wówczas ruiną.

Działania Castellum w synagodze rozpoczęły się w 2008 r. i objęły wszystkie prace budowlane, instalacyjne, konserwatorskie oraz wyposażeniowe. Ich zakres obejmował również część zadań projektowych oraz przeprowadzenie badań i opracowanie programów konserwatorskich. Prace trwały 1,5 roku, a uroczyste otwarcie z udziałem przedstawicieli Królestwa Norwegii, z którego środków projekt ten zrealizowano, odbyło się 6 maja 2010 r. Celem przedsięwzięcia było przywrócenie synagodze funkcji religijnych, ale również wzbogacenie jej o możliwości wystawienniczo-muzealne.

W poziomie piwnic zrealizowano przestrzeń muzealną z dwiema salami ekspozycyjnymi i jedną projekcyjną. Parter (salę główną) przeznaczono, w zależności od potrzeb, do prowadzenia nabożeństw oraz do urządzania koncertów. Empory na obu poziomach użytkowych wyłączono z pełnienia funkcji kultowej – służą jako przestrzeń wystawiennicza oraz czytelnia Tory i księgarnia judaików. Wszystkie poziomy budowli połączono nową klatką schodową oraz dźwigiem osobowym.

Prace wykończeniowe we wszystkich pomieszczeniach polegały na konserwacji tynków nadających się do zachowania i wykonaniu nowych, w technologii tynków renowacyjnych, konserwacji posadzek, stolarki okiennej i świetlików dachowych w korytarzach, stolarki wewnętrznej drewnianej z elementami kowalstwa artystycznego (projektowanej indywidualnie) oraz wszystkich elementów ślusarki budowlanej – balustrad, krat i poręczy – którą zrekonstruowano według wzorca z 1905 r. Jedną z najtrudniejszych decyzji konserwatorskich podejmowanych w trakcie tych prac dotyczyła zakresu i formy dekoracji malarzkiej głównej sali świątyni. Odkryto szablonowe malarstwo na emporach i podłuczach,



inne dekoracje odnaleziono na podniebieniach stropów i empor, jeszcze inne na głowicach kolumn. Pozostawiono oryginalne świadki, ale dokonano całkowitej rekonstrukcji malarskiej wnętrza. Wszystkim tym działaniom towarzyszyły badania, szczegółowe oględziny i opracowanie programów konserwatorskich. Zachowanymi elementami sztukatorskimi były bazy i głowice kolumn podpierających emporę oraz płyciny ich balustrad. Jednym z cenniejszych zachowanych elementów wyposażenia jest ozdobna krata żeliwna, która znajdowała się pierwotnie nad szafą ołtarzową (aron ha-Kodesz) drugiej empory. Krata została zdemontowana w momencie przystępowania do prac.

Kolejne wyzwaniem stanowiły witraże okien ściany wschodniej. Przed przystąpieniem do tego zadania znane były jedynie dwie czarno-białe fotografie szklenia witrażowego. Odtworzono je na podstawie elementów szklanych znalezionych w Muzeum Narodowym. Dodatkowo synagoga została wyposażona w stylizowane oświetlenie – żyrandole, kinkiety, lampy, plafony. Wśród mebli zaprojektowano i wykonano bime, amud, szafy, rolety i parawany.

Synagoga była jedną z bardziej kompletnych realizacji konserwatorskich firmy, razem z badaniami, projektami wykonawczymi i warsztatowymi. Pracami kierowali Marek Halon i Joanna Kościuk, która na tej budowie zadebiutowała w naszej firmie, ale od tego czasu uczestniczy w największych i najważniejszych konserwacjach spółki.

Prace konserwatorskie w **zespole pocysterskim w Krzeszowie**, to z całą pewnością naszą najważniejszą konserwacją obiektu sakralnego. Dawne opactwo cystersów w Krzeszowie należy do najwybitniejszych dzieł architektury i sztuki epoki baroku. Historia tego niezwykłego miejsca rozpoczyna się w 1242 roku, gdy księżna Anna, wdowa po Henryku II Pobożnym, sprowadziła do Krzeszowa zakonników. Rozkwit opactwa krzeszowskiego nastąpił w okresie baroku, gdy opatem został Bernard Rosa. Powstało wówczas wyjątkowe założenie architektoniczne, składające się z monumentalnego kościoła klasztornego pw. Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny, połączonego od strony wschodniej z Mauzoleum Piastów Świdnicko-Jaworskich, klasztoru, kościoła Bractwa św. Józefa, Domu Opata oraz budynków pomocniczych. Przy budowie i wyposażeniu tych obiektów pracowali najwybitniejsi twórcy z kręgu architektury, malarstwa i rzeźby, tworząc w stosunkowo krótkim okresie niezwykle dzieła. Mauzoleum mieści tumby nagrobkowe Bolka I Surowego i Bolka II Małego. Jego wnętrze zdobi wielobarwna dekoracja stiukowa ścian oraz freski sklepienia przedstawiające dzieje założenia klasztoru. W kościele pw. św. Józefa znajduje się

Jedna z anegdot dobrze ilustruje jej zdecydowany charakter i temperament. Gdy podczas remontu Dworca Głównego odbywaliśmy w biurze budowy jakieś spotkanie (Asia, Marek Halon i chyba jeszcze któryś z kierowników robót), co chwilę ktoś wchodził i chciał z kierownictwem budowy coś ustalić. Marek zdecydowanym głosem mówił, że nie teraz i prosi, aby nie przeszkadzać. Kiedy sytuacja się powtórzyła, Marek już bardziej zdecydowanie oznajmił, że dopóki nie skończymy, prosi, aby nie wchodzić. Nie pamiętam, czy kolejny raz interweniował, ale w końcu Asia wstała, wyszła na korytarz i siarczyście a dosadnie wyjaśniła, że jak ktoś tu jeszcze zajrzy to... Od tego momentu drzwi do biura już się nie otworzyły.

Wymagania, jakie Asia stawia sobie na budowie, stawia również innym i to czasami buduje pewne napięcia. Zawsze bardzo mnie cieszyło, jak pojawiała się w czasie Festivalu dell'Arte w Wojanowie czy w Bukowcu. Lubimy podobne klimaty i atmosferę. Zresztą zaprojektowała dla parku w Bukowcu pawilon opactwa, który właśnie w tym roku zakończyliśmy realizować zgodnie z jej projektem.



Zespół klasztorny w Krzeszowie



### Aleksandra Stolarczyk

Specjalistka w dziale kosztorysowania, ale dla mnie dodatkowo jest pierwszą tancerką Castellum. Gdy wyjeżdżaliśmy na spotkania czy imprezy integracyjne i wieczorem po kolacji zaczynały się tzw. balety, Ola podbiegała do mnie, wyciągała na parkiet i zaczynaliśmy tańce. Świetnie kłamała mówiąc, że ja dobrze tańczę, ale później obserwowałem ją w płasach z innymi i mogę potwierdzić, że z Olą na parkiecie nawet drewniany kołek wyglądał jak mistrz tańca. Ola z parkietu nie schodziła nigdy. To jest jej żywioł.



Kościół Joannitów pw. Bożego Ciała

Castellum

największy cykl malarstwa ściennego Willmanna, o tematyce związanej z życiem św. Józefa. Zabytkowe obiekty krzeszowskiego opactwa uległy w przeszłości znacznej degradacji i wymagały podjęcia ratunkowych działań konserwatorskich.

W latach 2009–2012 przeprowadzono pełną rewaloryzację bazyliki pw. Wniebowzięcia NMP, Mauzoleum Piastów Świdnicko-Jaworskich i kościoła pw. św. Józefa. Konserwacji poddano polichromie ścienne, kaplice, ołtarze boczne, obrazy sztalugowe, stalle, ambony, ławki, konfesjonały, zespół barokowych mebli intarsjowanych w zakrystiach, a także wystrój rzeźbiarski elewacji. Zrealizowano również roboty remontowo-budowlane świątyń, obejmujące w szczególności: remont dachów, elewacji, stolarki okiennej i drzwiowej, wykonanie instalacji elektrycznych i nagłośnieniowych oraz instalacji sygnalizacji przeciwpożarowej i przeciwwłamaniowej. Ponadto dokonano adaptacji części pomieszczeń Domu Opata z przeznaczeniem na sale ekspozycyjne do prezentacji zabytków ruchomych opactwa. W kolejnym etapie projektu przeprowadzono rewaloryzację barokowej Kalwarii Krzeszowskiej, najstarszej na Dolnym Śląsku. W przywróceniu dawnej świetności opactwa cysterskiego uczestniczyły, oprócz Castellum, dwie firmy konserwatorskie, Ars Fortis oraz AC Konserwacja Zabytków z Krakowa.

Pracami kierował Arkadiusz Duda. Do dziś pocysterski zespół klasztorny jest jedną z największych konserwacji zespołu barokowego w Polsce.

## Inne obiekty sakralne

XIV-wieczny **kościół joannitów pw. Bożego Ciała** jest jedną z najbardziej znanych gotyckich świątyń Wrocławia. Podczas przebudowy w XV w. wzniesiono również bogato zdobiony, ceramiczny szczyt od ul. Świdnickiej. Kościół w swej historii przechodził burzliwe koleje losu. Służył jako świątynia protestantom i katolikom, był magazynem zboża i soli, kwaterą wojskową, obozem dla jeńców i szpitalem. W XIX w. przywrócono sakralny, katolicki charakter obiektu. Pod koniec II wojny światowej budowla znacznie ucierpiała. Zniszczenia ocenia się na 75 procent stanu przedwojennego. Działania konserwatorskie zrealizowane w 2007 r. polegały na kompleksowym remoncie elewacji na podstawie projektu Małgorzaty Dworskiej. Wykonane przez Piotra Wanata badania stratygraficzne szczytu kościoła pozwoliły na odtworzenie wykonanych w latach 20. XX w. polichromii elewacji frontowej i przywrócenie jej kolorystyki. Pracami rewaloryzacyjnymi objęto

wszystkie elementy elewacji: lico murów, dekoracje kamienne, fragmenty tynkowane, wykończenia, opierzenia gzymsów, daszków, przypór i obróbki blacharskie. Odtworzono barwne wymalowania na elewacji frontowej, obramienie okna nad wejściem i wypełnienia wnęk szczytu elewacji frontowej. Kierownikiem budowy był Jacek Pawłowski.

**O kościele gotyckim pw. św. św. Stanisława, Doroty i Wacława we Wrocławiu** już wspominałem, gdy realizowaliśmy wraz z firmą Integer kompleksowy remont dachu i elewacji. Był to jednak dopiero początek długiego procesu konserwacji całej świątyni. Inwestor, czyli parafia pod tym samym wezwaniem, a konkretnie jej proboszcz, ks. Andrzej Brodawka, stara się corocznie o różne środki na finansowanie wewnętrznych prac konserwatorskich i w zasadzie regularnie udaje mu się pozyskać jakąś kwotę, która przeznaczana jest na kolejne etapy prac. W ten sposób w ciągu prawie 10 lat przeprowadziliśmy kompleksową konserwację nawy północnej i południowej, chóru, empory organowej, części nawy głównej i kilku epitafiów wewnętrznych. Aby dokończyć wszystkie prace, w tym konserwację niezwykle bogatego, barokowego wyposażenia świątyni, potrzebne są wciąż ogromne środki. Wierzę, że podobnie skuteczne jak dotychczas działania inwestora pozwolą na ich zdobycie i zakończenie wieloletniego procesu konserwatorskiego. Będzie to z całą pewnością jedna z najbardziej spektakularnych konserwacji gotyckich świątyń z barokowym wystrojem na Śląsku. Pracami konserwatorskimi kierował Maciej Lorenc.

**Kościół garnizonowy pw. św. Elżbiety we Wrocławiu.** Już o nim pisałem, gdy wspominałem o początkach mojej pracy zawodowej w PKZ-tach. Teraz<sup>4</sup> mogę z satysfakcją przyglądać się prowadzonym przez Castellum pracom konserwatorskim całej elewacji, które scalają naprawy i uzupełnienia ostatnich dziesięcioleci. Całością kierują Robert Wanat i Janusz Żurawski.

**Klasztor w Cieplicach,** należący najpierw do joannitów, a później do cystersów, adaptowaliśmy na potrzeby muzealne. Jego historia jest ściśle związana z ciepłymi źródłami, które odkryto już w XIII w. Kompleks powstawał stopniowo od XIV do XVIII w. za sprawą krzeszowskich cystersów, służąc jako zespół mieszkalno-sakralno-gospodarczy klasztoru. W późniejszych latach budynek był fragmentami przebudowywany, ale zasadniczo przetrwała większość elementów konstrukcyjnych z okresu wzniesienia. Elewacje zachowały barokowe formy wystroju architektonicznego, wykonane z tynku i piaskowca. Cennym



**Ks. Andrzej Brodawka**

Proboszcz kościoła św. św. Stanisława, Doroty i Wacława. Mogę wskazać ponad 50 obiektów sakralnych, które zrealizowaliśmy w czasie mojej pracy zawodowej w Integerze czy Castellum. Na tej liście są najcenniejsze kościoły i zespoły klasztorne, jak chociażby Krzeszów, Rawa Mazowiecka, Kościół Pokoju w Świdnicy, ale żadna z dotychczasowych naszych konserwacji nie może się równać z konserwacją kościoła św. św. Stanisława, Doroty i Wacława. Jest ona realizowana już prawie 20 lat i pewnie jeszcze trochę potrwa. To dlatego, że parafia nigdy nie uzyskała jakiegoś dużego grantu konserwatorskiego. Ale remont postępuje dzięki wytrwałości, determinacji i konsekwencji Księdza Proboszcza, który co roku wydeptuje ścieżki do różnych urzędów i zdobywa kolejne środki na remont jakiejś części, nawet niewielkiej, tego wspaniałego kościoła.

Jednak ja jestem księdzu Andrzejowi winny ogromną wdzięczność z innego powodu. Gdy podczas remontu dachów kościoła poznałem obiekt dość dobrze, zauważyłem, że kompletnie zaniedbana i nieużytkowana przybudówka, stanowiąca wcześniej skrzydło klasztorne, świetnie nadawałaby się na biuro. Myślałem wówczas o lokum dla Fundacji. Zastanawiałem się długo, jak z Proboszczem rozmawiać, aby tę przybudówkę

<sup>4</sup> Fragment pisany w 2018 r. (przyp. W. Napierała)

zaadaptować i wyremontować. Trochę znam procedury kościelne i wiem, że nie zawsze jest łatwo. Ale gdy się spotkałem z księdzem Andrzejem i wspomniałem mu o pomysśle, od razu się zgodził i pomagał później w załatwianiu różnych formalności. Wydzierzałem od parafii skrzydło dawnego klasztoru, przeprowadziłem konserwację całego wnętrza, co przyniosło dobry efekt funkcjonalny i konserwatorski. Od tego czasu w dawnym klasztorze, a dziś biurze Castellum i Fundacji, co jakiś czas siadamy i pijemy kawę. Powinienem tu pewnie jeszcze dodać, że ja zapraszam Księdza na kawę, a on na koniec każdego etapu inwestycji zaprasza bardzo szerokie grono wykonawców i konserwatorów na wspaniałą domowy obiad.



#### **Robert Wanat**

Kierownik budowy, który rozpoczął współpracę z nami w Paulinum, gdzie miałem okazję docenić jego zalety inżynierskie, zaangażowanie i wiedzę. Pracował wówczas w Hexagonie. Remontem i konserwacją Paulinum z ramienia inwestorów zajmował się głównie Krzysztof Terka. Prowadził więc budowę podobnie jak w Integerze. Po jakimś czasie Robert poprosił nas, abyśmy zatrudnili go u siebie. Jedynym argumentem była

elementem są także unikatowe barokowe układy zespolonych klatek schodowych oraz barokowe freski, które odsłonięte zostały podczas prowadzonych prac budowlanych. Podczas II wojny światowej klasztor nie uległ zniszczeniu, a jego częściowa dewastacja nastąpiła dopiero po wojnie, gdy przez długi czas nie był użytkowany.

W 2010 r. ruszyły prace budowlane i konserwatorskie w celu adaptacji obiektu na cele muzealne. Projekt renowacji dotyczył przebudowy północnej, świeckiej części klasztoru, a projekt rewitalizacji – konserwacji historycznych malowideł naściennych. Roboty budowlane wykonano wg projektu Ani Kościuk, kolorystykę elewacji wg badań Agnieszki Witkowskiej. Przeprowadzono rekonstrukcję dachu, kompleksowy remont i modernizację wnętrza klasztornych wraz z wykonaniem wszystkich instalacji wewnętrznych, budowę windy i adaptację wszystkich pomieszczeń do nowych funkcji Muzeum Przyrodniczego.

W trakcie realizacji projektu, przy wstępnych pracach budowlanych w roku 2010, spod warstwy tynku odsłonięte zostały duże fragmenty wcześniej nieznannej dekoracji freskowej. W związku z tym podjęto decyzję o przeprojektowaniu programu rewitalizacji, co umożliwiło konserwację estetyczną odkrytych polichromii (ok. 500 m kw. powierzchni) oraz konserwację zachowawczą (ok. 1400 m kw.). Prace te przeprowadził zespół konserwatorów z krakowskiej firmy Ars Longa, pod kierunkiem konserwatora dzieł sztuki Danuty Mazur. Tematyczne malowidła w Cieplicach w przeważającej mierze przedstawiają postać św. Bernarda z Clairvaux w tzw. „Żywocie św. Bernarda” i reprezentują okres wczesnego baroku. Odkrycie zainicjowało stworzenie unikatowego w skali kraju Wirtualnego Muzeum Barokowego Malarstwa Ściennego w jednej z sal. Kierownikiem budowy był Robert Wanat.

#### **Kościół pod wezwaniem Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny w Wojanowie**

to jeden z najstarszych kościołów w Kotlinie Jeleniogórskiej. Pomimo wielu przebudów zachował cechy późnogotyckiej świątyni z późniejszymi elementami renesansowymi. Prace prowadzone w 2013 r. polegały na naprawie i wzmocnieniu więźby dachowej, zastąpieniu pokrycia z blachy cynkowej pokryciem łupkowym oraz wzmocnieniu stropu belkowego, który podtrzymuje zdobny strop kasetonowy z XVII w. Nie była to z całą pewnością wielka konserwacja, ale ze względu na datowanie kościoła i bliskość pałacu mimo wszystko o niej wspominam. Pracami kierował Arkadiusz Duda.

Podobnie wymieniam konserwację dwóch kaplic, których wartość historyczna znacznie

przekracza wartości artystyczne – datują się one z najstarszego okresu architektury na Śląsku i dlatego udział Castellum w ich konserwacji uważam za ważny.

Pierwsza to romańska **kaplica przy zamku Sobótka Górka**. Badania archeologiczne przypisują jej fundację księciu Piotrowi Włostowicowi w XII w. Romanizację wnętrza kaplicy zrealizowaliśmy wg projektu prof. Andrzeja Kadluczki. Niewielka, wydawać by się mogło, kaplica, w zasadzie bez zachowanego detalu, stała się jednak poważnym wyzwaniem nie tyle konserwatorskim, ile badawczym. Spór projektanta z konserwatorem wojewódzkim dotyczył najdrobniejszych szczegółów: układu ciosów kamiennych, szerokości glicyfów okiennych, stolarki, posadzki itp. Staraliśmy się w tym sporze pełnić funkcje mediacyjne. Ostatecznie renowacja kaplicy po miesiącach, a nawet latach dyskusji została zakończona.

Inna w formie i wystroju była **kaplica księżęca w kościele Najświętszej Marii Panny w Lubiążu**. Jej bogate barokowe wyposażenie niestety zostało zniszczone w czasie wojny. Z wystroju kaplicy nie pozostało *in situ* niemal nic. Jedynymi zachowanymi elementami były namalowane na sklepieniu barokowe freski oraz zespół 26 gotyckich wsporników żeber i 5 zworników sklepienia. Prace konserwatorskie przy tynkach, dekoracji malarzkiej i rzeźbiarskiej ścian i sklepienia przeprowadziliśmy w 2013 r.

## Zespoły pałacowe i budowle o charakterze zamkowym

Nieczęsto zabytkowe dwory czy pałace powracają w Polsce do funkcji rezydencjonalnych, szczególnie gdy nabywają je osoby prywatne. Zniszczone, zdewastowane, bywa że w katastrofalnym stanie, przystosowywane są do funkcji komercyjnych. Dlatego **pałac w Śliwnikach** koło Ostrowa Wlkp. jest godnym propagowania przykładem powrotu tego typu budowli do funkcji rezydencji. Prywatny inwestor postanowił przeprowadzić konserwację i niewielką rozbudowę kompletnie zniszczonego obiektu, który wzniesiono w latach 1848–1850 według projektu Karola Würtemberga, współpracownika Friedricha Augusta Stülera, znakomitego architekta pruskiego. Pałac na przestrzeni lat stał się ostoją polskości i przytułiskiem dla weteranów powstań narodowych, gdyż leżał w bezpośredniej bliskości granicy między zaborami pruskim i rosyjskim. Posiadłość należała do rodziny Niemojowskich do 1939 r. Po wojnie nie wróciła do dawnych właścicieli, została zniszczona i całkowicie rozgrabiona.

atmosfera pracy i stosunki, jakie panują w naszej firmie. Po uzgodnieniu z Tomkiem Dziendzielem, zatrudniłszy Roberta. Jego motywacja bardzo mnie ucieszyła, gdyż cały czas zwracałem uwagę na to, aby firma była profesjonalna na zewnątrz, ale przyjazna dla pracowników wewnątrz. Innymi słowy dbaliśmy wszyscy o dobrą atmosferę. Robert później prowadził prace m.in. w klasztorze w Cieplicach, na zamku w Kamieńcu Żąbkowskim, w Muzeum Warszawy.

W ostatnim czasie, gdy trudniej mi prowadzić rozmowy telefoniczne ze szpitalem, Robert przesyła mi mailowo informacje o tym, co słychać na jego budowach i wiele ciepłych i osobistych słów. To mnie podnosi na duchu.



Kościół Najświętszej Marii Panny w Lubiążu



Pałac w Śliwnikach



### Ryszard Janicki

Gdy się u nas zatrudnił, był już doświadczonym kierownikiem, ale bez dorobku konserwatorskiego. Stąd początkowo zlecaliśmy mu głównie realizację obiektów nowo wznoszonych, mieszkaniowych. Gdy pojawił się problem z obsadzeniem kierownika budowy w pałacu w Śliwnikach, dla prywatnego i wymagającego inwestora, powierzając mu to stanowisko mieliśmy obawy, czy taki temat go nie przerośnie. Po zakończeniu prac mogliśmy z satysfakcją powiedzieć, że radzi sobie również z robotami budowlano-konserwatorskimi.

Inwestor zwrócił się do nas z propozycją kompleksowej rewaloryzacji, łącznie z projektem budowlanym, wykonawczym, wystroju wnętrz i niezbędnymi badaniami. Neogotycki pałac zbudowany z cegły to charakterystyczna budowla dla okresu romantyzmu. Celem projektu, ale też życzeniem inwestora, było przywrócenie atmosfery pałacu z tamtego czasu, ducha bogatych tradycji patriotycznych i historycznych. Mogło to zapewnić odpowiednie wystylizowanie pomieszczeń. W czasie budowy projekt, szczególnie wnętrz, ulegał wielokrotnym zmianom. Powierzaliśmy go Ani Morasiewicz, z którą w przeszłości realizowaliśmy wiele reprezentacyjnych obiektów zabytkowych. Jej asystentami byli architekci Malwina Terka, Marta Bodylewicz i Tomasz Biegun.

Przedmiotem inwestycji były w pierwszej kolejności prace ratownicze i zabezpieczenie murów oraz odpajających się wież narożnych przed zawaleniem. Konstrukcyjnie obiekt wymagał szeregu działań, począwszy od wykonania nowych stropów, przekuć, dociepleń, nowych podciągów i nadproży, nowej konstrukcji dachów o zróżnicowanej geometrii nad poszczególnymi częściami obiektu po przykrycie całości blachą miedzianą. Znaczącą zmianą było wykorzystanie dachu nad basenem na cele rekreacyjne. Jej efektem jest przeszklony ogród zimowy z tarasem wypoczynkowym. Dobudowywanie nowych kubatur do historycznych obiektów jest zawsze kontrowersyjne, ale w tym przypadku i skala, i jakość dobudowy nie wzbudziły zastrzeżeń konserwatora zabytków. W dobudówce umieszczono basen z zapleczem technologicznym, pomieszczenia techniczne z kotłownią i dwa garaże.

Końcowym etapem prac było wykonanie elementów wyposażenia stałego wnętrz: układanie posadzek kamiennych i ceramicznych oraz parkietów; postawienie kominków i stylizowanego pieca kaflowego; realizacja różnego rodzaju detali sztukatorskich, fryzów, faset, profili; montaż windy osobowej; wykonanie boazerii i okładzin ściennych; malowanie dekoracji fryzów, faset; odtworzenie malarstwa iluzjonistycznego na ścianach korytarza i wieży. Wiele rozwiązań było unikatowych. Na bazie niewielkich oryginalnych fragmentów starano się jak najwierniej odtworzyć wszystkie najistotniejsze elementy pierwotnego wystroju, łącznie z odlewami żeliwnymi, połączanymi elementami krat i marmurowymi okładzinami ścian, które uzupełniono masą perłową. Niewątpliwie ta konserwacja może stanowić doskonały przykład troski właściciela i umiejętności projektanta służących zachowaniu i odtworzeniu klimatu zniszczonego obiektu pałacowego. Prace prowadzili Michał Lorek (I etap) i Andrzej Chowner (II etap) jako kierownicy projektu oraz Ryszard Janicki jako kierownik budowy.

**Pałac w Kamieńcu Ząbkowickim**, rezydencja Marianny Orańskiej, córki króla Niderlandów Wilhelma i Fryderyki Luizy Pruskiej, to kolejna neogotycka rezydencja, jaką konserwowaliśmy. Tym razem nie była to kompleksowa konserwacja wybitnego dzieła architekta Karla Friedricha Schinkla z XIX w., ale wzmocnienie najbardziej zagrożonych elementów wspianych sklepień rezydencji. Założenie pałacowe jest tak ogromne, że gmina, dzisiejszy właściciel, podzieliła całość na etapy dążąc do sukcesywnej odbudowy, która zapewne potrwa lata. Nasze działania dotyczyły kilku obszarów. Po pierwsze sklepień Sali Balowej, największego pomieszczenia pałacu. Sklepienia palmowe, znajdujące się na wysokości ok. 12 m, oparte były na dwóch 10-metrowych granitowych kolumnach. Konieczne było wykonanie nowych żeber z piaskowca na wzór i w rozmiarze brakujących. Istniejące zachowane żebra łączono stalowymi trzpieniami i siarką. Na niektórych z nich pozostały resztki złoceń. Nowo wstawiane elementy łączono kotwami chemicznymi i prętami ze stali nierdzewnej. Po odbudowie brakujących żeber przystąpiono do odtworzenia wysklepek. Oryginalnie zachowane wysklepki wymurowane były na kształt żagla i tak też murowano nowe, na specjalnie przygotowanych szalunkach. Kolejnym etapem prac było wzmocnienie całej powierzchni sklepień siatkami z włókien węglowych. Po wykonaniu wzmocnienia wysklepki od strony Sali Balowej zostały pokryte cienkowarstwowym tynkiem wapiennym. Następnie przystąpiono do naprawy i wzmocnienia monumentalnego tarasu widokowego, o powierzchni prawie 800 m kw., zlokalizowanego we frontowej części obiektu. Dwunawowa konstrukcja, oparta na słupach ceglanych z elementami kamiennymi w dziewięciu polach, służyła również jako zadaszenie wejścia głównego. Przy usuwaniu zasypek odsłonięto sklepienia kolebkowe górnej części biegnące wzdłuż tarasu, a pod nimi sklepienia krzyżowe połączone ze sobą niszami. Ta nietypowa konstrukcja została też oczyszczona i wzmocniona. Na koniec wykonano nowe zadaszenie nad Salą Balową, naprawiono wieżę północno-zachodnią oraz wozownię. Wszystkimi pracami kierował Robert Wanat.

**Pałac w Mrozowie** k. Wrocławia przebudowano w końcu XIX w. w stylu neogotyckim. Od 1976 r. jego użytkownikiem był Dom Pomocy Społecznej „Caritas”, który prowadził niezbędne prace zabezpieczające. Obecnie w zespole pałacowym mieści się Zakład Opiekuńczo-Leczniczy dla Dorosłych, prowadzony przez Zgromadzenie Sióstr Albertynek. Budynek pałacowy jest jednym z elementów tego ośrodka. Prace objęły cały obiekt. Początkowo wymieniono stropy, naprawiono więźbę dachową, zabezpieczono przed wilgocią, wymieniono stolarkę okienną, tynki, podłogi, wyremontowano kamienne schody, a później



Pałac w Kamieńcu Ząbkowickim



#### **Zbigniew Rokita**

Prowadził niektóre nasze kontrakty w Niemczech, ale jak firma wycofała się z tamtego rynku, wrócił do kraju. Najczęściej pracuje w zespołach realizujących większe zadania. Na imprezach integrujących lew parkietu.



Pałac w Mrozowie



Pałac w Prószkowie



Pałac Maltzanów w Miliczu

przeprowadzono konserwację detali architektonicznych, renowację historycznych balustrad, krat, ozdobnej boazerii, sztukatorskiego wystroju stropów, zabytkowych pieców kaflowych i jednosłupowych schodów drewnianych w wieży. Projekt zrealizowała Małgorzata Dworska, a kierownikami budowy byli Zbigniew Rokita i Tadeusz Czerwiński.

**Pałac w Prószkowie** wzniesiony został w typie *palazzo in fortezza*. Był rezydencją rodziny Prószkowskich, ale pełnił jeszcze w XIX w. różne inne funkcje, m.in. mieściło się tu katolickie seminarium nauczycielskie, a od 1881 r. szpital i przytułek św. Józefa. Od 1952 r. działa jako Dom Pomocy Społecznej. Prace polegały na konserwacji elewacji, którą częściowo pokrywają renesansowe dekoracje sgraffitowe w formie podziałów architektonicznych ze scenami figuralnymi. Pałac zdobią też narożne boniowania oraz portale i kamienne opaski okienne z kartuszami herbowymi. Prace wewnętrzne objęły salę rycerską z dekoracjami ścian i sklepienia (jedno z najbardziej reprezentacyjnych wnętrz zamku) oraz kaplicę, której wyposażenie składa się z niejednorodnych elementów o zróżnicowanym poziomie artystycznym, powstałych w różnych okresach. Prace konserwatorskie objęły ołtarz, sklepienia oraz inne fragmenty wystroju kaplicy. Kierownikiem budowy był Janusz Żurawski, a kierownikiem robót Marcin Krawiec.

**Pałac Maltzanów w Miliczu**, obecnie Technikum Leśne, to kolejna z ziemskich rezydencji, które konserwowaliśmy. Klasycystyczny obiekt został wzniesiony w latach 1797–1798 według projektu Carla Gottfrieda Geisslera. Właścicielami posiadłości byli Maltzanowie, znany śląski ród szlachecki. Działania Castellum, ze względu na ograniczone możliwości finansowe ograniczyły się do kompleksowego remontu elewacji południowej, wymiany całości stolarki okiennej oraz wykonania prac ratowniczo-zabezpieczających dachu. Podobny zakres robót objął budynek stajni. Prace w 2014 r. prowadził Jakub Samuszonek, a kierownikiem projektu był Andrzej Chowner.

**Zamek w Sobótce-Górcie** to rozbudowany dawny zespół klasztorny i kościół, a być może i zamek. Wielokrotnie przebudowywany, ostateczną, współczesną formę otrzymał pod koniec XIX w. Po licznych zmianach zachowały się wewnątrz formy gotyckie i renesansowe. Frontowa elewacja z łamanego granitu z dodatkiem cegły jest najbardziej charakterystycznym wizerunkiem malowniczego obiektu. Prace w nim prowadzone polegały na naprawie więźby dachowej, pokryciu dachów łupkiem, wzmocnieniu całego skrzydła wschodniego



i romanizacji kaplicy, która jest najstarszym elementem budowli. Obiekt pełni funkcje hotelowe, choć wymaga dalszych remontów. Kierownikiem budowy był Robert Rudnik.

Prace budowlano-konserwatorskie, choć w mniejszym zakresie, wykonywaliśmy również w innych **zespołach pałacowych**, m.in. w **Krzyżowej k. Świdnicy**, **Dobrzycy k. Kalisza**, **Niemodlinie k. Opoła**. A jedną z najważniejszych naszych realizacji będzie zapewne **pałac w Wilanowie**, w którym aktualnie prowadzimy prace i to zarówno w gmachu głównym, jak i w oranżerii, i dawnej kuchni pałacowej.

Kilka średniowiecznych budowli zamkowych i obronnych realizowaliśmy na zlecenie samorządów dolnośląskich. Najważniejszą z nich był niewątpliwie najstarszy śląski **zamek we Wleniu**. Zachował się w formie trwałej ruiny i taką też rolę planował dla niego samorząd gminy Wleń. Zamek był znaną atrakcją turystyczną, ale najprawdopodobniej wskutek prowadzonych na zbyt szeroką skalę prac archeologicznych, którym nie towarzyszyły równoległe prace konserwatorskie, nastąpiło nadwyrężenie murów i osunięcie się ściany północnej. Miało to miejsce w 2006 r. i było poważną katastrofą budowlaną, grożącą dalszym częściom zamku. W ramach podjętych działań odbudowano zawalony odcinek murów, stosując współczesne technologie. Wykonano fundamenty żelbetowe, na których wylano jądro ściany oporowej. Oblicowano ją następnie okładziną z odzyskanego kamienia w taki sposób, aby wążek i wielkość kamieni były zgodne z zachowanymi licami kamiennymi. Do spoinowania użyto zaprawy historycznej. Istniejące mury zostały wzmocnione zarówno strukturalnie, jak i zewnętrznie. W tym celu zastosowano ciężką stalową, ukrytą w spoinach muru. Wyrównano podłoże dziedzińców wewnętrznych i odwodniono teren zamku dzięki systemowi odprowadzenia wód opadowych na zewnątrz murów. Na kopule baszty wykonano płytę żelbetową, a koronę wzmocniono wieńcem. Mury zostały opasane siatkami węglowymi. Naprawiono także drewniane schody baszty i usztywniono ich konstrukcję. W murach zewnętrznych uzupełniono spoiny i dokonano hydrofobizacji korony murów. Pracami kierował Stanisław Dziedziński.

Remont **Wieży Piastowskiej w Opolu** to kolejna rewaloryzacja średniowiecznej budowli. Realizowaliśmy ją, wykonując również projekt, w latach 2012–2013. Zamiarem inwestora była nie tylko konserwacja nieużytkowanego obiektu, ale wzbogacenie go o nową funkcję widokową i wystawienniczą. Wieża Piastowska stanowi jedyną pozostałość po dawnym



Zamek w Sobótce-Górcie



**Robert Rudnik**

Jak często podkreślamy, człowiek do zadań specjalnych. Kiedy trzeba zrealizować jakąś inwestycję niewymagającą tworzenia dużego zespołu wykonawczego, np. elewacje, remonty dachu czy adaptację pomieszczeń, niezawodny jest Robert. Sam organizuje całe zadanie i nikomu nie zawraca głowy. Ma też w swoim dorobku większe realizacje, jak chociażby zamek w Sobótce-Górcie.



Wieża Piastowska w Opolu



**Anna Kościuk**

Poznałem Anię jeszcze w PKZ-tach, zatrudniona była w pracowni architektury. Chyba odbywała nawet praktykę w kościele garnizonowym, gdy byłem kierownikiem budowy. Później pracowała w różnych zespołach i czasami realizowaliśmy jakieś projekty, w których uczestniczyła, np. dla zespołu pałacowego w Krzyżowej. Nie pamiętam, kiedy założyła własną pracownię architektoniczną. Przyszła do nas kiedyś z tematem Synagogi pod Białym Bocianem. Ona robiła projekt, Castellum było wykonawcą. Trzeba tam było jeszcze prowadzić badania, szczegółowo ustalać różne sprawy z inwestorem. Wymagało

zamku piastowskim znajdującym się na wyspie Pasieka. Jest także jednym z najstarszych zabudków architektury mieszkalno-obronnej w Polsce – liczy ponad 700 lat. W chwili przystąpienia do prac budynek znajdował się w średnim stanie technicznym. Zrealizowano prace konserwatorskie powierzchni ceglanych oraz elementów kamiennych elewacji. Przeprowadzono renowację ścian wnętrza wieży, sufitów i sklepień, istniejących schodów drewnianych, posadzek wewnętrznych oraz wymieniono i docieplono helm, wykonano też nową stolarkę okienną i drzwiową. Jedną z najistotniejszych decyzji konserwatorskich podjętych w czasie realizacji projektu była ta dotycząca rekonstrukcji pierwotnego wejścia na wieżę, zlokalizowanego na elewacji zachodniej. Projektantem rewaloryzacji była Anna Kościuk, a kierownikami budowy – Marek Halon i Bartek Kulawiecki.

Kolejnymi średniowiecznymi obiektami, które rewaloryzowaliśmy były **mury obronne w Gryfowie Śląskim i Bystrzycy** oraz **ruiny zamku w Ząbkowicach Śląskich**. Prowadziliśmy również prace konserwatorskie w **Twierdzy Srebrna Góra**.

## Obiekty użyteczności publicznej

Castellum jako zasady przestrzegało zawsze założenia, że w stosunku do inwestycji pełni rolę generalnego wykonawcy. Pomimo różnych, czasami nawet ciekawych ofert, odrzucaliśmy zawsze propozycje podwykonawstwa prac. Jedną z przyczyn takiej naszej determinacji były zapewne doświadczenia z poprzedniej firmy, gdy remontowaliśmy budynek Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego jako podwykonawca dużej firmy budowlanej. Ta inwestycja zakończyła się dla nas fatalnie finansowo. Jednak gdy zwróciła się do nas firma Budimex z propozycją realizacji wszystkich prac konserwatorskich i elewacyjnych wrocławskiego **Dworca Głównego**, postanowiliśmy złamać tę zasadę i przyjęliśmy propozycję współpracy. Na ówczesnym etapie rozwoju firmy to było rzeczywiście wyzwanie. Zdawaliśmy sobie sprawę, że to zadanie niełatwe merytorycznie, a dodatkowo wymagający inwestor będzie raczej naszym przeciwnikiem niż partnerem. Od początku stworzyliśmy dla tej inwestycji duży, kilkuosobowy zespół realizacyjny. Kierownikiem projektu był Marek Halon, ale wspierali go Joanna Kościuk, Ryszard Dąbek, Maciej Lorenc i Bartek Kulawiecki.

Pierwszy dworzec kolejowy we Wrocławiu został uruchomiony w 1842 roku wraz z otwarciem pierwszej linii kolejowej na ziemiach polskich, należących wówczas do Prus.

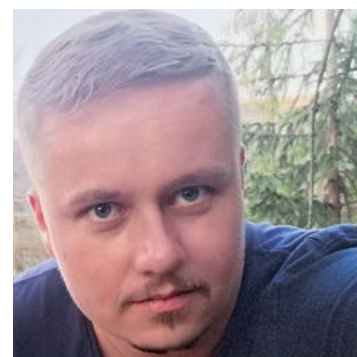
Rozwój tego środka transportu był tak dynamiczny, że postanowiono wznieść nowy dworzec. Wybudowano go w latach 1855–1857. Rozłożysty, pałacowy w swym charakterze gmach rozplanowano symetrycznie, wyraźnie wydzielając trzy pawilony połączone dwukondygnacyjnymi skrzydłami. Obiekt wzniesiono w stylu neogotyckim w odmianie inspirowanej gotykiem Tudorów. Flankujące pawilon centralny dwie wieże zegarowe, liczne przypory oraz filary zwieńczone smukłymi pinaklami, a także otwory okienne zakończone lukami tudorowym miały nadać mu gotycką smukłość. W latach 1899–1907 przeprowadzono przebudowę i rozbudowę dworca. Nowo wybudowaną część ukształtowano w stylu łączącym cechy neogotyckie z elementami secesji.

Nadrzędnym celem projektu, realizowanego w okresie marzec 2010 – czerwiec 2012, była modernizacja dworca wraz z unowocześnieniem infrastruktury kolejowej. Była to pierwsza tak duża i całościowa modernizacja. Jej skala skutkowałą koniecznością podporządkowania prac konserwatorskich harmonogramom robót budowlanych i konstrukcyjnych. W momencie rozpoczęcia przedsięwzięcia nie istniały szczegółowe rozwiązania projektowe i konserwatorskie dotyczące zabytkowej części obiektu. Wiele z nich powstało w trakcie realizacji kontraktu. Prace konserwatorskie objęły cały kompleks dworca. Renowacji poddano wszystkie elewacje budynku głównego, hali kasowej oraz peronowej. We wnętrzu w dużym zakresie prace miały charakter kompleksowy, m.in. objęły hol, reprezentacyjną klatkę schodową, Salę Sesyjną, atrium w pawilonie centralnym, pomieszczenia parteru w pawilonie wschodnim, poczekalnię drugiej klasy w skrzydle wschodnim. Skala obiektu spowodowała, że mieliśmy do czynienia z pełną gamą działań konserwatorskich. Materiałem dominującym był kamień – piaskowiec, granit, marmur, wreszcie sztuczny kamień występujący na elewacjach secesyjnych. Inną grupę stanowiły elementy drewniane – głównie stolarka drzwiowa oraz okienna, boazerie, stropy belkowe, kasetonowe, profilowane listwy wyznaczające podziały sufitów czy inne fragmenty dekoracyjne. Kolejna grupa to elementy ceramiczne charakterystyczne dla fazy secesyjnej, okładziny z cegły glazurowanej i klinkierowej, użytej zwłaszcza do licowania ścian tuneli. Jednym z bardzo charakterystycznych materiałów, a nieczęsto spotykanym, był cynk. Z niego wykonano liczne elementy metaloplastyki – zarówno na elewacji, jak i we wnętrzu. Najefektowniejszym cynkowym elementem wystroju jest strop kasetonowy dawnej Salii Sesyjnej, wykonany z trybowanych i lutowanych blach, które dość dobrze imitują drewniane belki. Oprócz detali cynkowych, niektóre fragmenty okuć stolarki okiennej i drzwiowej wykonano z brązu, wiele części zaś z żeliwa (np. kolumny

to dobrej współpracy wszystkich stron, co nie jest standardem w budownictwie. Była to dla nas ważna inwestycja i w naszym rozumieniu sprawnie projektowo zrealizowana. Od tej pory niemal stałe współpracujemy, zrealizowaliśmy razem kilka ciekawych projektów. Ale ja mam w stosunku do Ani szczególnie długą wdzięczność. Gdy potrzebowałem projektów dla różnych budynków w Bukowcu, a Fundacja nie była hojnym płatnikiem, zawsze mogłem liczyć na Anię. Za niewielkie pieniądze, a czasami bez wynagrodzenia, zaprojektowała kilka obiektów, które później mogliśmy realizować. Powtarzała: „To mój wkład w Fundację, ściśle współpracujemy”.



Dworzec Główny



**Maciej Lorenc**

Od Ewy Korzyńskiej dowiedziałem się, że

w naszej firmie chce się zatrudnić młody inżynier, który widzi pracę zawodową tylko w Castellum. Nie wiem do dziś, skąd taka jego determinacja i w ogóle – skąd znał firmę. Nie przyjmowaliśmy wówczas kadry technicznej, dlatego dostał odpowiedź odmowną. Gdy po kilku miesiącach potrzebowaliśmy młodych inżynierów, przypomniałem sobie o nim i powiedziałem o tym Krzysztofi Terce, który ich poszukiwał. Nie znam szczegółów rozmowy, ale Maciej został zatrudniony. Był niezwykle dynamiczny, zaangażowany, pełen energii i wiedzieliśmy, że będzie to dobry kierownik budowy. Gdy zdobył uprawnienia budowlane, od razu objął jedną z budów jako samodzielny kierownik.

Mogę przytoczyć pewną anegdotę z jego udziałem. Na jednym z wyjazdów integracyjnych firmy dowiedziałem się, że jest on fanem poszukiwań archeologicznych i zawsze wozi ze sobą jakieś urządzenie do wykrywania metalu. Zapytałem go, jak często udaje mu się coś znaleźć. Pewnie odpowiedział, że prawie zawsze coś ciekawego się trafi. Ja z pewnym niedowierzaniem zapytałem: „A tutaj?” Miałem na myśli okolice ośrodka, w którym mieszkaliśmy, czyli pola, las i jezioro. Maciej odpowiedział, że zaraz się tu trochę rozejrzy. My poszliśmy na piwo, a on w las ze swoim urządzeniem. Może po godzinie lub trochę dłuższym czasie wrócił ze znaleziskiem. Była to jakaś pruska moneta, kilka metalowych guzików, zapewne od mundurku i dwa kapsle od piwa. Popatrzyłem na zadowoloną minę Maćka, który udowodnił, że wszędzie coś znajdzie. Spytałem, po co mu te kapsle. I tu znów mnie zaskoczył. Powiedział, że to najcenniejsze, co tutaj znalazł. Warte są pewnie ponad 100 zł każdy i uświadomił mi, że wśród kolekcjonerów różności są m.in. poszukiwacze starych kapsli od piwa, więc on je sprzedaje w Internecie błyskawicznie.

lub podciagi). Złocenia występowały w ograniczonym zakresie w postaci folii mosiężnej, znalezionej jedynie w Sali Sesyjnej.

Jednym z pierwszych wyzwań, budzącym dość duże emocje nie tylko na placu budowy, lecz także wśród wrocławian, była decyzja w sprawie kolorystyki elewacji budynku głównego oraz hali kasowej. Wyniki badań pozwoliły jednoznacznie ustalić barwnik ugrupopomarańczowy jako dominujący, ale ze względu na bardzo ograniczony stopień zachowania pierwotnych tynków i bardzo zły stan najstarszych warstw barwnych, nie było możliwe dokładne określenie kolorystyki wszystkich detali. W wyniku licznych porad oraz po wykonaniu dwóch prób na dużych fragmentach elewacji osiągnięto kompromis, który zakładał pomalowanie tynków na kolor bliski pierwotnemu, detalu – na jasnobrązowo-ugrowy, a krenelaży – na brązowougrowy. W przypadku elewacji hali kasowej zdecydowano o przywróceniu kolorystyki fazy secesyjnej.

W czasie prac odkryliśmy wiele niespodzianek. Jednym z najbardziej spektakularnych znalezisk były dekoracje malarskie w pomieszczeniach pawilonu wschodniego, przede wszystkim w znajdującej się na pierwszej kondygnacji sali ze stropem podzielonym za pomocą drewnianych belek na pola, w których umieszczono malowane tarcze herbowe prowincji pruskich. Powstały one najpewniej z okazji przyjazdu do Wrocławia w 1906 r. cesarza Wilhelma II.

Najbardziej reprezentacyjne wnętrze budynku dworca to Sala Sesyjna na II piętrze. W wyniku konserwacji, restauracji, a częściowo rekonstrukcji, pomieszczenie, w dużym stopniu pozbawione wcześniej walorów artystycznych, odzyskało dawny blask. Wielkim wyzwaniem okazał się cynkowy strop kasetonowy, który wzmocniono, odrestaurowano oraz na nowo pomalowano, przywracając historyczną kolorystykę. Na ścianach pierwotnie pokrytych prawdopodobnie w całości dekoracyjnymi polichromiami, z powodu ich niemal całkowitego zniszczenia przywrócono tapety, które dwukrotnie występowały w późniejszych chronologicznie fazach.

Po udanej realizacji wspólnie z firmą Budimex budynku Dworca Głównego, zdecydowaliśmy się ponownie prowadzić z nią kolejną inwestycję, na którą wygrała przetarg we Wrocławiu. To zaniebdany **Pawilon Czterech Kopuł**, najbardziej znany obiekt niemieckiego architekta wczesnego modernizmu, Hansa Poelziga, wpisany wraz z sąsiadującą Halą Stulecia na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO. W latach 2013–2015 przeprowadziliśmy rewaloryzację i przebudowę obiektu, których celem było przywrócenie mu funkcji wysta-

wienniczej i stworzenie w nim oddziału wrocławskiego Muzeum Narodowego. Wśród wielu prac wykonanych w ramach tego remontu, znalazły się m.in. zadania związane z technologią naprawy i kolorystyką ścian.

Głównym elementem architektonicznym budowli są cztery kopuły, rozmieszczone w części środkowej każdego ze skrzydeł: wschodnia i zachodnia na planie koła, a północna i południowa na planie elipsy. Szczególny, mocno eliptyczny kształt ma kopuła północna, poświęcona miastu Wrocław z roku 1813. W 1948 r. pawilon był jednym z miejsc, w których prezentowano Wystawę Ziem Odzyskanych, a w 1953 r. jego wnętrza zostały przebudowane na potrzeby Wytwórni Filmów Fabularnych, która do 2008 r. wykorzystywała je jako filmowe atelier.

W ramach rewaloryzacji dokonano m.in. napraw historycznych konstrukcji żelbetowych (w tym reprezentacyjnej kopuły północnej wraz z odtworzeniem jej wewnętrznej dekoracji), naprawy pokryć dachowych, ocieplenia ścian, wymiany stolarki okiennej oraz renowacji elewacji. Inaczej przebiegał proces rewaloryzacji wystroju wnętrza pawilonu. Z jednej strony wyburzenie ścian działowych i stropów wprowadzonych w okresie powojennym, a także odtworzenie doświetlenia wnętrza świetlikami dachowymi oraz usunięcie wtórnie wybitych otworów okiennych od strony dziedzińca, przywróciło historyczny rozkład pomieszczeń, dostosowany pierwotnie do celów wystawienniczych. Z drugiej zaś strony wykończenie praktycznie całego wnętrza w kolorze bieli sprawia wrażenie, jakby to był obiekt nowy, bez historii. Jedynym nawiązaniem do historycznego opracowania powierzchni wnętrza obiektu jest rekonstrukcja monumentalnej dekoracji w kopule północnej – pawilonu miasta Wrocław. Wykonane przez Ryszarda Wójtowicza badania stratygraficzne potwierdziły oczywiście bogate zdobienia, a jednak inwestor zdecydował o pomalowaniu wszystkich pomieszczeń (z wyjątkiem kopuły północnej, gdzie odtworzono dekoracje) na kolor biały. O wyborze takiego rozwiązania, które nie ma nic wspólnego z historią, zdecydowały walory użytkowe – ekspozycja sztuki współczesnej. Jedynie technika malowania w niewielkim stopniu nawiązuje do przeszłości. Pracami kierowali Joanna Kościuk i Maciej Lorenc.

Naszą największą dotychczas realizacją obiektu zabytkowego jest konserwacja i kompleksowa modernizacja kamienic Rynku Starego Miasta na potrzeby siedziby głównej **Muzeum Warszawy**. To zespół jedenastu kamienic zlokalizowanych w historycznym centrum, który stanowi najbardziej reprezentacyjną, północną pierzeję placu. Wszystkie kamienice remontowano i odbudowywano po zniszczeniach wojennych, w latach 1948–1953. Tak



Pawilon Czterech Kopuł

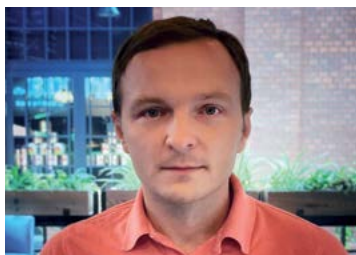


**Tomasz Stefański**

Gdy przyszedł do Castellum, miał już doświadczenie projektowe, gdyż pracował w biurze konstrukcyjnym. Początkowo chyba sam nie był pewny, czy pracować na budowie, czy jednak nie powrócić do projektowania. Takie były moje obserwacje. Stąd dość długo nie powierzaliśmy mu samodzielnych inwestycji – raczej pracował w zespołach, które realizowały większe kontrakty. Dziś to się zmienia.



Muzeum Warszawy



#### **Bartosz Kulawiecki**

Gdy pojawił się u nas na budowie Rynek 6, był absolwentem budownictwa. Jako majster czy inżynier budowy dostał zadanie szczegółowego rozliczania inwestycji. Kierownik kontraktu i budowy cenili jego dokładność, szczegółowość i oczywiście wiedzę. Podobną rolę pełnił przy kolejnych kontraktach, m.in. Dworca Głównego we Wrocławiu, Muzeum Warszawy. Kierownicy zabiegali, aby trafił do ich zespołów, gdy problem rozliczeń był uciążliwy. Trochę przyzwyczajaliśmy się do takiej jego roli, sądząc początkowo, że bardziej mu ona odpowiada niż szarpanie się z inwestorem, dostawcami czy podwykonawcami. Jednak gdy pojawiła się konieczność objęcia budowy Wieży Piastowskiej w Opolu, jej kierownikiem został właśnie Bartek. Nasze obawy zniknęły, gdyż świetnie poradził sobie z inwestycją. Później był kierownikiem w Łodzi, przy trudnej adaptacji kamienic na muzeum miasta. Dziś prowadzi budowę w pałacu w Wilanowie. Kolejny dobry wychowanek Castellum.

kompletna rekonstrukcja całego zabytkowego zespołu staromiejskiego, w historycznym układzie urbanistycznym, została wpisana na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO. Zlokalizowane w pierzei północnej budynki wzniesiono w XV wieku. W kolejnych stuleciach wielokrotnie je remontowano, przebudowywano i nadbudowywano, co miało związek z licznymi pożarami. Kamienice były domami zamożnego patrycjatu miejskiego, rajców miejskich, rodzin kupieckich oraz siedzibami rozmaitych instytucji. W 1928 r., z okazji dziesiątej rocznicy odzyskania niepodległości, postanowiono upiększyć polichromiami fasady kamienic. Zajęli się tym Stanisław Ostrowski oraz Zofia Stryjeńska. W trakcie Powstania Warszawskiego w 1944 r. i zaraz po nim, zabudowa pierzei Rynku Starego Miasta uległa niemal całkowitej zagładzie. Ocalałe z działań wojennych kamienice pod numerami 32, 34 i 36 były ewenementem w skali całego zespołu staromiejskiej zabudowy. W 1953 r. zakończono odbudowę wszystkich kamienic bloku muzealnego.

Prace konserwatorskie i budowlane prowadzone przez firmę Castellum od marca 2015 r., są najpoważniejszymi i zakrojonymi na najszerzą skalę w historii obiektu od 1953 r. Działania miały miejsce równocześnie w jedenastu kamienicach. Najważniejszym założeniem było przywrócenie wnętrzą oraz elewacjom wystroju z czasów powojennej odbudowy. Wszystkie prace prowadzono maksymalnie zachowując istniejącą substancję zabytkową, choć można mieć do niektórych rozwiązań wiele uwag. W budynkach wymieniono wszystkie znajdujące się tam instalacje (w tym elektryczną, wodno-kanalizacyjną i centralnego ogrzewania), a dodatkowo wyposażono je w instalację chłodniczą i ciepła technologicznego, wentylację mechaniczną i klimatyzację oraz w nowoczesne systemy bezpieczeństwa: sygnalizacji pożaru, oddymiania, dźwiękowy ostrzegawczy, sygnalizacji włamań, napadu i zabezpieczenia eksponatów muzealnych, kontroli dostępu, monitoringu, okablowania strukturalnego oraz – część sal ekspozycyjnych i pomieszczenia archiwum – w system gaszenia gazem. W wyniku wprowadzenia do stosunkowo niewielkich sal tylu instalacji, przejścia, szachty, wnęki pod instalacje, tak sferporowały niemal połowę oryginalnych, historycznych ścian, że trzeba było je wzmocnić stalowymi i żelbetowymi słupkami, obejmami i belkami. Do dziś mam w oczach ten niesamowity widok. W niewielkim pomieszczeniu wszystkie ściany rozkute w poprzek i wzdłuż, powycinane trasy pod kable, rury, poprowadzone ogromne blaszane przewody wentylacyjne i to wszystko poprzęplatanie żelbetowymi belkami i stalowymi wzmocnieniami rachitycznych pozostałości oryginalnych ścian. Widziałem w swojej pracy zawodowej wiele dziwnych rozwiązań, ale to utkwiło mi w pamięci szczególnie. Można oczywiście powiedzieć, że przecież takie są współczesne

standardy, wymogi, normy. Jak zabytki mają żyć, muszą być nasycone nowymi instalacjami. Tak, to prawda, ale może nie należy lokalizować funkcji o tak intensywnym nasyceniu urządzeniami w obiektach, które tak bardzo trzeba perforować, np. można inaczej zaprojektować ekspozycje, zmienić formułę muzeum w obiekcie historycznym – więcej oryginalnych eksponatów a mniej multimediiów. To już się stało i nie można tego odmienić, ale warto wskazywać, co kryje się za niektórymi decyzjami inwestorskimi czy projektowymi, bo one nie od początku są czytelne. Tak zapewne stało się w Warszawie. Najpierw powstał projekt budowlany, który uzyskał wszelkie pozwolenia, łącznie z konserwatorskimi. Później zrealizowano projekt wystroju wnętrz, następnie ekspozycji, a na końcu specjaliści od różnych urzędów technicznych, od ochrony eksponatów, dokładali swoje instalacje, zasilania itp. I tak powstał obraz ścian kamieniczek, który przedstawiłem wyżej. To oczywiście tylko przykłady zbyt dalekiej ingerencji współczesnych rozwiązań w obiektach zabytkowych. Sprawa z całą pewnością jest zawsze indywidualna.

W całym kompleksie kamienic niewątpliwie największym wyzwaniem było jednocześnie prowadzenie wielu prac konserwatorskich, zarówno we wnętrzach obiektu, jak i na zewnątrz. Prace zewnętrzne objęły wszystkie elewacje. Wewnątrz szczególnej ochronie podlegały pomieszczenia, wraz z pięcioma klatkami schodowymi o dekoracyjnym charakterze. Konserwacji poddano wszystkie zabytkowe elementy wystroju architektonicznego, a więc: tynki i dekoracje sztukatorskie wraz z polichromiami, kamienne portale i posadzki, drewniane stropy, w tym polichromowane, stolarkę drzwiową, drewniany wystrój klatek schodowych, drewniane i kamienne parapety i obramienia okienne oraz metaloplastykę. Przed rozpoczęciem prac budowlanych i instalacyjnych, wymagających ingerencji w powierzchnie istniejących tynków ścian i sklepień, wykonano dokładną analizę stratygraficzną. W wyniku szczegółowych badań odkrywkowych znaleziono relikty dekoracji malarskich na sklepieniach. Najszerszy merytorycznie obszar konserwacji obejmował polichromie na stropach drewnianych. W najlepiej zachowanej z pożogi wojennej kamienicy pod numerem 34, znajdują się najcenniejsze w całym obiekcie, jeżeli nie na terenie całego Starego Miasta, drewniane stropy polichromowane: na pierwszym piętrze, od strony Rynku Starego Miasta, strop belkowy z dekoracją emblematyczną pochodzący z około 1620 r.; na pierwszym piętrze, od strony dziedzińca, strop kasetonowy z dekoracją „gotycką” datowany również na około 1620 r. oraz na drugim piętrze, od strony Rynku Starego Miasta, strop płaski ze scenami rodzajowymi i religijnymi pochodzący z około 1730 r.



#### **Iwona Jurałowicz**

Sekretarka Castellum. W ciągu ostatnich lat zmiany na tym stanowisku były częste. Przyjmowałam osoby do pracy najczęściej w wyniku ogłoszeń prasowych, później przez kilka tygodni Gosia Makuszevska wprowadzała nowe osoby w sprawy spółki i uczyła zawodu. Wszystkie panie po kilku miesiącach były świetnymi sekretarkami, ale po kolejnym roku czy dwóch oznajmiały, że wyjeżdżają za granicę. Najczęściej do Anglii do męża, chłopaka czy rodziny. Mam nadzieję, że tak nie będzie z Iwonką – i nie dlatego, że trzeba będzie znowu kogoś szukać, ale dlatego, że rzeczywiście jest bardzo profesjonalna, dokładna, sprawna. Nie potrzebowała tygodni na szkolenie, wszystko wiedziała po kilku dniach.



#### **Małgorzata Arcimowicz**

Specjalistka w dziale księgowości. Zawsze cicha, spokojna, zatopiona w dokumentach, ale na wyjazdach integracyjnych królowa parkietu, podobnie ja Ola.



### Jarosław Firlej

Przyszła do nas do pracy już jako dojrzały, doświadczony kierownik budowy, w przeciwieństwie do większości kadry, która zdobywała u nas pierwsze szlify po studiach. Miał już ukształtowany sposób czy metodę realizacji inwestycji. W ogromnym uproszczeniu polegała ona na niezwykle skrupulatnym, dociekliwym sprawdzaniu wszystkich zagadnień. Dodatkowo chciał wszystko robić sam, co przy dużych, trudnych kontraktach jest w zasadzie niewykonalne. Ale Jarek tak działał. To zabierało mu bardzo wiele siły, a wręcz wypalało go. Dlatego często po zakończeniu inwestycji brał dłuższy urlop, aby te siły odzyskać. Prowadził dla nas kilka znaczących inwestycji, m.in. Hydropolis.



Hydropolis

W ostatnim etapie prowadzono prace wykończeniowe wnętrz. Kolorystykę ścian, sklepień i sufitów ustalono w oparciu o badania stratygraficzne przy uwzględnieniu planowanej funkcji pomieszczeń. Celem było stworzenie neutralnego, ale nawiązującego do dawnej tkanki obiektu, tła dla przyszłej ekspozycji muzealnej. Przeprowadzono konserwację wszystkich posadzek kamiennych na parterze oraz uzupełniono brakujące ich fragmenty posadzką wzorowaną na historycznej.

Prace w obiekcie prowadzili konserwatorzy dzieł sztuki i detalu architektonicznego: Marcin Kozarzewski, Marek Trocha oraz Wit Podczerwiński, pod nadzorem kierownika prac konserwatorskich Andrzeja Karolczaka.

Pracami kierował zespół inżynierów: Janusz Żurawski, Robert Wanat, Joanna Kościuk, Bartek Kulawiecki, Marcin Krawiec. Współpracowaliśmy z firmą Monument z Warszawy.

Jedną z naszych najciekawszych realizacji konserwatorskich dawnych budowli industrialnych jest kompleks dzisiejszego Miejskiego Przedsiębiorstwa Wodociągów i Kanalizacji, a historycznie – zakładów produkcji wody Am Weidendamm, Na Grobli we Wrocławiu. Pierwsze budowle powstały w latach 1867–1871 jako jeden z elementów centralnego wodociągu dla Wrocławia. Później konstruowano kolejne, gdy zmieniano i udoskonalano technologie pozyskiwania i uzdatniania wody. W ten sposób do początków XX w. powstało kilkanaście budowli. Były to m.in.: wieża ciśnień z przylegającą kotłownią, zatkaną osadnika wstępnego z brzegowym ujęciem wody z Odry, zbiornik wody czystej w podziemiu budynku administracyjnego, magazyn, dwa baseny filtrów o powierzchni 4000 m kw. każdy, pompownia, odżelaziacz i trzeci basen filtra powolnego, przebudowany na zbiornik wody czystej, a obecnie na **Centrum Edukacji Ekologicznej „Hydropolis”**.

Prace prowadziliśmy w latach 2012–2016. Początkowo nie sądziliśmy, że konserwacja niewielkiego budynku dawnego odżelaziacza przekształci się w wieloletnią współpracę, która obejmie niemal cały kompleks historycznych budowli MPWiK. Po zakończeniu tej niewielkiej realizacji zlecono nam remont elewacji budynku administracyjnego i dawnej kotłowni przy wieży ciśnień, w której urządzono niewielką salę konferencyjną i pomieszczenia biurowe. Ale dla nas najważniejszym wyzwaniem była wieża ciśnień. Znałem ją doskonale, gdyż kilka lat wcześniej Prezydent Wrocławia zaprosił mnie do zespołu konsultacyjnego, który rozważał możliwość adaptacji obiektu na centrum nauki, trochę na wzór



warszawskiego Centrum Nauki Kopernik. Ale przedstawiony projekt adaptacji wieży do tego celu był kompletnie chybiony. Jego autorem była jakaś pracownia poznańska. Sądzę, że chodziło wówczas o zdobycie poparcia różnych osób dla tego pomysłu. Pomysł był dobry, ale projekt budowlany absurdalny. Miasto odstąpiło wówczas od tej realizacji i wieża pozostała własnością MPWiK. Ucieszyłem się, że po wielu latach powrócono do próby konserwacji tej niezwyklej budowli, o całkowitej wysokości ponad 48 m. Obiekt jest murowany z cegły ceramicznej na zaprawie cementowo-wapiennej, elewacje licowane cegłą, z charakterystycznymi przyporami skokowo zmniejszającymi się ku górze, z sześcioma osiami okien zlokalizowanych między nimi. Każda zmiana wymiaru przypory została zaakcentowana gzymsem kamiennym z nieznacznym wysunięciem z lica muru. Nakrycie to płaski dach czterospadowy, z centralnie umieszczoną kwadratową latarnią. Wnętrze wieży jest podzielone na cztery komory, zbliżone w rzucie do kwadratu, połączone ze sobą wąskimi przejściami, z szeregiem poziomów technicznych przedzielonych stropami o konstrukcji stalowej i zbiornikami na wodę na najwyższym poziomie, pod konstrukcją dachu. We wnętrzu zachowała się część urządzeń technicznych dawnej wieży ciśnień. Prace nie objęły jednak wnętrza wieży, a jedynie elewacje, dach oraz przybudówki, w których urządzono z jednej strony salę konferencyjną, a z drugiej bar dla pracowników MPWiK. Po zakończeniu prac remontowych wieża ciśnień nadal pozostała wyłączona z eksploatacji.

W 2013 r. rozpoczęliśmy remont i przebudowę elewacji zbiornika wody czystej, dawnych filtrów powolnych, zlokalizowanego po południowej stronie ul. Na Grobli, już wyłączonego z eksploatacji. Zbiornik powstał w latach 1890–1893. Elewacje zachodnia, wschodnia i północna, wzniesione w stylu neogotyckim, nawiązują swym wyglądem do murów obronnych średniowiecznego zamku z wieżami, basztami, wieżyczkami strzelniczymi i bramami. Ściany z cegły licowanej są częściowo szkliwione i obłożone bogato zdobionymi kształtkami ceramicznymi oraz zwieńczone nakrywami granitowymi. Jednokondygnacyjny zbiornik wody czystej o kubaturze około 35 000 m sześć., zagłębiony w terenie na ponad 3,6 m, jest nakryty zielonym dachem, z zachowanymi kominkami odpowietrzającymi, służącymi pierwotnie do redukcji ciśnienia powietrza wewnątrz zbiornika.

Centrum Edukacji Ekologicznej „Hydropolis” udostępniono publiczności jesienią 2015 r. Jest to doskonały przykład niezwykle udanego przystosowania obiektu wyłącznie z eksploatacji do nowej funkcji, przy wykorzystaniu równocześnie jego pierwotnego przeznaczenia. Całą inwestycję realizował zespół: Marek Halon, Ryszard Dąbek, Jarosław Firlej, Anna Strzelec i Maciej Lorenc.



#### **Anna Strzelec**

Pojawiła się w Castellum, gdy rozpoczęliśmy prace w Termach Cieplickich, później była kierownikiem robót na wielu innych inwestycjach. Ja z całą pewnością zapamiętam tę w Rawie Mazowieckiej. To ponad dwuletnia, duża, kompleksowa konserwacja barokowego kościoła i dawnego klasztoru z pełnym wyposażeniem. Mieliśmy tam rzeczywiście trudnego inwestora, nie tylko wymagającego, co nie jest standardem, ale niezwykle męczącego, wtrącającego się do najdrobniejszych szczegółów i do tego kompletnie spoza branży. Dwóch pierwszych kierowników budowy po kilku miesiącach poprosiło o przeniesienie, gdyż w takich warunkach nie dało się po prostu normalnie prowadzić inwestycji. Ania to wszystko wytrzymała, rozpoczęła pracę na początku kontraktu i zjechała z niego ostatnia. Bardzo ją za to podziwiam.



#### **Wojciech Pronobis**

Kierownik budowy, zawsze na jakiejś wysuniętej w terenie inwestycji. Ceniony przez inwestorów, którym często podpowiadał, jak można zmienić niektóre rozwiązania projektowe, aby uzyskać lepszy efekt użytkowy czy estetyczny. Nie podchodzi nigdy do inwestycji rutynowo. W pełni się w nią angażuje.



#### **Marek Skorupski**

Architekt, z którym współpracujemy od lat. Projektuje głównie budownictwo mieszkaniowe. Zrealizowaliśmy z nim kilka osiedli. Był naszym wspólnikiem w ATC Development. Mistrz w maksymalnym wykorzystaniu powierzchni zabudowy pod tzw. PUM. Znał wszystkie kruczki w przepisach i zrecznie z nich korzystał. Poza tymi niewątpliwymi zaletami, był w sposób wyjątkowy niepunktualny. Na spotkania czy narady przychodził, gdy się skończyły albo w ogóle; gdy się umawialiśmy na 12 był o 17, czasami dopiero następnego dnia. Mam obraz

Niezależnie od kompleksowych i dużych konserwacji obiektów czy całych zespołów zabytkowych, realizowaliśmy prace konserwatorskie wybranych elementów lub fragmentów budowli historycznych. Były to elewacje, konstrukcje i pokrycia dachowe, pojedyncze sale i pomieszczenia. Zawsze staraliśmy się, aby to były obiekty znaczące, wartościowe czy historycznie, czy artystycznie. Powiniennem tu wymienić zatem elewację **Dworca Świebodzkiego we Wrocławiu**, elewacje **sądów w Jeleniej i Kamiennej Górze**, elewacje i dachy kompleksu **obiektów Akademii Medycznej we Wrocławiu**, **kamienic staromiejskich w Kamiennej i Jeleniej Górze, Świdnicy i Wrocławiu**, dodam również wykonanie wzmocnienia stropu nad **Aulą Leopoldyńską UW**.

### **Obiekty realizowane obecnie<sup>5</sup>**

Staralem się krótko opisać ważniejsze konserwacje Castellum, o których miałem jakąś większą wiedzę, chociażby poprzez obecność na budowie podczas toczących się prac, rozmowy o inwestycji z konserwatorem, projektantami czy kierownikiem. Ale muszę szczerze przyznać, że nie na wszystkich budowach bywałem, wiele z naszych realizacji konserwatorskich znałem li tylko z rozmów z kierownikami czy członkami zarządu. Dlatego nie będę opisywał tych inwestycji, które znam niejako pośrednio ani tych, które realizujemy od dwóch lat, czyli od czasu, gdy choroba nie pozwala mi na jakąkolwiek aktywność, a tym bardziej na odwiedzanie budowy. Bardzo żałuję, że wiele ważnych konserwacji firmy przeszło mi jak gdyby koło nosa. A dotyczą one obiektów o wyjątkowej wartości historycznej czy architektonicznej. Nie mogę ich chociażby w tych wspomnieniach nie wymienić, gdyż postępem prac na nich, problemami, jakie tam występują, interesowałem się nie mniej, niż tymi, na których bywałem.

W **zespole pałacowym w Wilanowie** prowadzimy obecnie prace w kilku obiektach: oranżerii, dawnej kuchni i pałacu; w Łodzi zakończyliśmy adaptację dwóch staromiejskich kamienic na **Muzeum Miasta Łodzi**; w **Muzeum Narodowym w Warszawie** realizujemy wystawę w dziale starożytności, a zakończyliśmy w dziale sztuki współczesnej; w **pałacu w Antoninie** (dzielo Schinkla) zakończyliśmy kompleksową konserwację całego drewnianego obiektu; kończymy całościowy remont secesyjnego **Teatru im. C. K. Norwida w Jeleniej Górze**; konserwujemy klasycystyczny **ratusz w Jeleniej Górze** oraz **ratusz w Brzegu**. Zakończyliśmy również ostatnio prace w barokowym **zespole pojezuickim**

w **Rawie Mazowieckiej**. To jedna z najbardziej kompleksowych konserwacji sakralnych w kraju (barokowy kościół, klasztor, pełne wyposażenie świątyni).

Wcześniej zrealizowaliśmy też kompleksowe prace adaptacyjne w **zespole post-industrialnym w Boguszowie-Gorcach**, odbudowaliśmy zawałoną **wieżę kościoła w Otyniu**, prowadziliśmy prace konserwatorskie i adaptacyjne w suszarni papieru w **Muzeum Papiernictwa w Dusznikach-Zdroju**.

Nie wspominałem dotychczas o budownictwie mieszkaniowym. Realizowaliśmy osiedla we Wrocławiu, Jeleniej Górze i pod Wrocławiem. W jedno z takich osiedli zaangażowaliśmy się zresztą bardzo poważnie, bo również jako współinwestor. Była to pokaźna inwestycja na ponad 550 mieszkań w dzielnicy, która dziś zaczyna być bardzo atrakcyjna, czyli Przedmieście Olawskie, a wówczas, gdy zaczynaliśmy, miała raczej określenie Trójkąta Bermudzkiego. Powołaliśmy spółkę ATC Development, której ja byłem prezesem zarządu, a udziałowcami kilku, niestety zmieniających się, partnerów. To spowalniało budowę, którą podzielono na etapy, ale generalnie inwestycja zakończyła się pomyślnie. Zresztą w najtrudniejszych dla nas latach dawała nam niezbędne przeroby i obroty. Nie chcę jednak opisywać budownictwa mieszkaniowego, głównie dlatego, że – jak podkreślam wciąż – specjalizacją firmy są zabytki i cały mój zapał wołałem koncentrować na nich.

świetnie ilustrujący to jego permanentne rozartargnienie. Prawie zawsze nasze spotkania u mnie w biurze kończyły się podobnie. Marek maszeruje od ściany do ściany, jak tygrys w klatce, coś mi tłumaczy w tym czasie i prawą ręką zwija kłębek włosów. Nagle przestaje i pyta, co to za dzień i która jest godzina. Oczywiście przypomniał sobie o zajęciach ze studentami. Wybiegając dzwonił do kolegów, aby zatrzymali grupę, bo on właśnie dojeżdża. Nie byłoby to pewnie nic nadzwyczajnego, każdemu z nas zdarza się gdzieś spóźnić, ale w jego przypadku to była zasada. Lubiłem się z nim spotykać w jego pracowni, wówczas się nie spóźniał, bo był. Przedstawiał mi różne tematy projektowe, oferty, które czasami były dla nas interesujące.



#### **Dariusz Polańczyk**

Rozpoczął z nami pracę w czasie realizacji I etapu budowy ATC. Później prowadził inne kontrakty. Najbardziej utkwiał mi w pamięci zgoła niezawodowy obraz... W biurze ATC jako specjalistka od sprzedaży pracowała Marta Cichocka, miła i ciepła blondynka. Na jednej z imprez integracyjnych dostrzegłem, że między nimi jest rzeczywiście jakaś chemia. Na następnej byli już parą. Często żartowałem, że związki ATC i Castellum są jeszcze bliższe, niż wynika to z dokumentów i umowy realizacyjnej.



Stowarzyszenie  
Konserwatorów  
Zabytków



#### **Ewa Korzyńska**

Historyk sztuki, specjalistka do spraw konserwatorskich. Znamy się od czasu wspólnej pracy w Pracowniach Konserwacji Zabytków, razem działaliśmy w SKZ. Ewa świetnie znała całe środowisko konserwatorskie. Gdy realizowaliśmy jakąś inwestycję, gdzie potrzebnymi byli konserwatorzy detalu czy dzieł sztuki, Ewa wyszukiwała nam tych artystów konserwatorów. Teraz często matkuje w firmie młodym inżynierom, którzy się u nas zatrudniają.

## DZIAŁALNOŚĆ SPOŁECZNA W OCHRONIE ZABYTEKÓW

### Stowarzyszenie Konserwatorów Zabytków

Trudno mi jednoznacznie wskazać okres, w którym włączyłem się dość aktywnie w działalność SKZ, które powstało w 1981 r. Od starszych kolegów wiem, że starania o powołanie środowiskowej organizacji konserwatorów zabytków trwały wiele lat i cały czas napotykały opór władz. Chociaż inne grupy zawodowe miały swoje organizacje, jak chociażby historycy sztuki, plastycy, architekci, inżynierowie, to dla ludzi związanych z konserwacją zabytków ten przywilej był w czasach komunistycznych blokowany. Dopiero czasy Solidarności dały możliwość powołania organizacji środowiskowej. Początki jej działania przypadły jednak na okres stanu wojennego, co na wiele miesięcy zahamowało możliwość aktywnego uczestnictwa. Jednakże w drugiej połowie lat 80. Stowarzyszenie działało w kilkunastu oddziałach, w tym na Śląsku. Podstawowe cele były i są nadal aktualne: integracja specjalistów wszystkich dyscyplin zajmujących się konserwacją zabytków, kształtowanie w społeczeństwie właściwego stosunku do dziedzictwa kulturowego, inspirowanie badań związanych z konserwacją czy dbałość o etykę zawodową.

Gdy w latach 90. zacząłem uczestniczyć w zebraniach Stowarzyszenia, traktowałem to raczej w kategoriach towarzyskich. Spotykałem tam wielu kolegów z PKZ-tów, z którymi od lat nie miałem kontaktu. Chętnie poznawałem ich aktualne prace i dokonania zawodowe. Ale Jurek Jasieńko, który również włączył się aktywnie w działania SKZ, uważał, że Stowarzyszenie może realizować dla środowiska wiele bardzo pożytecznych działań. Jako nauczyciel akademicki i praktyk w konserwacjach konstrukcji zabytkowych uważał, że szkolenia, konferencje, seminaria mogą w bardzo znaczący sposób poszerzyć wiedzę wszystkich członków i w ten sposób pomagać w realizacji głównych celów. Szybko jego ocenę podzielili inni i Jerzy został wybrany na Prezesa Zarządu Oddziału Śląskiego SKZ. Namówił mnie wówczas, abym został wiceprezesem. Przez kilka trzyletnich kadencji wprowadzaliśmy więc w życie program aktywizacji członków Stowarzyszenia w różnych kierunkach. Organizowaliśmy prezentacje nowoczesnych technologii i materiałów, wchodzących dopiero na polski rynek. Były

one przedstawiane przez producentów czy dystrybutorów, ale też krytycznie recenzowane na naszych spotkaniach. Wspólnie z Politechniką Wrocławską i innymi uczelniami organizowaliśmy konferencje naukowe związane z konserwacją zabytków. Miały one miejsce we Wrocławiu, Szklarskiej Porębie, Świdnicy, w zamku w Kliczkowie i w Wojanowie. Część spotkań odbywaliśmy na terenie ważnych i znaczących realizacji konserwatorskich prowadzonych w mieście. Było to o tyle ciekawe, że prace jeszcze trwały i w czasie dyskusji o problemach konserwatorskich mogliśmy analizować różne warianty wykonawcze, które czekały dopiero na wdrożenie. Odnosiło się wrażenie, że Stowarzyszenie bardziej ożyło. Pojawiło się w nim wielu nowych, młodych członków.

Gdy po kilku kadencjach Jurek zrezygnował z funkcji prezesa, co było związane z jego zaangażowaniem w prace Zarządu Głównego SKZ w Warszawie, ja zastąpiłem go w pełnieniu tej funkcji. W zarządzie zasiadali w różnych okresach Ewa Korzyńska, Ania Kościuk, Wojtek Kapalczyński, Krzysztof Wartenberg, Jacek Kościuk, Basia Obelinda, Andrzej Kubik, Olek Limisiewicz, Rafał Czerner. Staralem się oczywiście kontynuować wszystkie wcześniejsze dobrze odbierane aktywności, ale próbowałem też wprowadzić nowe elementy do naszych spotkań. Postanowiłem prezentować nie tylko konserwacje wrocławskie, ale również te realizowane w regionie. To było logistycznie trochę trudniejsze, ale chyba pozwoliło na lepszą integrację środowiska, bo wspólne wyjazdy, często autobusowe, dawały nam i więcej czasu, i więcej okazji do różnych dyskusji. Pamiętam wyjazdy do Kotliny Jeleniogórskiej, Kłodzkiej, do Krainy Domów Przysłupowych w okolice Bogatyni i Zgorzelca, do Świdnicy, Brzegu, Żmigrodu. Aby zacieśnić nieco kontakty urzędujących konserwatorów wojewódzkich, regionalnych czy miejskich z członkami Stowarzyszenia aktywnie pracującymi przy zabytkach, organizowaliśmy cykliczne spotkania poświęcone właśnie takiej współpracy. Sądzę, że pozwoliło to lepiej rozumieć się różnym stronom podczas trudniejszych i bardziej kontrowersyjnych przedsięwzięć.

Z satysfakcją odnotowywałem, że regularnie w naszych spotkaniach uczestniczyli nie tylko czynni zawodowo konserwatorzy, ale też ci będący od lat na emeryturze i w zasadzie mniej aktywni. Często prowokowali oni ciekawe dyskusje. Byli to chociażby profesorowie Olgierd Czerner, Edmund Małachowicz, Mirosław Przyłęcki czy Henryk Dziurla. Jednak największym zaskoczeniem było dla mnie niezawodne stawiennictwo, niemalże na wszystkich spotkaniach, prof. Jana Suwalskiego, legendy wrocławskiego budownictwa. Zajmował się on budownictwem ogólnym, a nie zabytkowym, ale podczas naszych rozmów wielokrotnie powtarzał, że trochę żałuje, iż się tym głębiej nie zainteresował, bo to ciekawe zagadnienia.



#### **Barbara Nowak-Obelinda**

Dolnośląski wojewódzki konserwator zabytków. Moja współpraca z Basią trochę przypomina tę z Andrzejem Kubikiem. Gdy była konserwatorem w Wałbrzychu i nadzorowała nasze inwestycje, m.in. Kościół Pokoju w Świdnicy, była częstym gościem na budowach, brała udział w dyskusjach i zawsze podejmowała decyzje po wysłuchaniu różnych stron i opinii. Gdy została konserwatorem wojewódzkim stała się mniej dostępna, bardziej arbitralna, przesadnie zasadnicza. Czasami odnosiłem wrażenie, że chciała bardziej projektować niż zatwierdzać projekty. To zresztą częsta postawa konserwatorów, którzy czasami myślą rolę. Projekt jest pracą projektanta, nie konserwatora. Można go nie zatwierdzić, nanieść uwagi, podpowiadać lepsze rozwiązania, całkowicie odrzucić, ale nie przeprojektowywać. Basia jest w środowisku bardzo aktywna. Przez dwie kadencje była prezesem śląskiego oddziału SKZ. Ma też duży autorytet w środowisku wojewódzkich konserwatorów zabytków.



Dolnośląski Laur Konserwatorski



#### Jan Suwalski

Profesor budownictwa, jedna z najbardziej znanych postaci w środowisku Politechniki Wrocławskiej. Gdy pracowałem na uczelni, w zasadzie się nie spotykaliśmy, może kiedyś podwoziłem Profesora na jakąś ekspertyzę, razem napisaliśmy jakiś artykuł konferencyjny i tyle. Zapamiętałem go z zupełnie innej strony. Gdy w 2005 r. miałem poważny wypadek samochodowy i przez kilka tygodni leżałem w szpitalu, odwiedził mnie zupełnie niespodziewanie. Prowadziliśmy długą rozmowę, po czym zapytał, czy może jeszcze wpaść. Oczywiście zgodziłem się. Tych wizyt w szpitalu było kilka. Później, gdy leżałem już w domu, przychodził regularnie. Opowiadał mi o swojej pracy, rodzinie, studiach w Warszawie, pracy na Politechnice, o wojnie. Mnie prosił o opowiedzenie czegoś o konserwacjach ważnych zabytków. Nie wiem do dziś, co go skłoniło to tego, aby tak wiele czasu mi poświęcać, ale rzeczywiście była to dla mnie ciekawa i bliska znajomość.

Otworzyliśmy również konkurs pt. Dolnośląski Laur Konserwatorski. Samą ideę podpatrzyłem w oddziale lubelskim. Był to konkurs na najlepsze prace konserwatorskie zakończone w danym roku. Uroczyste wręczenie laurów oraz prezentacja wszystkich zgłoszonych kandydatur odbywała się na specjalnym spotkaniu, w którym często uczestniczyli przedstawiciele władz miasta, regionu, konserwatorzy zabytków i zaproszeni goście. Nagradzaliśmy najważniejsze konserwacje w dwóch kategoriach: zabytek ruchomy i nieruchomy. Później do naszego konkursu dołączył Prezydent Wrocławia, który przyznawał specjalny laur dla najlepszej konserwacji w mieście. Była to dobra promocja dziedzictwa i konserwacji. Towarzyszyła jej zawsze plenerowa wystawa przedstawiająca kandydatury do nagrody (po kilka lub kilkanaście w każdej kategorii), którą prezentowaliśmy w różnych miastach Dolnego Śląska. Materialnym laurem i wkrótce symbolem konkursu stała się świetna rzeźba szklana wykonana przez Tomka Urbanowicza w jego pracowni Archiglass. Nagrody otrzymywali projektanci, wykonawcy i inwestor. To niewątpliwie podnosiło zainteresowanie konkursem i samym dziedzictwem.

Jako prezes Oddziału Śląskiego SKZ uczestniczyłem coraz częściej w pracach zarządu ogólnopolskiego lub w organizowanych przez niego przedsięwzięciach. Prezesem SKZ był już wówczas Jurek Jasieńko. Nasza współpraca na polu aktywności społecznej, w tym w SKZ, była coraz ściślejsza. W 2005 r. wszedłem do Zarządu Głównego Stowarzyszenia. Jego warszawska siedziba mieściła się, i nadal mieści, w dawnej oberży na terenie Muzeum Łazienek Królewskich, dzięki życzliwości kolejnych dyrektorów tej instytucji. Spotkania zarządu były początkowo dość częste, łączyliśmy je dodatkowo z innymi wydarzeniami w różnych miejscach w Polsce. W ten sposób miałem okazję dobrze poznać ludzi związanych z konserwacją zabytków w różnych częściach kraju. Niektórzy z nich zostali z czasem moimi serdecznymi przyjaciółmi. Coraz trudniej było mi łączyć aktywność zawodową z działalnością w Zarządzie Głównym i Zarządzie Oddziału Śląskiego SKZ, i dodatkowo w Fundacji. Podjąłem więc decyzję o rezygnacji z przewodniczenia Zarządowi Oddziału Śląskiego.

Stowarzyszenie było coraz bardziej rozpoznawalne w innych środowiskach i instytucjach. Nawiązaliśmy silną współpracę z instytucjami zrzeszającymi historyków sztuki, urbanistów, architektów. Naturalnymi naszymi partnerami były ICOMOS, Towarzystwo Opieki nad Zabytkami Przeszłości i różne ośrodki akademickie kształcące konserwatorów zabytków i konserwatorów dzieł sztuki.

To był właściwy moment, aby zorganizować pierwszy Kongres Konserwatorów Polskich. Pomysłodawcą tej idei był oczywiście Jurek Jasieńko. Kongres, który obradował

w Warszawie przez dwa dni pod koniec 2005 r. w 13 sekcjach, okazał się wielkim sukcesem. Po raz pierwszy po wojnie niemal wszyscy najważniejsi eksperci ochrony i konserwacji zabytków debatowali o stanie i przyszłości ochrony dziedzictwa kulturowego w Polsce i poza granicami. Rezolucja Kongresu stała się kierunkowskazem w działaniu na następne lata dla różnych środowisk związanych z konserwacją zabytków.

To wydarzenie nie było jedynym ważnym czy współorganizowanym przez Stowarzyszenie w tamtym czasie. Zjazdy, konferencje, sympozja, seminaria, targi konserwatorskie organizowaliśmy lub współorganizowaliśmy z różnymi instytucjami niemal co roku. Ja szczególnie zapamiętałem konferencję poświęconą 90-leciu służby konserwatorskiej w Polsce, która odbyła się w pałacu w Wojanowie w 2008 r. Była to konferencja naukowa i jubileuszowe spotkanie środowiskowe. Dla mnie szczególnie ważne, gdyż mogłem zaprezentować, zaraz po zakończeniu prac konserwatorskich, zespół pałacowo-parkowy w Wojanowie.

Ważnym instrumentem działania SKZ jest czasopismo „Wiadomości Konserwatorskie”. Ukazywało się od wielu lat, ale dopiero gdy redaktorem naczelnym został prof. Kazimierz Kuśnierz, a przewodniczącym Rady Programowej prof. Jerzy Jasieńko, zyskało nową rangę i nie chodzi tylko o jego wysoką jakość edytorską, ale przede wszystkim o poziom merytoryczny, międzynarodowych recenzentów artykułów i dwujęzyczność (jest polsko-angielskie). Kwartalnik stał się najważniejszym pismem branżowym.

Niemal od początku swojej działalności Stowarzyszenie ustanawiało nagrody i wyróżnienia, które upamiętniały wybitnych konserwatorów zabytków. Zwyczajowo wręczano je podczas zjazdów lub Międzynarodowego Dnia Ochrony Zabytków. Nagroda im. Hanny Pięnkowskiej i Jerzego Łomnickiego jest pierwszą ustanowioną przez SKZ i przyznawaną corocznie wyróżniającym się i szczególnie zasłużonym konserwatorom. Nagroda im. Gerarda Ciolka wręczana jest za wybitne zasługi na rzecz ochrony krajobrazu i środowiska. Nagroda im. Wojciecha Kalinowskiego wyróżnia wybitne prace badawcze, dokumentacyjne i konserwatorskie. Specjalnie powołana kapituła przyznaje corocznie nagrodę *Conservator Ecclesiae* im. ks. Janusza Pasierba za najwybitniejsze osiągnięcia konserwatorskie w dziedzinie obiektów sakralnych. Ostatnio w 2016 r., dla upamiętnienia osobowości i dzieła wybitnego konserwatora Tadeusza Marii Rutkowskiego, ustanowiono kolejną nagrodę Stowarzyszenia za działalność i badania konserwatorskie w dziedzinie ochrony i dokumentacji zabytków sepulkralnych, a zwłaszcza polskich cmentarzy za granicą. Do tej listy należy jeszcze dodać konkurs na najlepsze prace studialne, badawcze, naukowe oraz popularyzujące w zakresie konserwacji i muzealnictwa.



#### **Kazimierz Kuśnierz**

Profesor Politechniki Krakowskiej, architekt, urbanista. Znamy się głównie z SKZ, ale też z licznych wspólnych wyjazdów i konferencji. Na pierwszy rzut oka poważny i nieco zamknięty, ale w rzeczywistości świetny kompan. Mogę tu przytoczyć jedną z wyjazdowych anegdot. Byliśmy razem w Paryżu na zjeździe ICOMOS-u. Obrady trwały już dwa dni, szczerze mówiąc nic ciekawego wówczas nie ustalono. Zaproponowałem więc Kaziowi dłuższy spacer po Paryżu. Od razu się zgodził i wybrał przejście od siedziby UNESCO ogrodami Tuileries do Luwru. Maszerując i dyskutując postanowiliśmy przysiąść w cieniu małego bistra na lampkę białego, chłodnego wina. Po pokonaniu kolejnych kilkuset metrów obaj zdecydowaliśmy się powtórzyć ten świetny pomysł. W ten sposób do Luwru maszerowaliśmy pewnie trzy-cztery godziny, przystając przy innych kafeteriach. Będąc już na lekkim rauszu Kazik, który m.in. nauczał studentów o barokowych założeniach francuskich, siarczyście zaklął i rzucił: „Już nigdy nie będę prowadził zajęć dla studentów o Luwrze, skoro aby do niego dojść, trzeba aż czterech godzin”. Potem zaproponował mi lampkę wina przy pobliskim bistrze.

Tak szeroka lista różnych aktywności Stowarzyszenia najlepiej ilustruje, jak zajmujące było zasiadanie w Zarządzie Głównym, choć od razu należy dodać, że ta praca obciążała głównie prezesa Zarządu i sekretarza generalnego Stowarzyszenia, a zdecydowanie mniej pozostałych członków, do których i ja się zaliczałem. Po Jurku Jasieńce funkcję prezesa przejął prof. Andrzej Kadłuczka, a sekretarzem generalnym przez wiele kadencji był nieoceniony Jacek Rulewicz. To jemu z całą pewnością należy przypisać wiele z wymienionych wyżej dokonań, szczególnie administracyjnych.

## Rada Ochrony Zabytków

W 2004 r. zostałem powołany przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego do Rady Ochrony Zabytków. Było to w czasach rządów ministra Waldemara Dąbrowskiego z SLD. Podkreślam tu przynależność partyjną ministra tylko dlatego, że pozostałem w Radzie przez kolejne kadencje, gdy rządziły już inne partie i opcje polityczne. Mogę zatem oceniać podejście różnych rządów i różnych ministrów kultury do problemów ochrony dziedzictwa kulturowego.

Rada Ochrony Zabytków to ciało doradcze ministra, bez wyraźnych kompetencji, ale z ważnym głosem doradczym. Byłem oczywiście bardzo dumny, że znalazłem się w gronie kilkunastu osób, które doradzają ministrowi i stanowią jego merytoryczne zaplecze w dziedzinie konserwacji i ochrony zabytków. Tym bardziej, że były to rzeczywiście znakomitości w dziedzinie ochrony dziedzictwa. Szybko się jednak przekonałem, że wpływ Rady na ważne decyzje, szczególnie ustawowe, jest niewielki. Owszem, dyskutowaliśmy o różnych niezbędnych zmianach w systemie ochrony zabytków, w tym o większych środkach finansowych na skuteczną ochronę, kompetencjach służb konserwatorskich, ich podległości, ale dla żadnego rządu nie był to priorytet. W konsekwencji uznałem, że Rada jest raczej ciałem dyskusyjnym niż decyzyjnym. Owszem, jest kilka obszarów, w których decyzje Rady są konieczne – np. opinia w sprawie uznania zabytku za Pomnik Historii, zatwierdzenie Krajowego Programu Ochrony Zabytków, opinia w sprawach ustawowych dotyczących ochrony i konserwacji, ale pozostałe uchwały i decyzje Rady mają raczej charakter postulatywny. Niemniej jednak współpraca w Radzie z wybitnymi postaciami polskiej konserwacji była dla mnie zawodowo bardzo ważna. Poznałem tam grono znamienitych profesorów i z wieloma z nich przez lata współpra-



cowalem merytorycznie, a z niektórymi się zaprzyjaźniłem. Byli wśród nich m.in. Andrzej Rottermund, Andrzej Tomaszewski, Andrzej Kadłuczka, Jan Tajchmann, Bogumiła Rouba, Andrzej Koss, Jadwiga Łukasiewicz, Aleksander Bohm, Piotr Gerber, Zbigniew Myczkowski. Spotkania Rady miały najczęściej miejsce w siedzibie Ministerstwa Kultury na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie, ale co jakiś czas odbywaliśmy spotkania wyjazdowe w ciekawych obiektach historycznych, m.in. w Łańcucie, Radzikowie, Gdańsku, Krakowie czy Karpnikach. Jednak nasze kontakty w Radzie nie ograniczały się jedynie do posiedzeń zwoływanych przez ministra. Uczestniczyliśmy niemal wszyscy w wielu innych wydarzeniach, które dla środowiska były istotne – w uroczystościach jubileuszowych ważnych instytucji kultury, kongresach, otwarciach znaczących instytucji dla dziedzictwa narodowego, muzeów, obiektów, itp. To pozwoliło nam lepiej się poznać i rozumieć.

Moją przyjaźń z wieloma z tych osób zawdzięczam też Jurkowi Jasieńce. To on, znając je znacznie dłużej i lepiej, przelamywał szybko wszelkie bariery i w bardzo naturalny sposób, charakterystyczny tylko dla niego, przybliżał ludzi do siebie, w tym mnie do swoich znajomych. Ciągle mam w pamięci tak ważne dla mnie spotkania z prof. Andrzejem Tomaszewskim, wielkim entuzjastą Kotliny Jeleniogórskiej, ambasadorem tego miejsca, jak sam o sobie mówił. Andrzeja Michałowskiego, jednego z pierwszych, który na nowo odkrywał Kotlinę Jeleniogórską, poznałem wiele lat temu. Widywaliśmy się na konferencjach czy spotkaniach w Bad Muscau, Warszawie, Krakowie, ale nigdy w Kotlinie Jeleniogórskiej. Obaj bardzo tego żalowaliśmy, gdyż nie miałem okazji pokazać mu zmian, jakie nastąpiły od 2000 r.

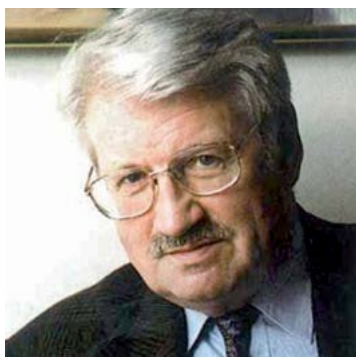
Członkiem **Polskiego Komitetu Narodowego ICOMOS** zostałem w 2008 r. Osobami wprowadzającymi mnie do grona specjalistów tej organizacji byli Jurek Jasieńko i Andrzej Kadłuczka. ICOMOS – The International Council on Monuments and Sites – Międzynarodowa Rada Ochrony Zabytków i Miejsc Historycznych – powołana została do życia w 1965 roku, na kongresie założycielskim w Warszawie. Jest to organizacja pozarządowa o zasięgu międzynarodowym, afiliowana przy UNESCO. Do jej głównych zadań należy rozpowszechnianie metod ochrony dziedzictwa kulturowego i konserwacji zabytków, wspieranie nowych badań dotyczących teorii i technologii służących przetrwaniu historycznego dziedzictwa: budowli i zespołów architektonicznych, założeń urbanistycznych i historycznych miast, założeń pałacowo-ogrodowych i rezydencjonalnych oraz miejsc archeologicznych i krajobrazu kulturowego. Ważną formą działalności jest opiniowanie



#### **Andrzej Kadłuczka**

Profesor Politechniki Krakowskiej, jestem przekonany, że to jeden z najbardziej cenionych architektów w Europie, jeżeli chodzi o tzw. trudne konserwacje. Często powtarza hasło: konserwacja – kreacja, co w skrócie oznacza łączenie starego z nowym, substancji zabytkowej ze współczesnymi rozwiązaniami. To nie zawsze jest dobrze widziane przez konserwatywne środowisko, szczególnie w Polsce. Ale Andrzej walczył twardo o swoje racje i często wówczas przypominał młodzieniaszka, a nie emerytowanego profesora. To z nim i z Jurkiem odbywałem najczęściej podróże do Toskanii. Nazywaliśmy Andrzeja też MacGyverem, bo zawsze używał najnowszych urządzeń elektronicznych, jakie ukazały się na rynku. Chciał mieć kontakt z uczelnią, pracownią i często potrzebował przesyłać duże pliki projektowe. Kupował więc jakieś nowe telefony, tablety z różnymi dodatkami, które to miały ułatwiać. Ale zawsze nas bawiło, jak w czasie jazdy próbował rozgryźć te nowinki przez kilka godzin, a później często twierdził: „To g..., znowu dałem się wpuścić”.

Muszę jeszcze dodać, że trzy lata temu został uhonorowany prestiżową nagrodą *Premio Europeo Lorenzo il Magnifico* przyznawaną przez Międzynarodową Akademię Medycejską we Florencji wybitnym postaciom ze świata kultury, nauki, biznesu.



### Andrzej Michałowski

Twórca i dyrektor nieistniejącego już dziś Ośrodka Ochrony Zabytkowego Krajobrazu – jednej z pierwszych instytucji kultury w Europie zajmujących się nie tylko ochroną zabytków, ale całym obszarem kulturowym. To on prowadził w Kotlinie Jeleniogórskiej pierwsze warsztaty dla studentów, identyfikował miejsca nieistniejących budowli, inwentaryzował te najbardziej zagrożone. Chciał, aby jego instytucja objęła opieką ten obszar, podobnie jak park w Bad Muskau. Jego doświadczenia z końca lat 90. były bardzo cenne dla nas na początku zajmowania się Doliną Pałaców i Ogrodów. Spotykaliśmy się wielokrotnie w Warszawie, w parku Pücklera, na różnych konferencjach, ale niestety nigdy w Kotlinie Jeleniogórskiej. Dr Michałowski zawsze sekundował działaniom naszej Fundacji. Jeśli wiedział, że będę na jakimś spotkaniu czy wydarzeniu, czatował na mnie – jak podkreślał – aby dowiedzieć się, co nowego w Kotlinie. Opowiadałem mu o wszelkich pracach. Bardzo żałował, że zdrowie i wiek nie pozwalają mu na podróż w nasze okolice. Po rozwiązaniu jego ośrodka, a dokładniej po jego przekształceniu, zainteresowanie Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego skupiło się tylko na Bad Muskau.

obiektów kandydujących do wpisu na Listę Światowego Dziedzictwa (World Heritage List) oraz monitorowanie miast, miejsc i obiektów polskich znajdujących się na Liście. ICOMOS zrzesza około 10 800 członków z ponad 110 krajów świata. Są to wybitni eksperci w zakresie konserwacji i ochrony dziedzictwa, historycy, historycy sztuki, architekci, urbaniści, archeolodzy, geografowie, antropolodzy i prawnicy. Polski Komitet Narodowy ICOMOS zrzesza ponad 200 krajowych specjalistów z zakresu ochrony dziedzictwa i konserwacji zabytków. Celem organizacji jest popularyzacja za granicą polskich osiągnięć w dziedzinie ochrony zabytków oraz przeniesienie na nasz grunt najlepszych doświadczeń zagranicznych.

Moja działalność w organizacji nie była nigdy zbyt aktywna. Co prawda uczestniczyłem w niektórych konferencjach organizowanych przez poszczególne komisje, w ramach których pracują członkowie, ale to w zasadzie cała moja aktywność, nie licząc oczywiście zjazdów krajowych czy zgromadzenia generalnego organizowanego co 4 lata, adresowanych do wszystkich członków ICOMOS, w których regularnie biorę udział. W 2011 r. po raz pierwszy uczestniczyłem w zgromadzeniu w Paryżu w siedzibie UNESCO. Było to ważne doświadczenie, gdyż mogłem się przekonać, jak podejmowane są na szczeblu międzynarodowym pewne ważne dla nas, konserwatorów, decyzje, które później nas również obowiązują. Kolejny zjazd odbył się w 2015 r. we Florencji.

## Współpraca z urzędującymi konserwatorami zabytków

Po kilkudziesięciu latach mojej pracy zawodowej i współpracy z urzędującymi konserwatorami zabytków, mogę dokonać pewnych ocen dotyczących ich roli i znaczenia w procesie ochrony i zachowaniu zabytków. I nie ma w tym żadnych odniesień personalnych. Chodzi mi jedynie o rolę, jaką odgrywali urzędujący konserwatorzy w zachowaniu dziedzictwa w ostatnich latach i jak ona ewoluowała. Rola urzędnika konserwatora jest bowiem niezwykle ważna. Może być kreatywna, konstruktywna, wspomagająca, zachęcająca, pomagająca inwestorom w ratowaniu i konserwacji zabytku, ale może być li tylko egzekucyjna, administracyjna, dokumentacyjna i *stricte* urzędnicza, innymi słowy – zniechęcająca.

Gdy na początku swojej pracy zawodowej zajmowałem się kościołem garnizonywym i kamienicą Rynek 6 we Wrocławiu, budowy odwiedzał często ówczesny dolnośląski

konserwator wojewódzki Józef Cempa. Były to z jednej strony zapowiedziane i umawiane wizyty, podczas których podejmowano jakieś istotne decyzje realizacyjne z projektantami, wykonawcami i inwestorem. Ale pamiętam też jego wizyty niezapowiedziane, nieoficjalne, gdy po prostu wpadał na budowę, chciał, żeby pokazać mu postęp prac, jakieś ewentualne „odkrycia”. Czasami przychodził w towarzystwie gości, którym zapewne pokazywał wrocławskie konserwacje. Pamiętam, że miałem z nim dobry kontakt i gdy pojawiały się jakieś ważne problemy, szczególnie w kamienicy Rynek 6, to można było liczyć na jego szybkie decyzje, niemal telefoniczne.

Podobne relacje i kontakty miałem przez lata z Andrzejem Kubikiem, który jako konserwator walbrzyski nadzorował chociażby prace w zespole pałacowym w Krzyżowej. Pojawiał się również często na budowie. Uczestniczył w odbiorach częściowych, naradach i spotkaniach projektowych. Były to zawsze spotkania kończące się kolejnymi ustaleniami i uzgodnieniami, które później trafiały do wszystkich w formie pism, decyzji czy zaleceń. Podobnie było w relacjach z następczynią Andrzeja Kubika, Barbarą Obelindą, podczas spotkań w Kościele Pokoju w Świdnicy. Takie samo podejście do problemów konserwatorskich wykazywał Wojciech Kapalczyński, konserwator jeleniogórski, chociażby podczas realizacji zamku w Kliczkowie, pałacu w Radomierzycach czy Dworu Czarne w Jeleniej Górze. We Wrocławiu świetne kontakty mieliśmy z Katarzyną Hawrylak-Brzezowską, konserwatorem miejskim, która z równą determinacją co my chciała rozwiązywać różne pojawiające się problemy na budowach. Takie relacje bardzo pomagały w szybkim i sprawnym prowadzeniu konserwacji. Urzędujący konserwatorzy podejmowali decyzje na miejscu, w innych przypadkach szybko powoływali komisje konserwatorskie, zamawiali jakieś ewentualne dodatkowe ekspertyzy i nigdy nie hamowali inwestycji. Byli też otwarci na sugestie wykonawców czy inwestorów, jeżeli w czasie prac pojawiały się jakieś nowe odkrycia lub inne okoliczności. I nie zakładam tu, że takie relacje mieliśmy z nimi tylko my, ze względu na fakt wieloletniej znajomości. Sądzę, a nawet wiem, że tak działali w stosunku do innych wykonawców i projektantów.

Jednak w ostatnim czasie coraz częściej słyszę od moich kolegów czy projektantów, że urzędujący konserwatorzy zabytków przeciągają wydawanie decyzji, unikają spotkań, nie podejmują żadnej polemiki. Działają dość arbitralnie i nie dopuszczają innych ocen, jak swoje własne. Nie chodzi tu o konkretne osoby czy urzędy, ale o pewną stałą tendencję, która towarzyszy wydawaniu decyzji i generalnie pracy urzędów konserwatorskich. Gdy próbowałem bliżej poznać problem okazało się, że taka postawa nie wynika



#### **Andrzej Kubik**

Dziś emerytowany dolnośląski konserwator zabytków. Miałem z nim świetny kontakt, gdy był konserwatorem w Wałbrzychu, a my realizowaliśmy na jego terenie różne inwestycje, w tym przez wiele lat pałac w Krzyżowej. Spotykaliśmy się na budowach albo u niego w biurze. Był zawsze dostępny i chętny do dyskusji o różnych wariantach czy rozwiązaniach wykonawczych, jakie czasami proponowaliśmy. Był też bardzo towarzyski. Zapraszaliśmy go na tzw. wiechy, czyli zakończenia inwestycji. Czasami pojawiał się z gitarą i był duszą towarzystwa. Gdy jednak został konserwatorem dolnośląskim, jakby zamknął się w swoim gabinecie, trudniej go było namówić na spotkanie, rzadziej się pokazywał na budowach, ale nasze relacje nigdy się nie zmieniły. Gdy przeszedł na emeryturę, zaproponowałem mu wejście do Rady Fundacji Doliny Pałaców i Ogrodów Kotliny Jeleniogórskiej, co, jak przyznał, bardzo go ucieszyło.



### **Katarzyna Hawrylak-Brzezowska**

Miejski konserwator zabytków we Wrocławiu. Spotykaliśmy się często na naszych wrocławskich budowach, ale też na zjazdach czy konferencjach konserwatorskich. Zawsze będę pamiętała jej jednoznaczne podejście do zabytku: trzeba go koniecznie uratować. Jak dostawała marny projekt, wysyłała architektów na tzw. dojrzewanie, ale zawsze wskazując największe mankamenty i zakładając poprawę złych rozwiązań. Podpowiadała, jak wyjść z wielu „pułapek”, jak podejść do trudniejszych zagadnień konserwatorskich. Jako konserwator miejski była właściwie instytucją. Częściej używano jej nazwiska lub imienia, niż nazwy urzędu. Nie pamiętam szczególnie anegdotycznych sytuacji z Kasią, ale wciąż mam w pamięci, jak czasami wkurzony jakąś sytuacją czy zdarzeniem, pod koniec pracy dzwoniłem do niej z pytaniem, czy nie wypijemy teraz razem jakiegoś piwa. Nigdy, chyba nigdy, nie usłyszałem odmowy i do tego Kasia często wynajdywała ciekawe nowo otwarte knajpki, gdzie podawano piwo. Tam trochę dyskutowaliśmy o naszym środowisku i moje emocje mijały.

z jakiejś złej woli konserwatorów, ale jest skutkiem innych okoliczności. Konserwatorzy nie są w rzeczywistości rozliczani czy oceniani z postępu prac konserwatorskich na swoim terenie, liczby lub jakości realizacji konserwatorskich, wykonania programów konserwatorskich obowiązujących w regionie, ale z liczby wydanych decyzji administracyjnych lub ich uchyleń. Decyzje te w małym stopniu dotyczą samych zabytków. Związane są raczej z obszarami chronionymi urbanistycznie czy archeologicznie. Dotyczą obiektów nowo wznoszonych i infrastruktury. To oczywiście wymusza zajmowanie się setkami, a nawet tysiącami inwestycji, które nie są zabytkami. A cierpią na tym właśnie zabytki. Zatem to nie merytoryczne pochylanie się nad problemem konserwatorskim stanowi o ocenie pracy konserwatorów zabytków, ale zupełnie inne czynniki. Osobnym zagadnieniem są działania deweloperów, również w staromiejskiej zabudowie historycznych miast. To nowe, bardzo częste w ostatnim czasie zjawisko, cechuje intensyfikacja zabudowy, szczególnie na obszarach pozbawionych planu miejscowego zagospodarowania terenu. Stanowi ono dla historycznych miast poważne zagrożenie. Konserwatorzy zabytków czują się trochę bezsilni wobec kancelarii prawnych reprezentujących dużych inwestorów, którzy często naginają przepisy i standardy do swoich celów. Stąd konserwatorzy stają się bardziej arbitralni. Ale zarówno zakusy deweloperów, jak i brak szybkich decyzji konserwatorskich należy ocenić krytycznie. To nie służy zabytkom i ich ochronie.

I wreszcie ostatnia moja refleksja w tej sprawie: wykształcenie konserwatorów zabytków. Już dawno zauważyłem pewną prawidłowość. Im wykształcenie urzędnika podejmującego decyzję jest bardziej techniczne, np. gdy jest to architekt, tym bardziej można się spodziewać, że lepiej rozumie proces inwestycyjny, konieczność pewnych decyzji i tym łatwiej o kompromis, który często jest niezbędny, aby obiekt uratować. Gdy urzędnikiem wydającym decyzję jest absolwent uniwersytetu, historyk sztuki, kulturoznawca, konserwator detalu, to wówczas o takie zrozumienie znacznie trudniej, gdyż taki konserwator nie zawsze rozumie uwarunkowania techniczne, konstrukcyjne czy funkcjonalne obiektu. Koncentruje się na ładzie architektonicznym, estetyce, detalu, kolorystyce itp. To nie jest kwestia niewiedzy czy niezrozumienia, to jest kwestia sposobu myślenia.

Mógłbym tu podać wiele przykładów braku właściwych decyzji, które doprowadziły wręcz do zniknięcia zabytku z powierzchni ziemi. Przypomina mi się anegdota, którą czasami powtarza się na spotkaniach środowiskowych. Jeden z bardziej doktrynalnych wojewódzkich konserwatorów zabytków, przedstawiając na pewnej konferencji cenny obiekt z regionu, omawiał wyniki badań historycznych, architektonicznych, archeologicznych za-

bytku, w tym liczne badania stratygraficzne ścian, stropów i słupów, inwentaryzacje detali i elementów konstrukcyjnych wraz ze stanem ich ówczesnego zachowania. Podkreślał przy tym swoją wielką zasługę – fakt, że zmusił inwestora do tak szczegółowych i profesjonalnych opracowań, które świetnie ilustrują i dokumentują przekształcenia i nawarstwienia w obiekcie. Równocześnie stwierdził, że niestety nie mógł zatwierdzić przedstawionego przez inwestora projektu (pomimo złego stanu technicznego zabytku), gdyż ten nie spełniał podstawowych oczekiwań konserwatora, szczególnie w zakresie wprowadzania nowych ciągów komunikacyjnych, w tym nowej klatki schodowej. Wystąpienie zakończył konkluzją, że jest to jeden z najlepiej przebadanych, rozpoznanych i udokumentowanych obiektów postindustrialnych w województwie. W dyskusji zabrał głos jeden z uczestników konferencji, autor owego projektu i zapytał konserwatora, czy jednak nie żałuje swojej decyzji, w wyniku której inwestor zrezygnował z adaptacji, a zrujnowany obiekt zniknął już z powierzchni ziemi.

Nie chcę oczywiście oceniać tej decyzji i tego projektu, gdyż go nie znam, ale nie sądzę, aby nie można było znaleźć kompromisu pomiędzy oczekiwaniami konserwatora a wymogami użytkowymi dotyczącymi nowych funkcji w obiekcie historycznym i w ten sposób uratować obiekt, szczególnie tak cenny, jak twierdził konserwator.

Inne relacje miałem oczywiście z generalnymi konserwatorami zabytków. Mój kontakt z nimi wiązał się głównie z członkostwem w Radzie Ochrony Zabytków. Bo choć było to formalnie ciało doradcze Ministra Kultury, to w rzeczywistości posiedzenia Rady odbywały się prawie zawsze z udziałem generalnego konserwatora zabytków, a nie ministra. Do 2002 r. funkcję tę pełnił zawsze merytoryczny, zasłużony autorytet na polu ochrony dziedzictwa, że wymienię chociażby Jana Zachwatowicza, Bohdana Rymaszewskiego, Wiktora Zina, Andrzeja Tomaszewskiego, Aleksandra Brodę. Ale później, gdy zostałem już członkiem Rady, konserwator generalny stał się częścią aparatu Ministerstwa Kultury i miał rangę wiceministra. To wiązało się z upolitycznieniem tego stanowiska i powiązaniem go z wyborami parlamentarnymi i zmianami gabinetów. Od tej pory generalnymi konserwatorami byli politycy, którzy z konserwacją mieli niewiele wspólnego. Z wykształcenia byli np. polonistami czy fizykami. Można by przypuszczać, że taka sytuacja będzie miała bardzo negatywny wpływ na działania Generalnego Konserwatora Zabytków, ale muszę przyznać, że prawie w każdym przypadku mieliśmy do czynienia z pewną prawidłowością, która w sumie była pozytywna. Początkowo nowi konserwatorzy rzeczywiście nie mieli specjalnego pojęcia o problemach ochrony i sytuacji środowiska konserwatorskiego, ale

z czasem widać było, że chcą ten stan zmienić. Wszelkimi dostępnymi sposobami starali się szybko poznać najważniejsze zagadnienia, wsłuchiwali się w głos różnych gremiów, w tym Rady. Później, stawali się rzeczywiście dobrze zorientowanymi urzędnikami. Dodatkowo byli bardzo zaangażowani i rzeczywiście mieliśmy w nich, jako środowisko, wsparcie i zrozumienie w wielu sprawach. Gdy ich wiedza i zaangażowanie dawały najlepsze owoce, gdy już przestawali mówić o sobie jako o politykach i wiceministrach kultury, ale o generalnych konserwatorach zabytków, to przychodziły kolejne wybory i zmiany na tym stanowisku. Kolejni niezorientowani generalni konserwatorzy musieli przechodzić tę samą drogę, co poprzednicy i tak to trwa od wielu kadencji. Ale w sumie pozytywnie oceniam współpracę z Ryszardem Miklińskim, Tomaszem Mertą czy Piotrem Żuchowskim. O obecnej pani konserwator Magdalenie Gawin nie mogę mówić zbyt wiele, gdyż od ponad dwóch lat nie uczestniczę, z powodu choroby, w posiedzeniach Rady. Jedno mogę powiedzieć na pewno, początek był taki, jak u poprzedników.

## Fundacja Romualdo Del Bianco

Paola Del Bianco, prezydenta Fundacji poznałem w 2002 r. na konferencji REMO 2002, którą organizowałem razem z Jurkiem Jasieńką w Kliczkowie. Był postacią bardzo barwną, skupiającą na sobie uwagę wielu uczestników. W niemal każdym gronie dominował swoim donośnym głosem i gestykulacją, którą ożywiał każdą rozmowę. Pamiętam, że po konferencji odwoziłem go samochodem do Wrocławia, razem z innymi gośćmi z Włoch. Miałem więc okazję dowiedzieć się więcej o jego działalności we Florencji. Ale wówczas działalność jego Fundacji nie była dla mnie szczególnie interesująca. Kiedy jednak po kilku latach sam powołałem Fundację Doliny Pałaców i Ogrodów Kotliny Jeleniogórskiej i zacząłem poszukiwać wzorców do jak najlepszego jej działania, przypomniałem sobie o Paolu i jego organizacji. Zresztą nigdy nie straciłem kontaktu z fundacją florencką, chociażby dlatego, że Jurek, który często tam bywał na różnych spotkaniach, przypominał mi o jej istnieniu i aktywności podczas naszych rozmów. Podobne relacje o Paolu miałem od Andrzeja Kadłuczki czy Andrzeja Tomaszewskiego, którzy od wielu lat bardzo blisko współpracowali z fundacją z Florencji.

Moje zainteresowanie wzrosło dodatkowo, gdy dowiedziałem się, że po nagłej śmierci prof. Andrzeja Tomaszewskiego, główną salę audytoryjną w centrum konferencyjnym



Fundacji Paolo nazwał imieniem zmarłego Profesora, wydał specjalną publikację o nim i podkreślał jego zasługi dla współpracy konserwatorskiej. To był dla mnie ważny sygnał lojalności i bardzo szlachetny gest wobec wieloletniego współpracownika i przyjaciela. Namówiłem więc Jurka Jasieńkę, abyśmy razem pojechali do Florencji, gdy będzie się tam znowu wybierał. Jerzy twierdzi zresztą, że to była jego inicjatywa, a nie moja, ale to najmniej istotne. Pojechaliśmy więc razem na tradycyjny okrągły stół ekspertów Fundacji, który Paolo organizuje zawsze w listopadzie. Było to w 2011 r. Andrzej Kadluczka i Jerzy Jasieńko mieli jakieś swoje spotkania w ramach okrągłego stołu, a ja miałem okazję poznać strukturę Fundacji, jej pracowników i partnerów. Wielkie wrażenie zrobiła na mnie liczba współpracujących z Fundacją podmiotów. Były nimi instytucje kultury, wyższe uczelnie artystyczne i konserwatorskie, samorządy i organizacje pozarządowe z ponad 60 krajów na świecie. Było wśród nich wiele instytucji z Polski, m.in. Uniwersytet Warszawski, Politechnika Krakowska, reprezentację miały miasta Kraków i Toruń. Nie tylko wielość tych organizacji była dla mnie zaskoczeniem, ale ich ranga. Były to ważne międzynarodowe organizacje, m.in. UNESCO, ICOMOS, ICCROM, największe światowe muzea, znane historyczne miasta, znakomite uniwersytety. Imponująco wyglądała również lista organizowanych czy współorganizowanych przez Fundację wydarzeń, spotkań, warsztatów, plenerów, seminariów. Ta działalność rzeczywiście była nadzwyczajna, tym bardziej że chodziło o prywatną fundację. Wyrosła ona z idei promocji materialnego dziedzictwa kulturowego Florencji i Toskanii, ale w ciągu wielu lat ewaluowała w kierunku promocji światowego dziedzictwa niematerialnego, tradycji, zwyczajów i współpracy międzynarodowej przelamującej bariery kulturowe.

Innym doświadczeniem wynikającym z tej wizyty była możliwość zwiedzania niezwykłych miejsc we Florencji, które nie są dostępne dla turystów. To gmachy urzędów miejskich czy regionalnych, które mieszczą się w dawnych reprezentacyjnych, renesansowych pałacach miasta. Po jednej z wizyt, chyba w urzędzie transportu Toskanii, gdzie widziałem wspinałe dekorowane sale i gabinety, choć wyposażone w rozpadające się współczesne szafy i biurka, zapytałem Simone Giometti'ego, sekretarza generalnego Fundacji, czy nie szkoda, że tak wspinałego wnętrza nie pokazuje się turystom. Na to Simone popatrzył na mnie z politowaniem i z uśmiechem powiedział, że w każdym z tych budynków pałacowych, które widać wokół są takie sale i trudno z nich wszystkich zrobić muzea – to Florencja.

Od tego momentu co roku jeździliśmy do Florencji wiosną lub jesienią, czasami dwa razy w roku, na organizowane konferencje, spotkania czy inne wydarzenia. W 2012 r.



#### **Andrzej Tomaszewski**

Moja dobra znajomość, a nawet jakiś rodzaj zażyłości z prof. Tomaszewskim, trwała dość krótko. Poznaliśmy się na posiedzeniu Rady Ochrony Zabytków, ale jakieś bliższe związki i coś, co mógłbym nazwać przyjaźnią pojawiło się podczas otwarcia Wojanowa. Andrzej znał dość dobrze Kotlinę Jeleniogórską, ale początkowo jej nie doceniał. Poprosił mnie wówczas, abym poświęcił mu trochę czasu i pokazał nie te odrestaurowane pałace, ale takie zaniedbane i zrujnowane, zwłaszcza te, których wcześniej nie widział. Taką wycieczkę odbyliśmy po kilku tygodniach. Niestety lało jak z cebra, co dodatkowo pogorszyło obraz tych obiektów. Gdy chcieliśmy dojechać do Mniszkowa, choć od razu zaznaczam, że to nie ruina, wjechaliśmy na skarpe, która się osunęła i samochód o mało nie koziołkował. Zatrzymały go jakieś chaszczce. Przestraszeni, staraliśmy się wyjść z tej opresji w miarę cało i jakoś daliśmy radę. Andrzej miał już dosyć objazdu i zaproponował, żebym o reszcie obiektów opowiedział mu w Wojanowie. Opowieść na tarasie, przy czerwonym winie, trwała do rana. Snuliśmy różne plany promocji Kotliny za granicą, gdzie miał świetne kontakty. Jego nagła śmierć pokrzyżowała te plany.



### **Romuald Maciej Sołdek**

Fotografik, a dokładniej artysta fotografik. Podkreślam to, ponieważ kiedy na początku naszej znajomości przedstawiłem go jako fotografa, długo żywił o to określenie urazę. Współpracujemy od kilkunastu lat, choć znamy się dłużej. Maciek, bo tak go wszyscy nazywamy, fotografuje nasze realizacje do dokumentacji konserwatorskich, robi zdjęcia obiektów Kotliny Jeleniogórskiej, które później wykorzystujemy w naszych wydawnictwach, dokumentuje również ważne wydarzenia dla firmy czy Fundacji. Jest też autorem albumów fotograficznych o Śląsku. Ma na swoim koncie wiele wystaw i nagród. Zaproponował mi kiedyś współpracę przy przedsięwzięciu, które rzeczywiście mogło być ciekawe. Chodziło o wielotomowe wydanie albumu o zamkach i pałacach Dolnego Śląska. Do mnie należało przygotowanie tekstów opisujących obiekty i ich historię, a Maciek miał zilustrować album zdjęciami. Ukazały się dwie części tego projektu, które zaprezentowały ok. 30 pałaców i dworów. Wydawca zrezygnował jednak z kontynuacji. Album był profesjonalny, ale niestety dość drogi.







Jurek zorganizował tam dużą międzynarodową konferencję pt. *Domes in the World*, poświęconą konserwacji najważniejszych i najcenniejszych kopuł wzniesionych w różnych krajach w ciągu kilkuset lat. Pretekstem dla organizacji konferencji była dyskusja o konieczności konserwacji kopuły bazyliki Santa Maria del Fiore. Z kolei ja w 2012 r. podpisałem list o współpracy pomiędzy Fundacją Doliny Pałaców i Ogrodów a Fundacją Romualdo Del Bianco. W 2013 r. zostałem powołany do grona ekspertów fundacji z Florencji.

Nasza współpraca miała znacznie szerszy zasięg. W 2013 r. doprowadziliśmy do zawarcia umowy pomiędzy Fundacją Romualdo Del Bianco a Wrocławiem, rok później Jerzy Jasieńko sfinalizował podpisanie umowy z Politechniką Wrocławską. Wydawało się, że współpraca kulturalna z miastem, które uważane jest za serce kulturowe Europy, szczególnie w przeddzień ustanowienia Wrocławia Europejską Stolicą Kultury, będzie przez samorząd wrocławski skrzętnie wykorzystana. Niestety, tak się nie stało. Wiele tematów, o których rozmawialiśmy we Florencji z udziałem dyrektora Wydziału Kultury Urzędu Miejskiego Wrocławia i przedstawicieli Florencji nie miało swojej praktycznej kontynuacji.

Bardzo zaawansowane były również nasze rozmowy o podpisaniu listu intencyjnego o współpracy Fundacji z Jelenią Górą. Niestety władzom samorządowym zabrakło determinacji, aby sprawę doprowadzić do końca. Nie tylko współpraca z Fundacją była przedmiotem naszych spotkań. Staraliśmy się o bezpośrednie kontakty różnych instytucji Florencji z adekwatnymi instytucjami we Wrocławiu. Między innymi z dyrektorem muzeum Uffizi rozmawialiśmy o wystawie wymiennej – malarstwa śląskiego z przelomu XIX i XX w. we Florencji i pejzażowego malarstwa Toskanii z XIX w. we Wrocławiu. Przygotowaliśmy wizytę i wystawę grafik z wrocławskiej ASP w Akademii Sztuki we Florencji. Przygotowaliśmy konferencję i wyjazd polskich konserwatorów zabytków do Florencji na spotkanie z ich włoskimi i europejskimi odpowiednikami. Ale wszystkie te wydarzenia musieliśmy organizować z instytucjami, które nie do końca były autonomiczne w swoich decyzjach, szczególnie finansowych. ASP we Wrocławiu wystąpiło o wsparcie finansowe dla organizacji wystawy we Florencji, ale gdy środków nie otrzymało, w zasadzie projekt upadł. Wyjazd i spotkanie z konserwatorami włoskimi miał sfinansować Narodowy Instytut Dziedzictwa i nawet Generalny Konserwator Zabytków przyznał środki na ten cel, ale po zmianie ministra i decyzja została zmieniona... To zaczęło być irytujące. Dzięki kontaktom Paola Dell Bianco mieliśmy dostęp do najważniejszych sal wystawowych we Florencji, otwarte drzwi do wielu instytucji kultury w tym mieście, ale nasi krajowi partnerzy nie umieli tego docenić i wykorzystać. W końcu, nieco zrezygnowani, nie angażowaliśmy się dalej w nowe projekty.

Wizyty we Florencji miały dla mnie jeszcze inne ważne znaczenie. Podróże te odbywałem najczęściej w towarzystwie Jurka Jasieńki, Andrzeja Kadluczki i Kazia Kuśnierza. To świetni kompani do wieczornych posiłków, zwiedzania ciekawych miejsc w Toskanii, poszukiwania nowych winnic, ale też do dyskusji o różnych wspólnych przedsięwzięciach konserwatorskich w Polsce. Tam urodziły się pomysły na programy działania Stowarzyszenia Konserwatorów Zabytków, konferencje, wspólne projekty konserwatorskie, wydawnictwa i inne inicjatywy. Kilka dni spędzonych wspólnie dawało nam więcej czasu na różne plany, niż moglibyśmy wygospodarować w codziennym życiu zawodowym w ciągu całego roku. Dyskusjom sprzyjały niewątpliwie klimaty Florencji, widoki miasta z naszego tarasu hotelowego na ostatniej kondygnacji i oczywiście dobre czerwone wino.

Dziś ze względu na moją chorobę nie mogę kontynuować tych interesujących wyjazdów, ale jako Fundacja Doliny Pałaców i Ogrodów Kotliny Jeleniogórskiej dalej uczestniczymy we wspólnych projektach, np. *Life Beyond Tourism*, który stał się głównym tematem aktywności Fundacji Romualdo Del Bianco.

## Fundacja Doliny Pałaców i Ogrodów Kotliny Jeleniogórskiej

Moja aktywność i szczególne zainteresowanie od wielu lat związane jest z Fundacją. Idea jej powołania łączy się ściśle z zespołami pałacowymi w Kotlinie Jeleniogórskiej. Pisałem już wcześniej, że ilością i jakością architektury pałacowej w okolicach Jeleniej Góry byłem oczarowany od momentu, gdy ją poznałem. Szukałem formuły, jak to niezwykle dziedzictwo należy promować, ochraniać, jak uświadamiać o jego istnieniu. Nie miałem żadnej wątpliwości, że to zjawisko kulturowe jest wyjątkowe, unikalne i stanowi niezwykle atut turystyczny i ekonomiczny dla całego regionu. I jest dla mnie kompletnie niezrozumiałe, że ten krajobraz kulturowy jest w naszej powszechnej świadomości nieobecny, nie mówię nawet o polskiej czy dolnośląskiej, ale nawet tej jeleniogórskiej. Potrafiłszy, jako nowi osadnicy na tych terenach, zaakceptować piękno i wyjątkowość Karkonoszy, Rudaw Janowickich, czyli generalnie wartości przyrodnicze, a nie akceptujemy wartości kulturowych tego obszaru. Wiemy wszyscy, że po wojnie było to dziedzictwo niepojęte, obce, poniemieckie. Ale w drugim czy trzecim pokoleniu musimy je traktować jak własne. Tu żyjemy, tu się urodziliśmy i wychowaliśmy. W pamięci nie mamy widoków miast i wsi kresowych, ale te dolnośląskie.



### Krzysztof Korzeń

To pierwszy pracownik Fundacji, historyk sztuki. Z nim zaczynałem całą działalność. Nawet nie pamiętam, kto mi go rekomendował, choć pewnie jego ojciec Janusz Korzeń, urbanista, z którym zasiadałem wspólnie w niektórych gremiach. Krzysztof był niezwykle kreatywny, nawiązywał współpracę z wieloma instytucjami, które mogły być nam potrzebne, świetnie znał właścicieli wszystkich rezydencji. Pisał wnioski o różne dofinansowania, o wpis na Listę Pomników Historii czy jako parku kulturowego. Był niezwykle aktywny medialnie, udzielał wywiadów, sprowadzał do Kotliny dziennikarzy, jak mówi Kasia Smorek, miał „parcie na szkło”. Ale ciągle chciał robić coś nowego, innego. Nużyła go systematyczna, mrówcza praca. W końcu zapytał mnie, czy będę miał coś przeciwko temu, gdyby wystartował w najbliższych wyborach na stanowisko wójta Mysłakowic. Powiedziałem, że nie, a jak nie wygra, to może wrócić do Fundacji. Wyłączył się na wiele miesięcy, później znów poszukiwał nowych możliwości. W końcu założył własną firmę turystyczną.



### Witold Szczudłowski

Dyrektor Związku Gmin Karkonoskich, z siedzibą w pałacu w Bukowcu. Gdy go tam spotkałem pierwszy raz i mówiłem o planach co do parku i folwarku, patrzył na mnie z lekkim politowaniem. On, który znał ten teren lepiej niż wszyscy, wiedział jakie to przedsięwzięcie. Deklaracje współpracy padły. Po kolejnych latach, gdy mozolnie prowadziliśmy prace zabezpieczające w różnych obiektach i częściowo w parku, Witek stwierdził, że chyba jednak coś z tego będzie. Nawet publicznie, jak sam mówi, w pełnej euforii, podczas otwarcia pałacu w Wojanowie powiedział, że mnie kocha za to, co tu robię (co musiał później wielu znajomym tłumaczyć). Ale najważniejsze jest to, że Witek sam podjął szereg inicjatyw, które czynią Bukowiec coraz atrakcyjniejszym miejscem. Założył bibliotekę, gdzie gromadzi wszelkie wydawnictwa o Dolinie Pałaców i Ogrodów Kotliny Jeleniogórskiej, organizuje cykliczną imprezę o nazwie „W gościnie u hrabiny von Reden – Jesień ze sztuką w Bukowcu”, przyjmuje na noclegi artystów, którzy odbywają u niego warsztaty, organizuje spotkania dla dzieci i zaczął uruchamiać w pałacu wystawę o Redenach. Świetny partner do współpracy, choć z samorządem, o którym niewiele dobrego pisałem.

Od samego początku, gdy lepiej poznałem ten region, nie miałem wątpliwości, że to obszar o najcenniejszych walorach kulturowych, choć jego obraz był wówczas zgoła inny niż dziś. Większość dawnych rezydencji pozostawała w stanie katastrofalnym. Opuszczone, nieużytkowane, nawet niezabezpieczone straszły nie tylko turystów, ale nawet mieszkańców. A mimo to widziałem w nich ogromny potencjał. Idea powołania fundacji nie narodziła się od razu. Początkowo sądziłem, że lepszym pomysłem byłoby stowarzyszenie grupujące ludzi związanych z tego typu obiektami na terenie Kotliny Jeleniogórskiej. Ale moje pierwsze spotkania z właścicielami pałaców i dworów nie były zachęcające. W zasadzie tylko Elizabeth von Küster z Łomnicy i Waclaw Dzida ze Staniszoła wyrażali zainteresowanie wspólnymi działaniami, choć też bez wielkiego entuzjazmu. Jednak nie dlatego, że nie doceniali tego dziedzictwa, było wręcz odwrotnie, ale raczej z przekonania, że trzeba zajmować się swoim obiektem, a nie misją promocji regionu, którą powinny realizować instytucje samorządowe. Nie pozostało mi nic innego, jak podjąć to działanie samodzielnie. Powołałem organizację pod nazwą Fundacja Doliny Pałaców i Ogrodów Kotliny Jeleniogórskiej. Zacerpnałem ją z materiałów konferencyjnych, które wydane zostały z okazji spotkania w Łomnicy w 2000 r., a które było poświęcone właśnie temu dziedzictwu. Organizowali je m.in. Andrzej Michałowski i Elizabeth von Küster. Ja jeszcze nie interesowałem się Kotliną, nawet nie wiedziałem o takiej konferencji, zresztą dość kameralnej. Nazwa wydawnictwa była nieco inna, tzn. „Dolina zamków i ogrodów. Kotlina Jeleniogórska – wspólne dziedzictwo”. Aby Fundacja nie kojarzyła się za bardzo personalnie postanowiłem, że jej fundatorem nie będzie osoba prywatna, ale podmioty gospodarcze utworzone w obiektach pałacowych, w które się zaangażowałem z przyjaciółmi, czyli Pałac Wojanów, Paulinum i Pałac Dębowy w Karpnikach. W ten sposób starałem się podkreślić wielość podmiotów zainteresowanych dziedzictwem regionu. Był to czas, gdy fundacje nie były jeszcze zbyt popularną formą aktywności.

Statut pisałem mając na uwadze trzy podstawowe cele, jakie powinna realizować Fundacja: ochrona, promocja i właściwe wykorzystanie obiektów rezydencjonalnych Przedgórz Karkonoszy. Unikalność krajobrazu kulturowego tego obszaru była przesłanką nadrzędną. Nie będę się zbytnio rozpisywał na tematy ideowe, wartościowe czy historyczne, ale muszę podkreślić, że dość szybko udało mi się wzbudzić zainteresowanie regionem różnych instytucji, co zaowocowało coraz częściej pojawiającym się stwierdzeniem, że Dolina Pałaców i Ogrodów Kotliny Jeleniogórskiej to marka turystyczna warta promocji. Ale niestety innego wsparcia nie uzyskałem i muszę przyznać, iż było dla mnie poważnym

zaskoczeniem, że samorządy różnego szczebla nie chciały tego wykorzystać. Mam tu na myśli głównie władze samorządowe Dolnego Śląska. Jak zwykle pojawiał się problem kadencyjności władz. Jak udało mi się rzeczywiście zainteresować marszałka województwa lub wojewodę terenem DPiO, to zanim doszło do konkretów, czyli jakichś szerszych działań z udziałem poważnych instytucji, przychodziły wybory i zmiany personalne usuwały ludzi ze stanowisk, a wraz z nimi najciekawsze pomysły wspólnych działań na rzecz tego obszaru.

Jak zwykle pozostała droga kroczenia samodzielnie. W Fundacji pracowały już dodatkowe osoby, historycy sztuki – Krzysztof Korzeń oraz bardzo energiczna i zaangażowana Kasia Smorek. Oboje zresztą byli bardzo oddani sprawom Fundacji. Wprawdzie Krzysztof już z nami nie pracuje, ale jest nadal aktywny turystycznie na tym terenie. Wkrótce dołączyła do nas Grażyna Kolarzyk, która wcześniej była dyrektorem Pałacu Paulinum, a w Fundacji objęła również stanowisko dyrektora. Kobieta wulkan, dziesiątki pomysłów, inicjatyw, propozycji. Zajmowaliśmy się początkowo głównie promocją tego niezwykle miejsca. Organizowaliśmy wystawy *study tours* dla dziennikarzy, wydawaliśmy publikacje o Dolinie Pałaców i Ogrodów, występowaliśmy z prezentacjami na różnych konferencjach i spotkaniach. Owocem tych działań i zabiegów był wpis pałaców Kotliny Jeleniogórskiej na Listę Pomników Historii. To najwyższa forma uznania dla zabytku w Polsce. Nasz wniosek w tej sprawie uzyskał podpis Prezydenta RP w 2012. Później udało się nam zaprosić Prezydenta Bronisława Komorowskiego na krótką wizytę do Pałacu Paulinum.

Grażyna zaczęła organizować pierwsze wydarzenia kulturalne w różnych pałacach i innych obiektach historycznych Kotliny. Zyskaliśmy w tym czasie wielu sojuszników w regionie. W ten sposób realizowaliśmy jedno z założeń, czyli promocję obszaru i kreowanie marki turystycznej. Zdobyliśmy w tym czasie pierwsze nagrody i wyróżnienia.

Moim głównym celem w ostatnich latach stał się **Bukowiec**. Największe romantyczne założenie parkowe w Polsce, pierwsza w tej części Europy *ornamental farm*, promieniująca na pozostałe rezydencje w XIX w. Założenie parkowe i folwark były całkowicie zdegradowane, w pałacu mieściła się siedziba Związku Gmin Karkonoskich. Wiedziałem, po wielu rozmowach, że parkiem i folwarkiem nikt się nie zajmie i nikogo to nie interesuje, łącznie z właścicielem czyli Agencją Własności Rolnej Skarbu Państwa. Uważałem, że uratowanie tego zespołu jest jednym z najważniejszych zadań dla ludzi chcących ratować zabytki Kotliny Jeleniogórskiej, a więc dla Fundacji.



#### Grażyna Kolarzyk

Jak już pisałem, to wulkan energii, zawsze załatwia kilka spraw równocześnie. Moje uwagi, aby zwolniła i w większym porządku realizowała różne zadania, traktuje jak dobre rady, ale niekoniecznie dla niej. Jest wielką entuzjastką różnych wydarzeń kulturalnych, szczególnie teraz, gdy w Bukowcu mamy do tego świetne zaplecze. Gdy rozmawiamy telefonicznie na początku roku, ja powtarzam, aby z części planowanych wydarzeń artystycznych zrezygnować. Szkoda czasu i pieniędzy. Grażynka zawsze przyznaje mi rację, po czym po kilku dniach na stronie internetowej znajdują program działań kulturalnych Fundacji, większy i bogatszy niż w roku poprzednim. Nie wiem, czy to się da zmienić. A właściwie wiem – nie da się. Teraz, w czasie mojej choroby, Grażyna musiała przejąć wszystkie sprawy Fundacji, w tym te inwestycyjne, parkowe, edukacyjne. Bałem się, jak sobie z tym wszystkim poradzi, znając jej charakter i styl pracy. Cóż, mogę powiedzieć, że zrealizowała wszystko znakomicie. Co oznacza, że można robić wiele rzeczy i nie do końca być takim uporządkowanym.



### **Katarzyna Smorek**

Historyk sztuki, pojawiła się w Fundacji 10 lat temu na stażu, który studenci muszą odbywać przed uzyskaniem dyplomu. Zarekomendował ją Krzysztof Korzeń. Jednak od początku Kasia widziała w Fundacji nie tyle miejsce praktyki, co przyszłej pracy zawodowej. Zajmowała się właściwie wszystkim. Organizowała wystawy, spotkania, pisała wnioski o dofinansowanie, prowadziła całą korespondencję. Zawsze uśmiechnięta, pełna energii i zapału. Wpadała często do mojego gabinetu z nowymi pomysłami promującymi DPIO czy innymi sprawami Fundacji i nie wychodziła, dopóki nie skończyła przedstawiać swojego pomysłu. To byłoby oczywiście bardzo dobre, gdyby nie fakt, że Kasia mówi bardzo długo, szybko i dużo. Często myślałem, że chce coś osiągnąć poprzez zamęczenie rozmówcy. Musiałem jakoś to zdecydowanie przerwać i jak Kasia wchodziła mówiłem, że ma tylko 5 minut. Gdy prosiłem ją o jakieś informacje, starałem się tak formułować pytanie, aby padła prosta odpowiedź: tak lub nie. Na początku to mi się nawet udawało, ale później Kasia mnie złamała i po słowie „tak” musiała całą sytuację dokładnie przedstawić. Może się wydawać, że to, co piszę o Kasi jest krytyczne, ale od razu dodaję, że to zła interpretacja. Kasia jest niezastąpiona.

Podjąłem starania o przejecie od AWRSP parku i folwarku. Sądziłem, że tak wyjątkowe miejsce jakoś, ze wsparciem publicznym, podniesiemy z ruin. Ale nie przypuszczałem, że to zadanie okaże się tak niezwykle skomplikowane i długotrwałe. Dopiero po kilku latach od pierwszych starań odkupiliśmy folwark i przekazano nam część historyczną parku. Przez tych kilka lat obserwowałem, jak postępuje jego dewastacja. Nie będąc właścicielem niewiele mogliśmy zrobić, ale przygotowaliśmy niezbędne projekty, programy i byliśmy niejako „w blokach startowych”. Pozyskiwanie środków publicznych na rewitalizację okazało się też znacznie trudniejsze niż sądziłem. Prace posuwały się więc powoli, ale krok po kroku kolejne obiekty folwarczne i sam park, dzięki różnym, czasami niewielkim, dotacjom, były rewaloryzowane. Zwiększała się załoga Fundacji. Parkiem zajmował się mój przyjaciel jeszcze z czasów przedszkolnych Ryszard Kukła, który był jego wielkim entuzjastą, oraz bracia Mariusz i Tadeusz Rogalscy. Do Fundacji dołączyły pełne pasji i zaangażowania Marta Mejer i Monika Paterka, a w latach 2013–2018 współpracowała z nami również Anita Rogalska (Goriaczko).

Prace w folwarku prowadziliśmy w tych obiektach, dla których udało się Fundacji pozyskać jakieś wsparcie finansowe. To nie zawsze były najważniejsze potrzeby, ale takie mieliśmy możliwości. Dotacje otrzymywaliśmy od różnych instytucji: Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Urzędu Marszałkowskiego Województwa Dolnośląskiego, fundacji polsko-niemieckich, Dolnośląskiego Urzędu Wojewódzkiego, ale i tak musieliśmy zapewniać wkład własny, który w porównaniu z niektórymi dotacjami był rzeczywiście duży. Wkładałem więc w Fundację coraz większe własne pieniądze, darowizny otrzymywaliśmy również z firmy Castellum. Dzięki temu udało się do dziś nie tylko uratować, ale nadać nowe życie większości budowli folwarcznych i parkowych. Sam park również został zrewaloryzowany i ubogacony tysiącami nowych roślin, pawilonami ogrodowymi. Odbudowaliśmy Herbaciarnię, wieżę widokową zwaną Strażnicą, mauzoleum rodziny von Redenów. Chcemy zrekonstruować marmurową ławkę królewską, zrobiliśmy już to z Domem Rybaka. Założyliśmy ogrody ozdobne i sady. Planujemy założyć zwierzyńiec. Adaptowaliśmy dawny Browar na muzeum Tajemniczy Las, przybliżające walory przyrodnicze Kotliny Jeleniogórskiej; dawną Stodolę – na salę koncertową i muzeum poświęcone Dolinie Pałaców i Ogrodów; dawną Owczarnię – na pracownię artystyczne i miejsca noclegowe; budynek dawnego zarządu majątku – na swego rodzaju pensjonat. Chciałem stworzyć w Bukowcu miejsce niezwykle, inne niż rewaloryzowane w okolicy pałace i dwory. W rezydencjach w Wojanowie, Łomnicy, Stanisławowie, Stanisławowie Dolnym, Milkowie,

w Paulinum i Karpnikach, działały już hotele w odrestaurowanych budowlach zabytkowych, ale były one dostępne raczej dla zamożniejszych turystów. Moim zamiarem było uruchomienie obiektu pozbawionego takich ograniczeń, który pozwoli w historycznych budynkach zamieszkać i młodzieży, i studentom, i mniej zasobnym turystom, będzie szeroko otwarty dla wszystkich zwiedzających zabytki Kotliny Jeleniogórskiej. Chciałem walory parku wykorzystać jako atut, przyciągający do Bukowca nawet tych spędzających miło czas w ekskluzywnych okolicznych pałacach. Bukowiec nie ma być zatem kolejnym historycznym obiektem hotelowym o funkcjach noclegowo-gastronomicznych, ale centrum kulturalnym, edukacyjnym, rekreacyjnym w zagospodarowanym rozległym parku angielskim. Ma powrócić do idei zawartej w nazwie *ornamental farm*. To określenie nie tylko ilustruje otoczenie, farmę, przyrodę. To myśl filozoficzna wskazująca, że praca, uprawa roli, nie mówiąc już o wypoczynku, powinny mieć miejsce w otoczeniu zapewniającym dobre wrażenia estetyczne, które są człowiekowi niezbędne w aspekcie duchowym. Założenie parkowe ma też pełnić rolę informacyjną o całej Dolinie Pałaców i Ogrodów, być miejscem najważniejszych wydarzeń kulturalnych, może przystanią twórczą dla artystów różnych profesji. Już dziś, choć prace w folwarku i parku wciąż trwają, organizujemy warsztaty muzyczne, plastyczne, spektakle, koncerty, artystyczne pikniki. To oczywiście próba ożywienia w regionie życia kulturalnego, ale też oferta dla gości zwiedzających zabytki i spacerujących po Karkonoszach.

Dlaczego Bukowiec uważam za szczególnie ważny w mojej działalności związanej z zabytkami? Uczestniczyłem przecież w konserwacjach niezwykle obiektów, skarbów architektury europejskiej. Tak z całą pewnością można mówić o Kościele Pokoju w Świdnicy czy opactwie pocysterskim w Krzeszowie, ale również o dziesiątkach konserwacji najcenniejszych zabytków w Polsce i w Niemczech. Miałem więc do czynienia z zagadnieniami konserwatorskimi bardzo różnorodnymi, z wybitnymi dziełami sztuki, znakomitymi twórcami. Tu w Bukowcu tych wartości na pierwszy rzut oka nie widać.

Odpowiedz jest dość prosta. Chciałem uratować jeden z najcenniejszych zespołów parkowo-folwarcznych na Śląsku, który w moim przekonaniu nie miał żadnych szans na przetrwanie. Jego stan techniczny w końcu lat 90. i sam wygląd nie potwierdzały opinii o tej wyjątkowości. Wynikała ona raczej z dokumentów archiwalnych, litografii, opisów, listów podróżników, zachowanych projektów, niż stanu istniejącego. Chciałem to zrobić jako podsumowanie swoich działań konserwatorskich, chciałem w końcu udowodnić, że nawet najbardziej zniszczona substancja zabytkowa, z pozoru bez szans na



### **Marta Mejer**

Odpowiada za działalność edukacyjną w powstającym Centrum Kulturalno-Edukacyjnym. Bardzo się cieszę, że po powrocie z Irlandii, gdzie spędziła 10 lat, postanowiła zatrudnić się w Fundacji. Przedtem pracowała w Pałacu Paulinum. Jest przewodnikiem sudeckim, doskonale zna Kotlinę Jeleniogórską i jej historię. Gdy z nią rozmawiam, mam poczucie, że Marta podobnie jak ja myśli o wielu sprawach dotyczących Bukowca. Jego wartości upatruje głównie w parku, w przyrodzie, miejscach refleksyjnych; ceni spokój, jaki wyływa z tego romantycznego założenia, w nich widzi prawdziwe walory Bukowca. Jest to osoba niezwykle pracowita i rzetelna. Sądzę, że świetnie poradzi sobie z edukacją w Ornamental Farm. Ujęła mnie szczególnie, gdy mi powiedziała, że jedną z intencji jej pielgrzymki do Santiago de Compostela, którą niedawno odbyła, było moje zdrowie. Przywozła mi z tej pielgrzymki muszlę św. Jakuba, która teraz stale wisi przy moim biurku.



### **Monika Paterka**

Archeolog, zajmuje się w Fundacji oboma muzeami, kawiarenką, promocją i organizacją różnych imprez kulturalnych. Sama zainicjowała i zorganizowała cykliczne wydarzenie „Dni Muzyki w Bukowcu”, prowadzi też warsztaty archeologiczne dla dzieci. Choć zajmuje się tyloma sprawami, jest cicha i spokojna, nigdy na pierwszym planie. Ale gdy zobaczyłem jej pokaz tańca flamenco, który zademonstrowała nam na jednym z wyjazdów firmowych, zaniemówiłem. To nie nasza Monika.

przetrwanie, może być przywrócona do życia, choć początkowo wydaje się, że nie ma w niej ani specjalnego piękna, ani potencjału. Chciałem pokazać, że to piękno jest, tylko głęboko ukryte, niezauważalne, zamaskowane. Trzeba je dostrzec i wydobyć. Chciałem również wskazać drogę do kompleksowego ratowania dziedzictwa kulturowego. To nie jest tylko kwestia odbudowy, adaptacji czy konserwacji budynku zabytkowego. Wszystkie współczesne doktryny konserwatorskie podkreślają, że zabytek musi żyć, musi promieniować na okolicę, mieszkańców, gości, że ma swoje otoczenie, które powinno być również chronione. Zabytek to nie kostium sceniczny. Zabytek musi być świadkiem historii, ale też atrakcją dla współczesnych. Dlatego tak wielką uwagę poświęcamy działaniom w Bukowcu, nie tylko konserwatorskim. Festiwale, koncerty, wystawy, plenery artystyczne, warsztaty mają dodatkowo uwypatnić atrakcyjność miejsca, dziedzictwa kulturowego, historii.

Podkreślałem często współpracownikom, że nie powinniśmy robić tu rzeczy byle jakich, przeciętnych, nienoszących rangi ważnego wydarzenia. Szkoda na to czasu i pieniędzy. Kiedy więc Grażyna Kolarzyk przyszła do mnie kilka lat temu z propozycją zorganizowania plenerowej opery „Faust” do muzyki księcia Antoniego Radziwiłła, w pełnym scenicznym wydaniu z orkiestrą symfoniczną, chórem, solistami z kilku krajów, nogi mi lekko zdrzęły. Takie wydarzenia organizują tylko duże i profesjonalne zespoły operowe, a nie małe fundacje. Jednak determinacja Grażyny przekonała mnie, że warto spróbować. Była to polska prapremiera opery, w całości w języku niemieckim, którą skomponował książę Antoni Radziwiłł do poematu Goethego. Do Wojanowa, gdzie odbył się spektakl na dziedzińcu pałacowym, przyjechała rodzina Radziwiłłów, również z zagranicy i wielu ich znajomych. To było z jednej strony rzeczywiście wydarzenie na najwyższym poziomie artystycznym, a z drugiej ogromne przedsięwzięcie logistyczne. Uczestniczyło w nim kilka tysięcy widzów. Sukces tego spektaklu to całkowicie zasługa Pani Dyrektora Fundacji. Nie pamiętam, czy publicznie jej za to podziękowałem.

Pisałem już, że niemal od początku działalności Fundacja organizuje w różnych miejscach historycznych koncerty, wystawy, spektakle. Gdy Bukowiec był w całkowitej ruinie, organizowaliśmy je w okolicznych pałacach i kościołach, a także teatrach Jeleniej Góry. Ale od samego początku chciałem stworzyć wydarzenie, którego ranga będzie niejako godna miejsca, jakim jest Dolina Pałaców i Ogrodów. Myślałem o wydarzeniu cyklicznym na najwyższym poziomie artystycznym, które będzie się kojarzyło z Fundacją i zabytkami Kotliny Jeleniogórskiej.



To wówczas w Jeleniej Górze któryś z moich znajomych przedstawił mi Michała Maciaszczyka, skrzypka, wirtuoza, dyrygenta, który wówczas mieszkał i pracował w Wiedniu. Jest to rzeczywiście wybitny artysta. Miał on podobny pomysł na wydarzenie kulturalne, ale poszukiwał miejsca i oczywiście partnera. Szybko połączyliśmy swoje idee i powstał Festival dell'Arte w Dolinie Pałaców i Ogrodów, a Michał został jego dyrektorem artystycznym.

Zorganizowaliśmy już kilka edycji tego festiwalu. Wystąpiło w nim łącznie ponad stu artystów z kilkudziesięciu krajów świata. W połowie sierpnia, przez ponad tydzień wydarzenia festiwalowe gromadziły widownię, nie tylko z okolicy. Cieszyły się coraz większą popularnością. Wojanów został palacem festiwalowym. Tu zjeżdżali artyści. Michał zapraszał znanych mu i uznanych wirtuozów. Początkowo odbywały się głównie koncerty muzyki poważnej i wystawy malarskie, rzeźbiarskie, ceramiczne i grafiki, gościliśmy też pisarzy, aktorów – generalnie artystów. Wieczorami organizowaliśmy spotkania i bankiety. W kolejnych edycjach pojawiały się nowe gatunki muzyczne, bardziej popularne, które przyciągały jeszcze większą publiczność. Niestety niemal od początku narastał konflikt pomiędzy dyrektorem artystycznym festiwalu a dyrektorem Fundacji. Nie wchodząc w szczegóły, nie mogłem tego dłużej tolerować, bo stało się to zagrożeniem dla rzeczywiście ciekawego wydarzenia. Rozstałem się więc z Michałem i dziś Festival nie ma dyrektora artystycznego.

To doświadczenie festiwalowe utwierdziło mnie w przekonaniu, że łączenie wydarzeń kulturalnych z zabytkami ma głęboki sens. Z jednej strony publiczność przychodząca na koncerty, spotkania czy spektakle jest zawsze informowana o miejscu, jego historii, co, mam nadzieję, uwrażliwia ją na dziedzictwo kulturowe, a z drugiej strony artyści też bardzo chętnie poznają nowe historyczne miejsce. Trudno mi nawet przypomnieć sobie wszystkich, z którymi, trochę w roli przewodnika, objeżdżałem Kotlinę. Jak często wspominali oni później to doświadczenie, jak chętnie tu wracali! Stali się naszymi ambasadorami w świecie kultury.

Dodatkowo przekonałem się, jak mili, otwarci i pełni entuzjazmu są artyści po koncercie, gdy mija sceniczne napięcie. Myślę, że z wieloma z nich mam bardzo dobre, wręcz przyjacielskie relacje. Sami pomagają nam teraz organizować różne ciekawe imprezy, plenery czy warsztaty artystyczne. To niewątpliwie magia Doliny Pałaców i Ogrodów Kotliny Jeleniogórskiej.



#### **Mariusz i Tadeusz Rogalscy**

To oni starają się okiełznać przyrodę w naszym parku. Pracują z nami już prawie 10 lat. Gdy zaczynali, park przypominał raczej pastwisko, czasami wysypisko śmieci, a z całą pewnością zarośnięte chaszczami polany. Wykonali we dwójkę tytaniczną pracę, aby osiągnąć dzisiejszy efekt. Ich zaangażowanie jest wzorem godnym naśladowania dla wszystkich.



### **Wojciech Laska**

Prezes spółki Keim Polska, jeden z najlepszych i najbardziej doświadczonych producentów farb i technologii elewacyjnych dla obiektów zabytkowych. Nie wymieniam w tych wspomnieniach inwestorów, podwykonawców, dostawców czy producentów, z którymi stale lub często współpracujemy. Byłyby one po prostu zbyt obszerne, ale jednej osoby pominąć nie mogę – Wojtka Laska. Jest dla mnie wzorem z Sèvres, jeśli chodzi o to, jak w kulturalny, nienachalny i profesjonalny sposób można sprzedawać swoje produkty i dobrze współpracować z wykonawcą, inwestorem czy projektantem. Bo to nie jest sama sprzedaż, to szkolenia, doradztwo, badania. Inna cecha Wojtka, którą niezwykle cenię, to jego aktywne podejście do wspierania wydarzeń kulturalnych, wydawnictw, konferencji konserwatorskich. Tych cech nie spotkacie często.

## POSŁOWIE

Wspomniałem w tekście nazwiska kilkudziesięciu osób, które były czy są dla mnie ważne, szczególnie zawodowo. To przyjaciele, znajomi, współpracownicy. Ale wiem, że to absolutnie niepełna lista tych, którym często bardzo wiele zawdzięczam. Teraz może to widzę lepiej i wyraźniej, niż wtedy, gdy się z nimi spotykałem. Nie wymienilem we wspomnieniach chociażby wielu inwestorów, dla których często pracowaliśmy całe lata, a którzy okazali się dla nas, dla mnie, bardzo życzliwi. Nie ma tu podwykonawców, konserwatorów, z którymi realizowaliśmy największe przedsięwzięcia, nie ma dostawców materiałów i urządzeń, z którymi też łączy nas wieloletnia współpraca. Nie ma konserwatorów, z którymi działałem w Stowarzyszeniu Konserwatorów Zabytków, czy Radzie Ochrony Zabytków. Nie ma artystów, którzy od lat z nami realizują projekty kulturalne. Na koniec więc chciałbym przeprosić tych, których tu pominąłem, przeoczyłem, o których po prostu po ludzku zapomniałem.

## ANEKS CZ. I

ODBUDOWA I PRACE KONSERWATORSKIE  
W OBIEKTACH ZABYTKOWYCH

Konserwacja elementów konstrukcyjnych  
i wymiana pokrycia dachowego  
w Kościele Pokoju w Świdnicy  
w latach 1996–2000



Powyżej:  
Paweł Kleszcz – kierownik robót

Od lewej:  
pierwszy Jan Superson – cieśla,  
w środku Paweł Kleszcz  
i Józef Superson – cieśla,  
ostatni Robert Superson – cieśla





Po lewej:  
Robert Superson (wnuk)

Po prawej:  
Jan Superson (syn)

Józef Superson (ojciec)

Odbudowa i adaptacja  
zamku w Kliczkowie na potrzeby  
Centrum Konferencyjno-Wypoczynkowego  
w latach 1999–2001



Wizjoner





Po lewej:  
Marek Hałon – kierownik budowy

Po prawej:  
Stanisław Dziedziński – majster budowy



Od lewej:  
Marek Hałon, Piotr Napierała,  
Alina Zamorska, Ewa Hawrylak  
– projektantki

Maria Skomorowska,  
Bogdan Chwastek  
- konserwatorzy malarstwa  
i detalu architektonicznego



Od lewej:  
Anna Morasiewicz  
- projektantka wnętrz,  
Alina Zamorska,  
Piotr Napierała,  
Ewa Hawrylak







## Rewaloryzacja barokowego zespołu pałacowego w Radomierzcach w latach 2000–2004



Powyżej:  
Zakończenie I etapu  
odbudowy pałacu, 2001 (wiecha).  
Józef, Jan, Robert Supersonowie i in.

Zespół uczestniczący  
w remoncie obiektu,  
m.in.: w pierwszym rzędzie,  
trzeci od lewej  
Paweł Kleszcz – kierownik budowy,  
w drugim rzędzie, pierwszy od lewej  
Kazimierz Durawa – specjalista  
od rzeźby i kamieniarki zabytkowej

Prace konserwatorskie i wykończeniowe  
wnętrz oraz elewacji Opery Wrocławskiej  
w latach 2002–2006



Powyżej od lewej:  
Jerzy Siwiński – inspektor nadzoru,  
Ryszard Dąbek – kierownik budowy,  
Jacek Pawłowski, Krzysztof Panek  
– inżynierowie z Działu  
Przygotowania Inwestycji

Od lewej:  
Ryszard Dąbek,  
Adam Gąsiorowski – brygadzysta,  
Józef Kuźma – odlewnik





Po prawej:  
Maria Skomorowska,  
Bogdan Chwastek  
– konserwatorzy malarstwa  
i detalu architektonicznego

Od lewej:  
Ryszard Dąbek,  
Janusz Stefan  
– konserwator malarstwa  
i detalu architektonicznego,  
Maria Skomorowska

Anna Morasiewicz  
– projektantka wnętrz



Po lewej:  
Dorota Wandrychowska  
– konserwator

Po prawej:  
Agnieszka Witkowska  
– konserwator





## Odbudowa zespołu pałacowo-parkowego w Wojanowie w latach 2005–2008



Po lewej:  
Marek Hałon – inżynier Castellum,  
Janusz Grochowski – projektant,  
Stanisław Dziedziński – kierownik robót,  
Michał Lorek – kierownik budowy  
(2005–2006)

Po prawej:  
Leszek Kucypera – konserwator

Konserwatorzy malarstwa  
w trakcie rekonstrukcji dekoracji  
w sali balowej i wieży pałacu





Po lewej:  
Stanisław Kot,  
Jan Kazimierzczak

Po prawej:  
Ryszard Ziółkowski,  
Stanisław Wyrębski

## Konserwacja i rozbudowa rezydencji w Śliwnikach w latach 2007–2014



Po lewej:  
Andrzej Chowner  
– kierownik budowy

Po prawej:  
Stanisław Łach  
– stolarz





## ANEKS CZ. II

OBJAZDY KONSERWATORÓW  
PO DOLNOŚLĄSKICH ZESPOŁACH ZABYTKOWYCH  
I MIEJSCACH RESTAUROWANYCH OBIEKTÓW  
W RAMACH ŚLĄSKIEGO ODDZIAŁU SKZ

## Kościół Pokoju w Świdnicy, rok 2004



Powyżej od lewej:  
Prof. Jan Suwalski, Józef Adamowski,  
Arkadiusz Duda – kierownik budowy,  
Krzysztof Dyda, Stanisław Radomski

Po lewej:  
Pastor Waldemar Pytel

Po prawej:  
Tadeusz Kaletyn,  
Katarzyna Downarowicz,  
Stanisław Medeksza





I ławka, od lewej:  
Józef Adamowski,  
prof. Jan Suwalski.  
II ławka, od lewej:  
Marek Delimat,  
Stanisław Marchwicki



Od lewej:  
Anna Kościuk,  
Maria Skomorowska,  
Ewa Hawrylak,  
Anna Morasiewicz

Dolina Pałaców i Ogrodów  
Kotliny Jeleniogórskiej,  
Dwór Czarne, rok 2004



Powyżej od lewej:  
Renata Kucharska,  
Krzysztof Wartenberg,  
Adam Czajkowski,  
Wojciech Kapałczyński.  
Na drugim planie od lewej:  
Anna Morasiewicz,  
Agata Rome-Dzida

Po lewej:  
Jacek Jakubiec

Po prawej:  
Wojciech Kapałczyński





Dolina Pałaców i Ogrodów  
Kotliny Jeleniogórskiej,  
Bukowiec, rok 2006



Powyżej:  
Herbaciarnia w parku w Bukowcu.  
Na pierwszym planie:  
Anna Kościuk

Na pierwszym planie od lewej:  
Ewa Korzyńska, Piotr Napierała,  
Katarzyna Maciejowska-Bujak.  
Na drugim planie od lewej:  
Anna Morasiewicz, Maria Skomorowska,  
Jadwiga Maciejowska, Andrzej Kamiński,  
Anna Kościuk, Ewa Hawrylak,  
Ryszard Migniewicz, Ewa Łużyńska.  
Na trzecim planie od lewej:  
Bogumił Chwastek, Jerzy Bojko,  
Jacek Kościuk, Maciej Małachowicz,  
Stanisław Radomski, Renata Kucharska,  
Alina Zamorska, Józef Cempa,  
Jerzy Romanow

Zespół Poklasztorny  
Opactwa Cystersów w Lubiążu,  
rok 2005



Po lewej:  
Maria Skomorowska

Po prawej:  
Anna Morasiewicz





Po lewej:  
Ryszard Migniewicz,  
Paweł Skrzywanek,  
Tadeusz Kaletyn,  
Kamil Mirek

Po prawej:  
Piotr Napierała



Sala Książęca

Zespół pałacowo-parkowy  
w Wojanowie, rok 2008



Powyżej:  
Halina Gołda-Krajewska  
– projektantka założenia  
parkowego w Wojanowie,  
Piotr Napierała

Sala Balowa







Kraina Domów Przystępowych,  
rok 2009



Powyżej:  
Zagroda Kołodzieja.  
Na pierwszym planie:  
Piotr Napierała

Po lewej:  
Piotr Napierała,  
Ewa Hawrylak,  
Alina Zamorska

Po prawej:  
Dom bramny w Działoszynie.  
Na drugim planie:  
Wojciech Kapałczyński,  
Renata Kucharska

Ruiny pałacu Hatzfeldów  
w Żmigrodzie, rok 2011



Po lewej:  
Wieża zamkowa.  
Na pierwszym planie:  
Ewa Hawrylak, Andrzej Kamiński,  
Anna Morasiewicz, Jerzy Lorenc,  
Piotr Napierała.  
Na drugim planie:  
Tomasz Biegun, Adam Marek,  
Ewa Korzyńska  
  
Po prawej:  
Maciej Sołdek, Piotr Napierała,  
Andrzej Kamiński





## SPIIS TREŚCI

WPROWADZENIE .....	7
WSTĘP .....	8
POCZĄTKI .....	9
PRZEDSIĘBIORSTWO PAŃSTWOWE PRACOWNIE KONSERWACJI ZABYTKÓW .....	11
POLITECHNIKA WROCŁAWSKA .....	19
HEXAGON .....	23
INTEGER .....	27
WŁASNE INWESTYCJE W OBIEKTY ZABYTKOWE .....	60
CASTELLUM .....	71
DZIAŁALNOŚĆ SPOŁECZNA W OCHRONIE ZABYTKÓW .....	100
POSŁOWIE .....	122
ANEKS CZ. I .....	123
ANEKS CZ. II .....	137



OKŁADKA (fragment portalu pałacu w Wojanowie):

Projekt – Honorata Bialic  
Fotografia – Szymon Bialic

AUTORZY FOTOGRAFII:

Romuald Maciej Sołdek  
Bogdan Adler  
Marek Grotowski  
Paweł Kleszcz  
Anna Morasiewicz  
Leszek Stryja  
Ewa Świąćka

W opracowaniu wykorzystano również zdjęcia  
z prywatnych zbiorów innych autorów

OPRACOWANIE REDAKCYJNE I KOREKTA:

Wiesława Napierała, Dorota Dembkowska

OPRACOWANIE GRAFICZNE I DRUK:

EM studio Ewa Kolarzyk

WSPÓŁPRACA WYDAWNICZA:

Fundacja Doliny Pałaców i Ogrodów Kotliny Jeleniogórskiej  
ul. Świdnicka 31, 50-066 Wrocław

WYDAWCA:

Przedsiębiorstwo Budowlano-Konserwatorskie  
„Castellum” Sp. z o.o.  
ul. Świdnicka 31, 50-066 Wrocław



© Copyright by Piotr Napierała, Wrocław 2020



*Moje zmagania z zabytkami* to autobiografia przedstawiająca drogę zawodową Piotra Napieraly, specjalisty w dziedzinie konserwacji zabytków, inżyniera budownictwa, przedsiębiorcy i społecznika, człowieka otwartego na wszystkich, pełnego twórczej energii i radości życia. Zauroczony 20 lat temu fenomenem Kotliny Jeleniogórskiej – liczbą i różnorodnością zamków, pałaców i dworów w niezwykłym krajobrazie Karkonoszy i Rudaw Janowickich – zrealizował wiele projektów rewitalizacyjnych, które umożliwiły odbudowanie ważnych obiektów zabytkowych i renowację założen parkowych i przyczyniły się do popularyzowania historii, dziedzictwa kulturowego, a także ożywienia turystycznego tego regionu. Owocem Jego pasji ratowania zabytków i daru przekonywania o ich wartości i potrzebie ochrony było wpisanie w 2012 r. jedenastu zespołów pałacowo-parkowych na listę Pomników Historii Prezydenta RP.

W swoich wspomnieniach Autor w sposób bezpośredni, niekiedy żartobliwy, kreśli sylwetki Przyjaciół i Współpracowników, z którymi realizował pasje i marzenia oraz przywracał piękno zaniedbanym skarbowi kultury i ożywiał wiele zapomnianych miejsc.

